

SYLWETKA ŻONY POLITYKA

**Anne Applebaum – bardziej szkodzi
czy pomaga Radkowi Sikorskiemu**



**Tusk znów śni o roli
unijnego przywódcy**

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 48/606 25 LISTOPADA–1 GRUDNIA 2024
CENA 11,90 zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

**ROZMOWA „DO RZECZY”:
CO SŁAWOMIR MENTZEN
ZROBIŁBY,
GDYBY ZOSTAŁ
PREZYDENTEM**



**Początek końca
szczytów klimatycznych?**



Dlaczego Polska pozwala się w ten sposób traktować Ukrainie?



HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



BOMBY POD NOGI ZABORCÓW!

Zamachy dla niepodległej Polski – Przyszła elita II RP przed pierwszą wojną światową organizowała ataki bombowe wymierzone w funkcjonariuszy carskiego reżimu

Najgroźniejsi agenci ochrony – Stworzona po zamachu na cara tajna policja dokonała wielu udanych prowokacji. Z jej doświadczeń czerpała potem bolszewicka bezpieka

Reagan, rakiety i dolary – Pieniądze od jednego wroga Stanów Zjednoczonych posłużyły do zwalczania drugiego. Tajna operacja CIA skończyła się olbrzymim skandalem

Aryjski wilk i żydowski szczur – W nazistowskich Niemczech „miłość” do zwierząt motywowana była pseudodarwinistyczną ideologią

Bolesław Ocalony – Niemiecki monarcha stanowczo wypierał się swojego udziału w zamachu na Bolesława Chrobrego, ale wszystkie tropy w tej sprawie prowadziły na jego dwór

Nowy Wspaniały Żyd – Zgodnie z założeniami syjonizmu naród żydowski miał przejść w Palestynie metamorfozę. Słabego Żyda z diaspory miał zastąpić potężny Żyd wojownik

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Język, który Putin rozumie?

Dwie podjęte kilka dni temu decyzje prezydenta Joe Bidena – zgoda na wykorzystanie do ataków na cele w Rosji rakiet dalekiego zasięgu oraz zgoda na użycie podczas walk min przeciwpiechotnych – spotkały się z poparciem, a niekiedy wręcz z entuzjastycznym przyjęciem polskich polityków. Prezydent Andrzej Duda stwierdził, komentując działania prezydenta USA, że „z satysfakcją przyjął decyzję prezydenta Joe Bidena i naszych sojuszników. Uważam, że Ukraina powinna mieć takie środki obrony, aby mogła odepchnąć zaplecze rosyjskie, aby nie było tak bliskie linii frontu [...]”. – Ta decyzja Joe Bidena była wyraźnie potrzebna. Dobrze, że została podjęta” – dodał polski prezydent. W podobnym duchu wypowiedział się polski minister spraw zagranicznych, Radosław Sikorski. Według niego Biden „odpowiedział w języku, który Putin rozumie”. Większość polskiej klasy politycznej z tymi opiniami się zgadza. Czy faktycznie decyzje prezydenta USA są korzystne dla Ukrainy i – jak można domniemywać z wypowiedzi polskich polityków – dla Polski? Bardzo to wątpliwe.

Po pierwsze, sama decyzja została podjęta przez prezydenta USA, którego polityka została, także polityka wobec wojny na Ukrainie, powszechnie odrzucona przez samych Amerykanów. Stan zdrowia Joe Bidena sprawia, że można mieć uzasadnione wątpliwości co do tego, czy działa on w ogóle świadomie. Jak zatem uznać, że tej rangi postanowienia, które podejmuje ktoś, kto właśnie przegrał wybory i na dodatek najwyraźniej jest w stanie ciężkiej zapaści, są słuszne i rozsądne? Raczej można domniemywać, że jest to element rozgrywek i intryg

otoczenia prezydenta USA, a ich głównym celem jest utrudnienie, a być może zastopowanie planu pokojowego Donalda Trumpa. Skupieni wokół Bidena globaliści chcą permanentnej wojny. Zezwalając Kijowowi na ataki na terytorium Rosji, liczą na jej gwałtowną odpowiedź, być może na atak na któreś z państw NATO. W takiej sytuacji USA mogłyby wejść bezpośrednio do wojny z Moskwą. Trump objąłby urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych, które to za sprawą jego poprzednika byłyby w stanie wojny z Rosją. Czy mógłby się z niej wycofać, nie tracąc twarzy?

Po drugie, polscy politycy – tak prezydent, jak minister – są, wydaje się, pewni, że Moskwa w odpowiedzi na decyzje USA nie użyje broni nuklearnej, i to mimo zmiany swojej doktryny obronnej. Uważają, że ostrzeżenia prezydenta Putina to wyłącznie blef. Andrzej Duda twierdzi, że „papier zniszczy wszystko”, a minister dopowiada, że w istocie armia rosyjska jest w stanie upadku i żadnymi groźbami nie ma się co przejmować. Według niego „Putin myślał, że ma światowej klasy wojsko, a teraz walczy czołgami z lat 50. Rosja odnosi pyrrusowe zwycięstwa”. Szczepie mówiąc, dawno już nie widziałem takich przykładów chępliwości i samozadufania. Sikorski nie zauważa, że przez swoje „eskalacyjne gry” z Putinem naraża Polskę na rosnące niebezpieczeństwo. Kiedy w czwartek Rosja wystrzeliła na ukraiński Dniepr balistyczną rakietę międzykontynentalną, polski minister dostrzegł wreszcie, że to „duża eskalacja”. Czyżby tym razem postanowił nie przebijać Putina groźbami?

Wspominam celowo o prezydencie i ministrze, bo ich postawa typowa jest dla większości

polskiej klasy politycznej. Politycy PiS i PO zachowują się, jakby całkowicie zapomnieli o interesie własnego państwa. Otóż nie mam żadnych wątpliwości, że eskalacja działań wojennych w interesie Polski nie leży. Wbrew temu, co twierdzi prezydent, amerykańskie rakiety rosyjskiego zaplecza nie odepchną. Być może spowolnią ofensywę, ale z pewnością spowodują wzrost liczby ofiar.

Nie jest to jednak, po trzecie, jedyny powód, dla którego decyzje prezydenta USA uważam za skrajnie niebezpieczne i dla Polski szkodliwe. Im potężniejsze środki militarne są używane przez Ukrainę, tym silniejsza będzie odpowiedź Rosji i tym większe prawdopodobieństwo, że w Polskę uderzy kolejna wielomilionowa rzesza uchodźców. Podobnie nasilenie walk, a być może pojawienie się broni atomowej, czyni z Polski kraj przyfrontowy, ze wszystkimi tego skutkami, z których najszybciej będzie można dostrzec masowy odpływ kapitału. Wreszcie, mimo że polscy politycy lekceważą groźby Moskwy, przecież nie mogą wykluczyć, że Polska stanie się ofiarą ataków odwetowych.

Jak u licha mogą to lekceważyć? Nawet mało prawdopodobne zagrożenie musi być brane pod uwagę przez odpowiedzialnego polityka, kierującego się polską racją stanu. To jest jego podstawowy obowiązek. Musi badać, czy dana decyzja zwiększa groźbę wciągnięcia w wojnę dla Polski czy zmniejsza. Ktoś, kto tego nie rozumie i cieszy się z sytuacji, w której ryzyko dla polskiego społeczeństwa rośnie, za poważnego polityka uchodzić nie może. Coraz częściej myślę, że rządzą nami niebezpieczni hazardziści, których bardziej niż interes Polski interesuje wyrządzenie szkody Moskwie. ©

TEMAT TYGODNIA

14 IAN FIEDORCZUK

DOKTRYNA WARSZAWY: UDAWAĆ, ŻE PADA DESZCZ

Przybywa szpil wbijanych Polsce

18 ŁUKASZ WARZECHA

SZABELKIŚCI ZA CZERWONĄ LINIĄ

21 MAREK JUREK

„JEŚLI MILION LUDZI MA ZGINĄĆ”



KRAJ

22 ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM MENTZENEM

CHCĘ WYGRAĆ

Zakończenie wojny na Ukrainie jest w polskim interesie

24 PIOTR SEMKA

CIERPKIE ŚWIĘTO PLATFORMY

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

TUSK ZNÓW ŚNI O ROLI UNIJNEGO PRZEWÓDCY

31 PIOTR WŁOCZYK

ANNE Z TĘCZOWEGO WZGÓRZA

34 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

PROWOKACJE DOROTY WYSOCKIEJ-SCHNEPF

KULTURA

36 PIOTR SEMKA

WERTER, CZYLI BOHATER Z KULĄ W GŁOWIE

250 lat po premierze „Cierpień młodego Wertera”

39 PIOTR GOCIEK

CZAS PODRÓBEK

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 MARCIN SKALSKI

NIE JESTEŚMY TU OD WCZORAJ

Opowieść o polskości

50 MAREK JUREK

Z LILIAMI W HERBIE

HISTORIA

52 ROZMOWA

Z ANDRZЕJEM BRZEZIECKIM

KRYPTONIM ANALITYK

20 lat po śmierci Marka Karpia

56 RAFAŁ ŁATKA

„LINCZ NA KARDYNALE”. MYŚLENIE SPIKOWE I MANIPULACJE

ŚWIAT

58 WOJCIECH GOŁONKA

LUDZIE TRUMPA NA WOJNIE O AMERYKĘ Kto będzie rządził w Waszyngtonie

61 WITOLD REPETOWICZ

NIEZAGROŻONA PRZYSZŁOŚĆ SAUDYJSKIEGO KSIĘCIA

64 MACIEJ PIECZYŃSKI

KURSKIE ŻYCIE ROSJAN

EKONOMIA

68 ROBERT BOGDAŃSKI

OSTATNI SZCZYT?

Spotkanie w Baku

70 ROZMOWA Z AGNIESZKĄ FRĄCKOWIAK

TO BĘDZIE ROK MOBILNEJ FOTOGRAFII I SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK

BARDOT NATURALNYCH ROZMIARÓW Megagwiazda z dala od ludzi

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, **Piotr Gociek**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, **Joanna Bojańczyk**, **Grzegorz Brzozowicz**,
Wojciech Cejrowski, **Wiesław Chelminiak**, **Dominika Ćosić** (*Bruksela*),
Tomasz Cukiernik, **Krzysztof Czabadzki**, **Marek Jurek**,
Wojciech Golonka, **Ryszard Gromadzki**, **Marek Jurek**,
Jerzy Karwelis, **Jacek Komuda**, **Slawomir Koper**, **Piotr Kowalczyk** (*Rzym*),
Grzegorz Kucharczyk, **Tomasz Lenczewski**, **Piotr Litka**, **Łukasz Majchrzyk**,
Monika Małkowska, **Gabriel Michalik**, **Andrzej Nowak**, **Jacek Pałkiewicz**,
Maciej Pieczyński, **Jan Pospieszalski**, **Tomasz Rowiński**, **Witold Repetowicz**,
Wojciech Roszkowski, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**,
Błażej Toraniński, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**, **Dariusz Wieromiejczyk**,
Jakub Wozniński, **Tomasz Wróblewski**, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**-
Pieczyska, **Małgorzata Puzry**, **Anna Skalska**, **Anna Szczepańska**, **Marcin**
Bugaj, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Grzegorz Grzymowicz**, **Dawid**
Sienkowski, **Łukasz Żygado**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrycka-Wernerowska**,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSUJĄCY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzyszto**
Okładka: **Alexey Furman/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, **Jolanta Kloc**
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**



MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, **Joanna Nowakowska**
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,
www.poczta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 500 egzemplarzy



Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Celebryci, wiewiórki i zdrowy rozsądek

Szanowni Państwo,
w swojej autobiografii **Keith Richards** wspomina wypadek, po którym musiał przejść trepanację czaszki. W czasie rekonwalescencji otrzymał bardzo serdeczny list od **Antki Blaira**. Ówczesny premier Wielkiej Brytanii wyrażał swą radość z powodu powrotu do zdrowia swojego idola. W pierwszej chwili **Richards** poczuł się zaszczepiony, lecz już w następnej zadał sobie przytomne pytanie, czy można się czuć bezpiecznie w kraju, którego przywódca uznaje za swojego idola rockowca, heroinistę i skandalistę.

Nie były to jednak jeszcze czasy rządów celebrytów, wyznających różne tajemnicze ideologie typu wokeizm, genderyzm itp. Zachodni świat trzymał się na razie swoich fundamentów, chociaż już pojawiały się pierwsze jaskółki, w jakim kierunku zmierza liberalizm, jak właśnie list **Blaira** i np. zdrabnianie przez samych polityków własnych imion: **Kuba Carter**, **Antek Blair**, **Wiliś Clinton**, **Józio Biden**. Siwowłosi mężczyźni udający fajnych chłopaków.

Trudno było nie podzielać obaw **Keitha Richardsa** podczas ostatnich wyborów w Stanach Zjednoczonych. Bo skoro przyszłość najpotężniejszego mocarstwa na świecie miała zależeć od **Taylor Swift** i wiewiórki **Peanut**, to można zaniepokoić się losami całego świata.

Na szczęście wygrał zdrowy rozsądek!
Z poważaniem **Ewa Kowynia**

Dziękuję za „Do Rzeczy”!

Szanowna Redakcjo,
w październiku minął rok od rozpoczęcia przeze mnie prenumeraty wydawanego przez Państwa tygodnika. Z radością wykupiłam prenumeratę również na kolejny rok.

Wcześniej nigdy bym nie pomyślała, że zacznę czytać jakąkolwiek gazetę, ponieważ uważałam, że w kioskach nie ma godnych uwagi pozycji. Oglądając starsze filmy, na których chłopcy rano rozwozili gazety po osiedlu, a potem czytających prasę mężczyzn przy porannej kawie, myślałam, że nigdy tego nie doświadczę. Nie będę mieć tej przyjemności czytania wartościowej gazety w tramwaju, parku, w domu. Uważałam, że te czasy minęły (mam 26 lat). Jak się cieszę, że się myliłam! Korzystam z „Do Rzeczy” również w wersji cyfrowej, jednak nic nie zastąpi trzymanej w ręku gazety. Nawet listonosz z uśmiechem przyznał, że lepiej wyczekiwać następnego numeru „Do Rzeczy” niż listów z rachunkami.

Pozdrawiam serdecznie z Poznania
Agata Stolarska





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

W kółko to samo

Dylematy przyszłego papieża: czy trzeba będzie znieść celibat i kim będzie duszpasterz przyszłości? – tak zaczyna się felieton ks. Adama Bonieckiego w ostatnim numerze „Tygodnika Powszechnego”. Autor wieszczy: „Żyjemy w epoce zmiany stylu duszpasterstwa. Księża będą nieliczni i staną wobec całkiem innego niż dziś sposobu działania [...]. Może sposobem zaradzenia niedostatkowi personelu będzie zniesienie celibatu. Celibat księży wprowadził Kościół i nie we wszystkich rytach jest on obowiązkowy [...]. Czy to – powtórzmy, wprowadzone przez Kościół – rozwiązanie przy malejącej liczbie powołań się uchowa?”.

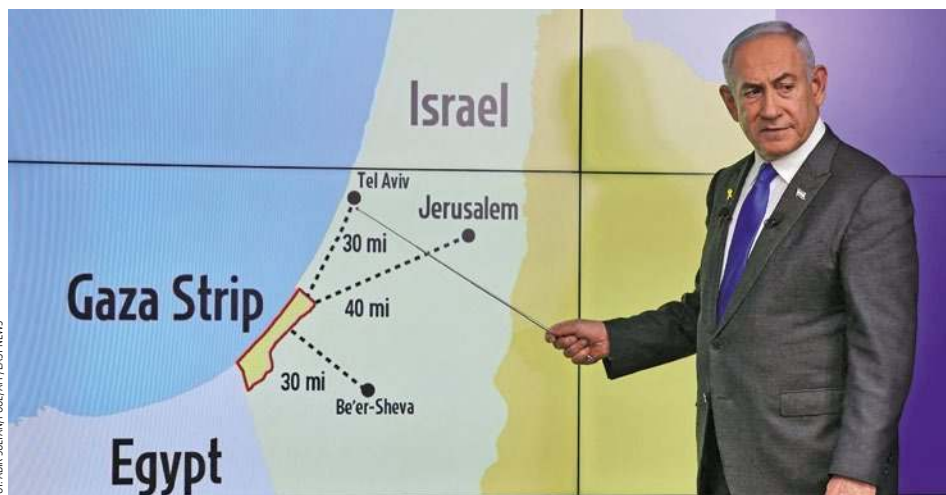
Nawet po wielu latach dyskusji o reformowaniu Kościoła zdumiewa mnie wytrwałość, z którą liberalowie w koloratkach wracają do tematu zniesienia celibatu. Przecież celibatu nie ma w Kościołach protestanckich, a zupełnie nie zapobiegło to w świecie zachodnim gigantycznemu spadkowi liczby duchownych. Dawniej, gdy świętość małżeństwa była powszechnie

ustaloną wartością, przykład pastora i jego bogobojnej małżonki mógł być wzorcem. Dziś, gdy w wielu państwach zachodnich małżeństwa w większości się rozpadają, o żadnym takim wzorcu mowy nie ma. Zniesienie celibatu księży w dzisiejszej kulturze niechętniej religiom to otwarcie kolejnego kanału do wyszydzenia duchownych.

Zwolennicy zmian w Kościele, nawet jeżeli uznają argumenty, że likwidacja celibatu niewiele zmieni, mają gotowy kolejny postulat. Zwiększenie liczby świeckich na ważnych stanowiskach w parafiach i diecezjach. Tyle że środek ten sam w sobie też nie jest cudownym lekarstwem. W czasie wizyt w Republice Federalnej Niemiec często rozmawiam z polskimi księżmi, posługującymi na obszarach niemieckich diecezji. Gdy pytam ich o niezwykle rozwinięty w tamtejszym Kościele system umieszczania świeckich na ważnych stanowiskach, słyszę o tym, że tworzy to nowy rodzaj klerykalizmu. Wytwarza się swoista nomenklatura, zazwyczaj wielce postępowych świeckich,

którzy zasypują parafie rozlicznymi okólnikami, wytycznymi i zaleceniami. W wypadku Niemiec są to świeccy, którzy weszli na swoje stanowiska w latach 80., i bardzo często są to kobiety. Te panie w wieku dojrzałym bardzo często jawią się kapłanom jako ciotki rewolucji, które z lubością wykorzystują swoją władzę do wtrącania się we wszystkie szczegóły pracy parafii. Świeccy urzędnicy kościelni sympatyzujący z socjaldemokratami czy zielonymi urządzają formalne czystki dla usuwania wszystkich tych działaczy parafialnych, których da się przyłapać na jakiegokolwiek formie sympatii dla tożsamościowej AfD.

„Owszem, niemieccy świeccy wyręczają księży w wielu zadaniach w Kościele, ale wprowadzili do niego rytm powolnej demokratycznej struktury, do czego doszło dodatkowo jeszcze piętno politycznych konfliktów”. Warto wsłuchać się w te opinie, zanim także nad Wisłą rozpocznie się lansowanie hasła: świeccy na funkcje w diecezjach, kuriach diecezjalnych i centralnych instytucjach polskiego Kościoła. © ©

NETANJAHU
STRACI WOLNOŚĆ?

Międzynarodowy Trybunał Karny (MTK) wydał w ubiegły czwartek nakazy aresztowania premiera Izraela Beniamina Netanjahu, byłego ministra obrony Jo'awa Galanta oraz dowódcy Hamasu Al-Masrie-go. MTK zarzuca im „zbrodnie przeciwko ludzkości i zbrodnie wojenne” w związku z wojną w Strefie Gazy oraz z atakiem Hamasu na Izrael 7 października 2023 r. W 2023 r. MTK wydał podobny nakaz aresztowania Władimira Putina za zbrodnie wojenne popełnione na Ukrainie. © ©

dwaj panowie g



No więc Nawrocki. Taka wersja obowiązywała w piątek, gdy pisaliśmy te słowa. W czwartek bowiem wiewiórki informowały o decyzji podjętej wreszcie przez Naczelnika. Szanowni Czytelnicy są od nas mądrzejsi, gdyż już po niedzielnej konwencji w Krakowie. My za to usłyszeliśmy parę ciekawych komentarzy z okolic Nowogrodzkiej, więc się podzielimy.

Komentarze dzielą się na umiarkowanie złośliwe i bardzo złośliwe. Nie chodzi o samą osobę Karola Nawrockiego, lecz o intencje Naczelnika. Umiarkowanie złośliwi twierdzą, że nie wierzy w wygraną w wyborach prezydenckich, więc zrezygnował z szukania idealnego kandydata. Bardzo złośliwi mówią, że kandydatem na prezydenta nie mógł zostać Przemysław Czarnek, bo po przegranych wyborach, ale już z poparciem wielu milionów wyborców, zabrałby Naczelnikowi partię.

Tymczasem dochodzą nas słuchy o starcie w wyborach tajemniczego czarnego konia. A może „złotego konia”, bo chodzi o jednego z polskich miliarderów. Początkowo mówiono o właścicielu InPost Rafale Brzósce. I rzeczywiście, mąż Omeny Mensah się nad tym zastanawiał. Uznał, że to nie jego czas. Wiewiórki twierdzą jednak, że jest zaangażowany w rozmowy na temat wystawienia innego człowieka biznesu. Takiego polskiego Trumpa, który ma dość pieniędzy, by wydać 50 mln na kampanię. Nasze wiewiórki jednak twierdzą, że decyzyja w tej sprawie zapadnie dopiero po świętach.

Nie wszyscy za to zauważyli, że dwaj główni kandydaci PiS na kandydata w minionych tygodniach mocno tracili. Nie na poparciu, ale na wadze. Złośliwi mówili o cudownym działaniu Ozempicu. Nasze twierdzą, że obaj stosowali konserwatywne metody gubienia kilogramów – mniej żyry i więcej się ruszają. Przy okazji przypomniał nam się słynny bon mot Dunina-Wąsowicza z czasów, kiedy o prezydenturę ubiegał się po raz pierwszy Aleksander Kwaśniewski: „Generał Sowiński dla ojczyzny stracił nogę, a Olek 15 kg”.

Jeszcze o kampanii. Mamy też orzeszki od wiewiórek aż zza oceanu. Ludzie z przyszłej administracji Dobrego Donalda z Waszyngtonu zastanawiają się, kto byłby lepszym dla USA kandydatem na prezydenta Polski. Jak wiadomo, Andrzej Sebastian, nazywany przez Trumpa „my dear friend”, trzeci raz startować nie może. A zarówno Karol Nawrocki, jak i Przemysław Czarnek za oceanem nie są specjalnie znani. Podobno wzrok wuja Sama miał paść na gen. Andrzejczaka. Ten akurat w kręgach Pentagonu jest znany doskonale. I choć sam gen. Mundeck już wiele razy odmawiał, to otwarte pozostaje pytanie, czy nie ulegnie namowom wuja Sama. Zwłaszcza że będzie miał wsparcie Kanału Zero.

Tymczasem w księgarniach. Czasem życie stawia przed nami zadania ponad siły. Na przykład w kwestii lektur na najbliższe tygodnie, bo zapowiada się pojedynek tytanów. Wywiad rzeka z Szymonem Hołownią czy autobiografia Angeli Merkel? Co wybrać? Która bardziej fascynująca? Jak żyć? Na szczęście znaleźliśmy rozwiązanie. Zamiast czytać te wspaniałe książki, postanowiliśmy pa-trzeć, jak u kolegi farba schnie na ścianie. Było to o wiele ciekawsze.

Uwaga, książkowe wynurzenia Szymka Płaczliwego 2050 reklamowane są zdaniem: „Najbardziej charyzmatyczny rozgrywający na polskiej scenie politycznej”. Doprawdy, nie wiemy, jak na to odpowiedzieć. To tak, jakby w atlasie geograficznym napisać „Rzeka Supraśl – Amazonka Północy”.

Za granicą też wydają książki. I je promują. Na brukselskie spotkanie z okazji premiery książki niemieckiego eurodepa Elmara Broka pofatygowali się m.in. były szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker oraz przewodnicząca europarlamentu Roberta Metsola. Było swobodnie, bo towarzystwo było przekonane, że bawi się wśród swoich. Metsola dziękowała Niemcom za to, że zawsze byli jej mentorami, Juncker demonstrował wielkie zamiłowanie do napojów, a bohater wieczoru, Herr Brok, przysnął ostatecznie na własnej promocji. Ot, Unia Europejska w pigułce.

Płyną do nas prośby, byśmy pustosunkowali się do sprawy zarzutów wobec nababów nowej władzy, to znaczy Jacka Sutryka, włodarza Wrocławia, oraz Sławomira Neumanna, włodarza dochodów. Przychodzi nam do głowy jedynie nawiązanie do słynnej facecji Franca Fiszera. Nasza wersja brzmi: „W Polsce nie będzie dobrze dopóty, dopóki się nie zamknie 20 tys. PiS-owców! A jeśli się tyłu nie znajdzie? To się dobierze z Platformy”.

Atak na serio, zwracamy uwagę na ciekawą wypowiedź prezydenta Poznania, Jaśkowiaka Jacka. Zeznania obciążającego wszystkich rektora Collegium Humanum skomentował: „To gej, po roku w areszcie powiedziałyby wszystko, czego chce od niego prokurator”. Poddajemy te słowa pod uwagę nie tylko obrońcom oskarżanych polityków, lecz także rozmaitym organom unijnym: jak widać, reżim Tuska nie tylko przesładuje gejów, lecz także zamyka ich w aresztach wydobywczych. Gdyż zdaniem Jaśkowiaka: „Ktoś, kto znajduje się rok w areszcie, powie bardzo dużo, żeby tylko wyjść na wolność”.

Rozszerzymy wątek ciekawej wypowiedzi Jaśkowiaka Jacka. Z tego, co wiemy, rektor Collegium Humanum, czyli Przemysław Cz., nie jest jedynym gejem (trzymamy się terminologii Jaśkowiaka) zatrzymanym w sprawie uczelni. W odróżnieniu od Jaśkowiaka nie będziemy jednak podawać nazwisk osób, które sobie tego nie życzą. ©©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Hołownię wyprowadzić

Nie dziwi, że Szymon Hołownia wbrew wszystkiemu będzie kandydować na prezydenta. W końcu po to tworzył partię, po to ogłaszał nową erę demokracji cyfrowej z aplikacją Jaśmina (kto jeszcze pamięta?), po to urządził „Netflixa” w Sejmie i upajał się własnym odbiciem, powtarzając: „Internecie, powiedz przecie, kto najpiękniejszy na świecie?”. Że zatem zgłosił swą kandydaturę – nic dziwnego. Ale że tak głupio? Oznajmiając, że będzie kandydatem „niezależnym”, „ponad podziałami” i że „połączy społeczeństwo” rozerwane podziałem między PiS i PO?

Albo Szymon Hołownia jest człowiekiem zakłamanym, albo głupim. Kiedyś mógł się przecieć na polskiej

scenie politycznej ustawić inaczej. Wyrok wyborców dał mu pozycję blokującą: aż prosiło się budować narrację: „My też chcemy odsunięcia PiS od władzy, ale cel nie uświęca środków”. Mógł łatwo udowodnić, że ma swoje zdanie, że jest zdecydowany ochronić w Polsce prawo i rozsądek, że pilnuje, aby zmiany szły ku lepszemu, a nie ku robieniu przez nową koalicję wszystkiego tego, o co oskarżała PiS, tylko bardziej. Naprawdę, miał wszystko, co było do odegrania takiej roli potrzebne, poza szczyptą charakteru. Z własnej nieprzymuszonej woli sekundował we wszystkich świństwach Tuska, autoryzował bezprawie Sienkiewicza i Bodnara i sam łamał prawo, wygaszając immunitety czy śląc na lewo kwity do „naszych” sędziów

w Sądzie Najwyższym, a nie do Izby, do której powinien je śłać z mocy ustaw.

I teraz, po tym, jak sam sprowadził się do roli bezwolnego popychadła silniejszego koalicjanta, nagle ogłasza się „niezależnym” od niego? I jeszcze puszy się, że robi w Pałacu to samo, co w Sejmie? Czyli co? Cyrk? Nie dostrzega, jak bardzo jest groteskowy, czy testuje, ile jeszcze można elektoratowi wcisnąć kitu?

Jeśli to drugie – to sondaże pokazują, że odpowiedź brzmi: nie aż tyle. Sny o prezydenturze skończą się żenującym wynikiem, rozpadem Trzeciej Drogi, a potem i Polski 2050, która już zapewniła swym działaczom, co mogła, i więcej nie zapewni. Błazen zrobił swoje, błazen może odejść. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Jak to się robi w Ameryce?

Donald Trump wygrał wybory prezydenckie w czasie, gdy kierownictwo PiS dywagowało, czy PiS przegrał przez wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 2020 r. (potwierdzający prawo niepełnosprawnych dzieci do tego, żeby się urodzić). Nie bardzo widzę związek. PiS wspólnie z PO odrzucił w Sejmie ustawę Stop Aborcji w 2016 r. W 2018 r. zablokował ustawę Zatrzymać Aborcję. Wniosek do Trybunału Konstytucyjnego był (obok powołania podkomisji sejmowej, która się nigdy nie zebrała) jednym z elementów obstrukcji w tej sprawie. Nawet tego było za dużo?

A jak to się robi w Ameryce? Największym osiągnięciem pierwszej kadencji Donalda Trumpa była definitywna zmiana większości w Sądzie Najwyższym, potwierdzona wyrokiem Dobbs vs. JWHO, przywracającym stanom prawo do ustawowej ochrony życia nienarodzonych. W Stanach też straszono, że Trump przez to wybory przegra. Tymczasem poparcie dla niego stale rośnie. W 2016 r., gdy wygrał, dostał niespełna 63 mln głosów. W 2020 r., gdy przegrał – 74 mln. A w tym roku głosowało na niego ponad 76,5 mln Amerykanów.

Oczywiście wygrał nie dlatego, że społeczeństwo od razu się zmieniło. Z 10 referendum stanowych, przeprowadzonych w sprawie pra-

wa do życia podczas niedawnych wyborów prezydenckich, aborcjoniści wygrali siedem. Ta walka bynajmniej się nie skończyła, ale też nikt nie próbuje jej wygasić.

Na czym więc polegała główna różnica między Ameryką a Polską, między polityką PiS a MAGA? Otóż Donald Trump nigdy nie demobilizował opinii publicznej broniącej życia i rodziny. Przeciwnie, niezależnie od wszystkich meandrów taktycznych i osobistych wahań dochował jej politycznej solidarności i wspierał ją. Nie wywierał żadnej presji na wyciszenie spraw cywilizacji życia w Kongresie czy legislaturach stanowych. Oparł się na prawicowej opinii, a nie ją ujarzmił. I razem z nią wygrał. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Wypływam niemieckim statkiem spod
wybrzeży Afryki, wysiadam
w Europie, udaję się do Niemiec,
Niemcy wypychają mnie do Polski,
Polacy płacą, żebym wrócił do Afryki,
wracam i od razu udaję się na
niemiecki statek ...



C E Z A R Y K R Y S Z T O P A

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O podżegaczach

Obrzydliwa strategia włoskiej lewicowej opozycji zaczyna powoli przynosić porażające skutki. Postępowcy uznali, że najlepszymi sposobami powrotu do władzy są totalna konfrontacja, język nienawiści, demonizacja rywala i wkładanie rządowi kija w szprychy przy każdej nadarzającej się okazji, nawet ze szkodą dla Włoch.

Włoska lewica w PE zapowiedziała, że będzie głosować przeciw kandydaturze Raffaele Fitta na wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej. W odpowiedzi wywodzący się z lewicy prezydent Sergio Mattarella zaprosił go na spotkanie w Pałacu Kwirynalskim. Wsparcia udzielili Ficcie legendarny wódz lewicy Romano Prodi, a także

byli premierzy i byli komisarze europejscy Mario Monti i Paolo Gentiloni. W końcu, dopiero po awanturze w PE, naciskom ulegli.

Filarem propagandy włoskiej lewicy jest wmawianie ludziom, że obecnie w Italii u władzy są faszysty, którzy lada chwila wprowadzą dyktaturę. Owoce tego szaleństwa są opłakane. Z sondaży wynika, że notowania koalicji rządowej są o 4 proc. wyższe niż w wyborach dwa lata temu.

Porażającym skutkiem tych rojeń jest gwałtowna radykalizacja młodzieży. W ostatnich demonstracjach gówniarzerii przeciw rządowi, rzekomo w związku z niedofinansowaniem edukacji, pojawiły się symbole Czerwonych Brygad, a ostatnio także wymowny gest z tamtych lat: wyciągnięte trzy palce imitujące trzymany w rękę

rewolwer. Były transparenty z pogróżkami: „Zapłacicie drogo, zapłacicie wszyscy”, a także portrety premier Meloni z podpisem „faszystka i syjonistka”, umazane czerwoną farbą. Ma to oznaczać, że ma na rękach krew Palestyńczyków, bo wspiera Izrael.

Od słów i gestów przyszłość narodu przeszła do czynów. W Turynie zaatakowali grupę policjantów bombą z chlorem. Dwudziestu zatrutych wylądowało w szpitalu. Nie darmo profesor rzymskiego liceum Christian Raimo mówi swoim uczniom, że faszystów bić można, a nawet trzeba.

Ci, którzy pamiętają, biją na alarm, że odradza się klimat końca lat 60. ubiegłego wieku, gdy w Italii rodził się lewacki terror. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

POJEDNANIA CZAS

Na cuda świąteczne chyba jeszcze trochę za wcześnie. Chociaż zakopanie topora wojennego między Edytą Górniak a Dodą Elektrodą to dla świata show-biznesu wydarzenie tak ważne, że kto wie. Spierające się od lat piosenkarki spotkały się za kulisami finału „Tańca z gwiazdami”. Media liczyły, że panie znów skoczą sobie do gardeł, ale wydarzyło się coś odwrotnego. Nie dość, że ucięły sobie



FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

miłą pogawędkę, to na jej koniec padły w objęcia. Doda potwierdziła, że zakończyła konflikt z Edzią. – Nie będę mówiła o czym rozmawialiśmy, bo to są nasze prywatne sprawy, nie robimy tego na pokaz. Ja podeszłam i się cieszę. To jest koniec pewnej epoki, pogodzyliśmy się – przyznała. Z kolei Edzia wyznała, że jest pozytywnie zaskoczona. – Jestem bardzo mile zaskoczona. Być może zbliżające się święta to jest czas magii – wskazała. Dawna rywalka pochwaliła nawet występ Edyty. – Bardzo się cieszę, że Dodzie tak,

jak mi powiedziała, podobało się moje wykonanie. Jest to utwór z mojej płyty, więc z przyjemnością przekażę płytę czy dla niej, czy dla jej rodziców, jeśli będzie chciała, na święta. Bardzo fajnie, cieszę się – powiedziała Górniak. O co właściwie poszło? Publiczną wojenkę zapoczątkowała Edzia, która w 2005 r. nazwała młodszą koleżankę z branży „Dodą Krową”. Dwa lata później skrytykowała utwór „Szansa” zespołu Virgin, w którym wtedy śpiewała Rabczewska. Nazwała piosenkę „durną”. Doda nie pozostała dłużna. – Dziwię się, że starsza pani piosenkarka nie zna innych sposobów na promocję niż tanie dowcipy i robienie komuś przykrości – komentowała nieeleganckie wycieczki Edzi. Dwadzieścia lat później panie zmądrzały. Wszystko, widać, ma swój czas.

JAK ZŁY, TO KATOLIK

Pozostając w świecie piosenek, Natalia Niemen podzieliła się z internetowymi fanami nieprzyjemną sytuacją, z którą spotkała się na dworcu. „Dziś, na dworcu w Poznaniu (a jakże), napadła na mnie starsza, mała, zaniedbana kobieta, z agresją i opętaniem w oczach. Wrzeszczała przekleństwa, co mi się ma stać złego. Wyzywała mnie od sz..t. Dyszała jakąś koszmarną, lucyferiańską czeluścią” – relacjonowała Niemen. Towarzyszący jej znajomy „odgonił” agresorkę. Wokalistka wysnuła z całej sytuacji bardzo daleko idące wnioski. „Idę o zakład, że pani jest bardzo religijną katoliczką. Ale taką bez Boga, jeno z religią i ideałami systemu. Dlaczego o tym piszę? A nie wiem. Może dlatego, żeby było wiadomo, z czym się muszę niejednokrotnie mierzyć i ile mam siły na to wszystko” – napisała. Jednak wielu internautom nie spodobało się przypiekanie katolikom łatki nienawistników bez żadnego uzasadnienia. „Masakra taki komentarz. Wyobrażasz sobie analogicznie »idę o zakład, że pani jest bardzo religijną żydówką«, »Idę o zakład, że pani jest osobą transpłciową«” – napisała jedna z oburzonych osób. „Pani Natalio. Religijna katoliczka stosuje się do zasad Ewangelii, z którymi

sprzeczna jest agresja” – dodał ktoś inny. Na refleksję nie liczmy.

ZAKAZ WSTĘPU

Skoro o uprzedzeniach, to tych niestety nie brakuje. Szczególnie kłują w oczy „młodych wykształconych” ci, którzy powinni być po „właściwej stronie”, a z jakiegoś powodu wymykają się tępych podziałom. Jakiś czas temu gościem w Telewizji Republika był Muniek Staszczak z zespołu T.Love. Ceniony muzyk opowiadał m.in. o wierze. Wizyta Muńka wywołała w sieci prawdziwą furę. No bo jak to tak? Do Sakiewicza iść? Prowadząca tamtą rozmowę dziennikarka Anna Popek przyznała, że niekiedy zaproszeni goście odmawiają wstępu w Telewizji Republika, czasami czyniąc to w mało elegancki sposób. – To jest absurdałne. Medium to jest środek. Z łaciny. Czyli w sensie przenośnym środek, czyli wypośrodkowanie między jedną skrajnością a drugą [...]. Niektórzy traktują to po prostu jako zdradę stanu. To jest naprawdę już zabawne. Czasem te odmowy są takie ostentacyjne, niektórzy się napinają, że w Republice nie wystąpią. A potem siedzą i oglądają kolegów, którzy występują, i troszkę im zazdroszczą, do czego nie chcą się oczywiście przyznać. Więc uważam, że to jest absurdałne i bardzo dziecinne. Jeśli ktoś ma rację, no to obojętnie gdzie ją będzie wygłaszał, to ta racja będzie racją nadal i będzie logiczna, prawda? – wskazała Popek w wywiadzie dla Jastrząb Post. Prezentanka odniosła się do sprawy Staszczaka. – Mnie to naprawdę zaskoczyło. Jestem po prostu tym, po pierwsze, oburzona, ale też to jest tak żenujące, że artysta, który wzbudził tyle wspaniałych emocji, który skomponował tyle wspaniałych piosenek, nagle jest oceniany przez pryzmat stacji, w której wystąpił. Po jednym wywiadzie przekreśla się całe lata wielkich doświadczeń, wspaniałych koncertów, talentu muzycznego tylko dlatego, że wystąpił w Republice, którą ktoś uważa za niewłaściwą – ale cała masa Polaków uważa, że jest bardzo właściwa – wskazała Anna Popek. A niby to prawica jest uprzedzona do wszystkich i wszystkiego, co inne. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, przychodzimy sobie pewnego dnia do korpo, a Nowy z Tarnowa, jak to on, pożera na drugie śniadanie kiełbasę, zagryzając bułką z białej (a jakże) pszennej mąki i popijając kefirem czy tam inną maślanką.

Niby nic, ale Nowy jednak jakiś świąteczny był. Wąs równo przyczesany, przedziałek na głowie, garnitur, kaptcie wyczyszczone i wypolerowane. Patrzy na nas i z dumą mówi: polska kiełbasa jest najlepsza na świecie.

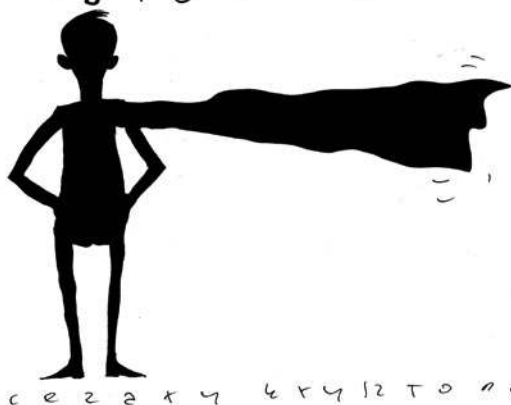
Machnęliśmy ręką, iż w zależności od tego, co jego Grażyna naszykuje mu „na drugie do roboty”, mówi tak samo o pasztetowej, smalcu, salcesonie czy innych dziwacznie wyglądających produktach, których nie dalibyśmy do jedzenia osobokotu, nawet gdybyśmy go nie wychowywali w diecie wegańskiej.

Tymczasem okazało się, iż Nowy rozesłał wszystkim e-maila, że polska kiełbasa została wyróżniona w jakimś zagranicznym konkursie i zdobyła pierwsze miejsce, pokonując wiele innych kiełbas z całej Europy. Taka to hipokryzja prawaków, że co do zasady Europa zła, ale jak nas za coś pochwali, to wtedy nie.

Trochę zgłębiliśmy temat i niestety wygląda na to, że w postępowej jednak przeciw Europie nadal się odbywają tego rodzaju plebiscyty, których twórcy za nic sobie mają wrażliwość współczesnych osób. To już wolimy, kiedy ten kraj okazuje się liderem w uprawie piecza-

rek, eksportu jabłek czy innych malin. A ta cała sytuacja z polską kiełbasą to cóż, utrwalanie stereotypów, bardzo szkodliwych, iż dalej się na Zachodzie będziemy kojarzyć z taką wesołą cepelią, a nie z krajem, który od niedawna może mieć coś poważnego do zaoferowania.

Wstrzymał rozwój, dał inflację,
obca go przyszłość ucija...



Tymczasem Europa Zachodnia nadal pozostaje w awangardzie postępu i tzw. pozytywnej dyskryminacji. Of kors ten kraj dzielnie goni, np. pozwalając mężczyznom pójść na emeryturę dopiero pięć lat po tym, jak mogą to zrobić wagiñosoby. Ale np. takie Niemcy wymyśliły jeszcze ciekawszy projekt.

Otóż pojawiły się tam postulaty, iżby mężczyźni mogli uzyskiwać uprawnienia do prowadzenia samochodu dopiero

po 26. roku życia. Przyznajmy, iż jest to rewolucyjny pomysł i otwiera szerokie możliwości rekwalifikacji wagiñosób na rynku pracy, w charakterze kierowczyń-operatorów pojazdów oczyszczania miast czy też kierowczyń tirów, bo z jakiegoś powodu jest to zawód zdominowany przez wąsatych januszów – tak, tak, ten kraj kierowcami zawodowymi stoi.

A skoro przeciętna wagiñosoba potrafi w ruchu miejskim świetnie prowadzić dużego SUV-a i traktować go jako auto na zakupy, to dlaczego miałaby nie poradzić sobie i z większym gabarytem?

A mężczyźni – cóż. Najpierw należy dojrzeć, ogarnąć się, dorosnąć, może jeszcze zdać testy psychologiczne, a dopiero potem brać się za prawo jazdy i korzystanie z dróg publicznych. Porównajmy to do takich inicjatyw jak np. dni na basenach czy w saunach lub siłowniach tylko dla kobiet. A to po prostu jest pójsim o krok dalej.

Kolejnym krokiem w kierunku postępu będzie w ogóle pozbawienie mężczyźni możliwości prowadzenia pojazdów. Wtedy, kiedy na drogach będą same wagiñosoby, zniknie agresja drogowa, podobnie jak agresja i wojny zniknęłyby – zdaniem niektórych feministek – wtedy, kiedy tylko kobiety byłyby odpowiedzialne za politykę i stosunki międzynarodowe. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

W polityce trzeba kłamać

Andrzej, mam prośbę: czy mógłbyś trochę się wstrzymać z tą Ukrainą? Sondaze pokazują, że to się nie

sprzedaje. Naszemu kandydatowi to może zaszkodzić...

No nie, Mateusz. Sława Ukrainie!

Ja wiem, sława, sława. Ale wiesz, sam Zełenski teraz powiedział, że nie będzie walki o Krym.

Może powiedział, ale czasem w polityce trzeba kłamać, sam wiesz najlepiej.

Wiem.

No właśnie. Sława Ukrainie!

Mimo wszystko – może byś o Wołyniu coś chociaż wspomniał?

To by nam pomogło...

O, to mogę zrobić: nie czas rozmawiać o Wołyniu, gdy Ukraina w ogniu! Sława Ukrainie! ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Mieszkam, jak nie pracuję w Warszawie, w gminie Szubin, powiat Nakło, i dlatego uważam, że też lepiej czuję problemy Polski poza stolicą”.

RADOSŁAW SIKORSKI, szef MSZ, mieszkaniec zabytkowego dworku w osadzie Chobiellin-Dwór





NIEMIECKA GOSPODARKA W NAJWIĘKSZYM KRYZYSIE OD DEKAD

Wolfsburg. Miasto, w którym znajduje się legendarna siedziba Volkswagena w Niemczech, w ubiegły czwartek było miejscem gwałtownych protestów. Tysiące pracowników koncernu Volkswagena protestowało przeciwko planom radykalnego cięcia kosztów podupadającego niemieckiego producenta samochodów.

„Walczymy o przyszłość” i „Solidarność zwycięży” – to tylko niektóre z napisów na transparentach związkowców, którzy protestują przeciw planom zamknięcia trzech fabryk w Niemczech, masowych zwolnień oraz obniżek pensji o co najmniej 10 proc.

Poważne problemy ma nie tylko koncern Volkswagena. Liczba bankructw firm w Niemczech jest najwyższa od dekady. Najczęściej upadają firmy sektora transportowego, logistycznego, ale kłopoty mają też m.in. branża hotelarska oraz sektor budowlany.

Największą gospodarkę Europy z dużym prawdopodobieństwem czeka kolejny rok recesji. W 2023 r. skurczyła się ona o 0,3 proc., w tym roku prognozy mówią już o spadku o 0,1 proc. Fatalny stan „Deutsche Wirtschaft” w połączeniu z kryzysem wywołanym niekontrolowaną nielegalną imigracją doprowadził już też do poważnego kryzysu politycznego, rozpadu koalicji rządowej i ogłoszenia przyspieszonych wyborów do Bundestagu, które odbędą się 23 lutego 2025 r.

Hamowanie niemieckiej gospodarki może przełożyć się na gorsze wyniki również polskiej gospodarki, a zwłaszcza polskich eksporterów.

(jap) © ©

FOT. FLIP SINGER/EP/PAF



Jan Fiedorczuk

Niemal za każdym razem, gdy Ukraina uderza w państwo polskie, nasze władze przyjmują tę samą strategię – udają, że pada deszcz. Możemy się święcie oburzać na butną postawę ekipy Wołodymyra Zełenskiego, ale w rzeczywistości my sami ją sprowokowaliśmy

Strona ukraińska przyjęła zmianę władzy w Polsce z nadzieją na odwilż we wzajemnych relacjach. „Odwilż” rozumianą jako kapitulacja polskiej strony we wszystkich spornych kwestiach. Problem zboża miał zniknąć, Wołyń zostać zapomniany, a akcesja do Unii Europejskiej stanąć otworem w ciągu dwóch–trzech lat. Nawet kilka dni temu przewodniczący Rady Najwyższej Rusłan Stefanczuk wyraził przekonanie, że dzięki polskiej prezydencji w Unii Europejskiej „dojdzie do znaczącego zintensyfikowania postępów” w procesie akcesyjnym.

Również w Polsce nie brakowało głosów, że po przejęciu sterów przez koalicję centrolewu nastąpi wyraźne ocieplenie stosunków z Ukrainą. Sam premier Donald Tusk niedługo po przejęciu władzy deklarował, że „nie ma takiej siły, która podważyłaby przyjaźń Polski i Ukrainy”, a minister Radosław Sikorski miał rozmawiać z prezydentem Zełenskim na temat tego, jak sprawić, aby w przeciągu kilku lat „obydwa państwa stworzyły silne wschodnie płuco Unii Europejskiej”. Po roku od wyborów parlamentarnych widzimy, że – mimo deklaracji polskiego rządu – do żadnej „odwilży” nie doszło, a niektórzy ukraińscy dyplomaci zaczynają wręcz żałować, że do władzy doszła centrolewicowa koalicja. Zbigniew Parafianowicz opisywał jakiś czas temu, jak wiceszef ukraińskiego MSZ przyznał, że PiS „mówił nam przykre rzeczy, ale dawał żelazo [czyli broń – przyp. J.F.]”, podczas gdy Donald Tusk i Radosław Sikorski dają jedynie zapewnienia. „Składają deklaracje, ale



Doktryna Warszawy: Udawać, że pada deszcz

Prezydenci Polski i Ukrainy
Andrzej Duda
i Wołodymyr Zełenski

FOT. ABACA/EAST NEWS

ukraińskiego IPN Anton Drobowycz, który stwierdził, że cały spór wokół Wołynia jest sztuczny, żadnej blokady ekshumacji nie ma, a Polacy po prostu... źle składają wnioski w tej sprawie.

W ostatnich miesiącach nie brakowało większych i mniejszych szpil wbijanych polskiej stronie, ale szczególnie głośno było o szorstkiej wymianie zdań między ukraińskim przywódcą a szefem polskiej dyplomacji. „Ton rozmowie od samego początku nadał prezydent Zełenski, który w litanii pretensji zarzucił Warszawie m.in. to, że nie wspiera Ukrainy w rozmowach akcesyjnych do Unii Europejskiej” – pisał Witold Jurasz na łamach Onetu. Ukraina chce bowiem skończyć negocjacje unijne już w przyszłym roku, co nawet pomijając toczącą się wojnę, jest po prostu niemożliwe. Dla odpowiedniego zarysowania perspektywy dodajmy, że Polsce te rozmowy zajęły dekadę. Ponadto Zełenski miał zarzucać Polakom brak odpowiedniej pomocy militarnej oraz odmawiania strzelania do rosyjskich rakiet znajdujących się w ukraińskiej przestrzeni powietrznej.

Wygląda to zatem tak, że im Warszawa jest przychylniej nastawiona do Kijowa, tym mocniej dostaje po nosie. Fundamentalne pytanie brzmi, nie dlaczego Ukraina robi to, co robi, tylko dlaczego Polska przymyka oczy na kolejne bezczelne popisy. Po każdym ataku ze strony Kijowa nasze władze udają, że pada deszcz. Dlaczego?

ARGUMENTUM AD PUTINUM

Polska bierność nie sprowadza się bowiem do akceptacji ukraińskich przytyków, ale oznacza wręcz przyjmowanie obcego sposobu postrzegania polityki. Dla zobrazowania, jak wielki wpływ wywiera ukraińska strona, zestawmy dwie sceny. Najpierw debata generalna Zgromadzenia Ogólnego ONZ z września 2023 r. W owym czasie relacje między Polską a Ukrainą od miesięcy trawił kryzys zbożowy i to właśnie tenże spór nieoczekiwanie stał się kanwą wystąpienia Wołodymyra Zełenskiego. – Niepokojące jest to, jak w tej chwili niektórzy w Europie podważają solidarność i organizują teatr polityczny, robiąc thriller ze zboża. Może się wydawać, że odgrywają swoją własną rolę, ale zamiast tego pomagają przygotować scenę dla moskiewskiego aktora – prze-

mawiał ukraiński prezydent. Polska strona ograniczyła się do wyrażenia zdziwienia słowami Zełenskiego, chociaż nawet te odpowiedzi były kierowane głównie do polskich odbiorców, w świat poszedł przekaz o pożytecznych idiotach Putina.

I teraz druga scena. Od debaty na forum ONZ minął niemal równy rok, w Polsce w tym czasie m.in. doszło do zmiany rządu, a nowym szefem MON i zarazem wicepremierem został Władysław Kosiniak-Kamysz. Szef PSL podczas kolejnej odsłony sporu o Wołyn odważył się zasugerować, że jeśli pomiędzy dwoma państwami nie zostanie rozwiązana sprawa upamiętnienia ofiar ludobójstwa, to dla Ukrainy nie będzie miejsca w Unii Europejskiej. Andrzej Duda zarzucił wówczas wicepremierowi sprzyjanie Rosji. – Jeżeli ktoś mówi w związku z tym, że będzie blokował dostęp Ukrainy do Unii Europejskiej, to tym samym wpisuje się w politykę Władimira Putina – stwier-

**Im Warszawa jest przychylniej
nastawiona do Kijowa,
tym mocniej
dostaje po nosie**

dził prezydent. Tak oto głowa państwa polskiego stała się przekąźnikiem narracji ukraińskich elit w sprawie Wołynia. Tę samą taktykę, którą zastosowano wobec niego rok wcześniej, teraz Andrzej Duda zastosował wobec wicepremiera polskiego rządu, uwiarygadniając, kłamliwą przecież, argumentację Kijowa.

Ten spłot wydarzeń, te dwie sceny, oddzielone w czasie o 12 miesięcy, są doskonałym, podsumowaniem tego, w jakim stopniu Ukrainie udało się narzucić polskim elitom swój punkt widzenia. Przytoczone zestawienie uczy nas o dwóch rzeczach. Po pierwsze, państwo polskie nie posiada żadnej skoordynowanej polityki względem Ukrainy, a poszczególne ośrodki władzy zaprzeczają sobie nawzajem, tworząc informacyjną kakofonię. Po drugie natomiast, w Polsce do głosu po raz kolejny doszedł kompleks jagiellonizmu – przekonania, że nasze państwo wraz z krajami tzw. ULB tworzy ponadnarodową wspólnotę, która powinna determinować naszą

niewiele z tego później wynika” – stwierdził dyplomata.

KIJÓW ŻĄDA CORAZ WIĘCEJ

Tymczasem oczekiwania ukraińskiej strony stale rosną. Kijów domaga się przekazania migów, Kijów chce, by Polska zestrzeliwała rosyjskie rakiety nad ukraińskim terytorium, Kijów niemalże z pogardą traktuje wszelkie próby i sugestie dotyczące ekshumacji ofiar ludobójstwa na Wołyniu. Przykładem tego ostatniego było choćby wystąpienie ówczesnego szefa ukraińskiego MSZ Dmytra Kułeby na Campusie Polska, gdy to polityk zrównał ukraińskie ludobójstwo z akcją „Wisła” (przy całkowitej bierności obecnego na sali ministra Sikorskiego). W podobne tony uderzał zresztą szef

■ dyplomację. To ten mit, którym szczególnie żyją elity PiS-owskie, wydaje się genezą narastającego sporu między Polską a Ukrainą. Relacje między państwami z samej zasady nie mogą bowiem być ustawiane na tej samej płaszczyźnie, na której znajdują się relacje między jednostkami.

NEOJAGIELLONIZM

Znamiennym przejawem tegoż neojagiellonizmu były niekończące się podchody polskich dygnitarzy do tematu Wołynia. Szczególnie przysiębiająca (mówiąc eufemistycznie) okazała się postawa Andrzeja Dudy, który bardziej utożsamiał się z ukraińską wrażliwością niż polską potrzebą uzyskania sprawiedliwości. Media swego czasu obieżyły nagrania, jak prezydent pouczał rodziny ofiar rzezi, aby te – dopominając się o chrześcijański pochówek dla swych bliskich – „wazyły słowa”, a ks. Isakowicz-Zaleskiego strofował, by „zajmował się tym, czym powinien zajmować się ksiądz”. Duda tak bardzo przejmował się uczuciami strony ukraińskiej, że w swych wypowiedziach w pewnym momencie zaczął posługiwać się określeniem „pomordowanych Polaków” albo wręcz pisać o „ofiarach Wołynia”. Co uzyskaliśmy tym uczynnym podejściem? Wspólną Mszę Świętą obu prezydentów, z której Wołodymyr Zełeński wyszedł w połowie nabożeństwa, oraz odsłonięcie posągów lwów na cmentarzu Orląt. Wiele starań, wiele prośb, wiele obietnic, które do niczego nie doprowadziły. Tymczasem – jak donoszą ukraińskie media – już niedługo w centrum tegoż Lwowa ma stanąć pomnik dowódcy UPA Romana Szuchewyca, na którego spada bezpośrednia odpowiedzialność za rzeź wołyńską. Polska polityka względem Ukrainy z oczywistych względów nie może być uzależniona od tematu Wołynia i kultu Bandery, ale sprawa pamięci o ludobójstwie jest doskonałym zobrazowaniem kompleksów, które Polska ma wobec wschodniego sąsiada, naszego braku umiejętności wyznaczania i egzekwowania granic.

Zostawmy Wołyń i cofnijmy się do 2022 r., gdy to ledwie dwa miesiące po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji polski parlament przyjął tzw. ustawę sankcyjną, która miała uderzyć w podmioty wspierające Rosję. Ustawa spotkała się jednak z krytyką ukraińskich władz ze względu na odrzucenie przez Sejm

Znamiennym przejawem neojagiellonizmu są podchody polskich dygnitarzy do tematu Wołynia

jednej z senackich poprawek, która wprowadzała dodatkowy zakaz obejmujący import LPG z Rosji (polska strona tłumaczyła, że odrzucone rozwiązanie po prostu uderzałoby w miliony polskich obywateli). – Trzeba wybrać: albo tańsze paliwo, albo życie walczących na wojnie – stwierdził wówczas ambasador Andrij Deszczycia. Dyplomata nie wspomniał, że sama Ukraina mimo wojny nie zawiesiła wymiany handlowej ze zbrodniczym reżimem Putina, ale ukraińska narracja została przejęta (kolejny raz!) przez polską stronę, gdy marszałek Senatu Tomasz Grodzki w imieniu wyższej izby parlamentu przeproszał Ukraińców za to, że Polska importuje węgiel z Rosji.

Przytyków, szpil i gestów ze strony Kijowa było znacznie więcej, ale najistotniejszy jest sam moment, w którym one padały – miesiąc, dwa miesiące po rozpoczęciu przez Rosję inwazji, czyli w czasie, gdy niepodległość Ukrainy de facto zależała od Polski, gdy Niemcy wysłali hełmy i koce, po cichu przygotowując się na upadek Kijowa, gdy o pełnoskalowej pomocy ze strony Brukseli nie mogło być mowy, a machina amerykańska dopiero nabierała rozpędu.

POLSKA TRACI NA ZNACZENIU

Liberalne, mainstreamowe media, które obecnie załamują ręce nad tym, jak to polskie elity dały się wykorzystać, jeszcze niedawno same gruntowały emocjonalny stosunek do Kijowa, wyzywając każdego, kto starał się chłodzić rozgrzane polskie głowy w 2022 r. To tzw. eksperci snuli wizję rozpadu Rosji, przejścia Kaliningradu oraz federacji polsko-ukraińskiej. Wiele o Polakach mówił zwłaszcza ten ostatni pomysł rozwijany w różnych wariantach przez takich publicystów i analityków jak choćby Marek Budzisz („Sieci”), Jerzy Marek Nowakowski (Nowa Konfederacja), Tomasz Terlikowski („Rzeczpospolita”) czy nawet prezydencki doradca Andrzej Zybertowicz. Co dzisiaj, po Zeleńskim

wyzywającym Polskę na forum ONZ od pożytecznych idiotów Putina, zostało z tych analiz na temat budowy państwa dwunarodowego?

Obecne działania ekipy Wołodymyra Zełeńskiego nie zmieniają tego, że polska strategia z pierwszych tygodni wojny była w pełni racjonalna – niedopuszczenie do upadku Kijowa było w żywotnym interesie naszego państwa. Ta strategia wyczerpała się jednak w momencie, gdy Kijów udało się obronić i było wiadomo, że wojna rozstrzygnie się zgniłym kompromisem. Pozycja Polski, tak kluczowa w pierwszych miesiącach, zaczęła wówczas stopniowo słabnąć, a z polskich marzeń o nowym „centrum geopolitycznym nad Wisłą” i wypchnięciu niemieckich wpływów ze środkowej Europy nic nie zostało. Nawet jeżeli porównamy pomoc dla Ukrainy w liczbach bezwzględnych, to widzimy, że polski wkład był znacząco mniejszy w porównaniu z kwotami, które były w stanie wyłożyć państwa Zachodu. Warszawa chwali się tym, że przeznaczyła na pomoc 4,9 proc. swego PKB, ale znaczna część tej kwoty trafiła na pomoc uchodźcom, co dla ukraińskich władz planujących działania wojenne jest w oczywisty sposób drugorzędne. Jeżeli chodzi o pomoc stricte militarną, to – jak wynika z danych Kancelarii Prezydenta – od początku wojny przekazaliśmy ok. 3,5 mld dol. Nie ma sensu porównywać się do USA (przekazane 64 mld dol.), a także w Europie takie kraje jak Niemcy (11 mld), Wielka Brytania (10 mld), Dania (7 mld) czy Holandia (5,5 mld) przeznaczyły od nas większe kwoty na militarną pomoc (dane pochodzą z końca sierpnia). A przecież Ukrainę obecnie interesują właśnie kwoty bezwzględne, które można przekazać na wojnę, a nie procent PKB. Kijów orientuje się na tych, którzy dają więcej. Nawet Węgry, które miały być czarną owcą europejskiej rodziny, są dzisiaj wartościowym partnerem dla Zeleńskiego.

Po drugie, jakkolwiek brutalnie by to brzmiało, co Polska miała do oddania, to już oddała. We wrześniu 2023 r. premier Morawiecki przyznał wprost, że „my już nie przekazujemy uzbrojenia na Ukrainę”. Przez zachodnie media ten cytat został niefortunnie połączony z kryzysem zbożowym, ale ówczesny szef rządu stwierdził jedynie oczywisty fakt – Polska nie ucięła dostaw broni, tylko

oddawa już, co mogła. Kijów w naturalny sposób zaczął orientować się na zachodnich partnerów, którzy nadal posiadali broń do przekazania, a w związku z tym pozycja Warszawy z każdym miesiącem jedynie malała. To nie była żadna niechęć czy niewdzięczność, tylko żelazne prawidła polityki. Również jeżeli Ukraina myśli na poważnie o wejściu do zachodnich struktur, to jest zrozumiałe, że więcej uwagi musi poświęcić na przekonanie zachodniej opinii publicznej niż polskich elit, które same już zagwarantowały, iż popierają rozszerzenie UE. Polska oczywiście posiada nadal pewne znaczenie, ale wynika ono głównie z jej położenia, które jest kluczowe dla przerzutu sprzętu, a co za tym idzie – udzielania Ukrainie gwarancji bezpieczeństwa przez zachodnie mocarstwa.

WYTYCZANIE GRANIC

– Ukraina będzie uważać Polskę za swego bliskiego przyjaciela do zakończenia wojny, a potem między krajami rozpocznie się konkurencja – stwierdził swego czasu Mychajło Podolak. Doradca prezydenta Ukrainy pomylił się w jednym – konkurencja między dwoma narodami zaczęła się już długo przed początkiem rokowań pokojowych, trwała wszak przed wybuchem wojny. Jak trafnie stwierdził na Forum w Krynicy Daniel Szeligowski z PISM, stanem naturalnym w relacjach polsko-ukraińskich jest kryzys, a nie przyjaźń. Tego modus operandi najwyraźniej nie zmieniła nawet rosyjska inwazja.

W ciągu ostatnich dwóch lat Kijów kierował się polityką transakcyjną, czego polska strona nie chciała przyznać. Jeżeli Warszawie zależało na uzyskaniu jakichkolwiek ustępstw, to powinna wywierać wpływ albo na ekipę Andrija Jermaka, albo wojskowych, albo oligarchów, bo to te trzy grupy posiadają realne znaczenie na Ukrainie. My tymczasem, poza niemiernymi próbami odwoływania się do elit politycznych, skupiliśmy się na bezwarunkowej pomocy oraz pustej symbolice. Dziesiątki, jeśli nie setki spotkań, debat i kulturalnych inicjatyw, które do niczego nie doprowadziły, bo i w obliczu takich wyzwań jak rosyjska kontrofensywa czy widmo kryzysu energetycznego i blackoutu doprowadzić nie mogły. Dlatego też ciężko traktować poważnie niedaw-

ne zapowiedzi MSZ na temat prac nad raportem dotyczącym polskiej pomocy. Ukraina doskonale wie, ile otrzymała od Polski. I co z tego? Świat na czele z Kijowem jest już na zupełnie innym etapie, a polskie elity dalej zdają się mentalnie tkwić w połowie 2022 r., załamując ręce nad ukraińską „niewdzięcznością”.

Po tym, jak Kijów obronił swą niepodległość, a strategiczne interesy Rzeczypospolitej zostały zabezpieczone, polska strona mogła zacząć stawiać warunki – sprzedawać broń, a nie oddawać; domagać się przywilejów w odbudowie Ukrainy (zamiast zadawać się przyznaniem nam do odbudowy Donbasu); można było uzyskać cokolwiek w polityce historycznej (zamiast cieszyć się odsłonięciem posągów lwów na cmentarzu Orląt); można było chociaż wymóc na ukraińskich elitach, by te nie atakowały publicznie polskich władz. My

W ciągu ostatnich dwóch lat Kijów kierował się polityką transakcyjną, czego polska strona nie chciała przyznać

tymczasem zadowoliliśmy się ustawą zrównującą dostęp do darmowej edukacji i świadczeń socjalnych dla Polaków mieszkających na Ukrainie i Ukraińców w Polsce. Gest, który Ukrainę nic nie kosztował (mimo że zapewnianie socjalnego wsparcia dla mniejszości ukraińskiej generuje dla polskiej strony olbrzymie koszty). Swoją drogą, Zełenski zgłosił to rozwiązanie w rocznicę rzezi wołyńskiej, co było najwyraźniejszym możliwym sygnałem, że Kijów w sprawie pamięci o ludobójstwie absolutnie nic nie robi. Doszliśmy do takiego punktu we wzajemnych relacjach, że gdy nastąpiła tragedia w Przewodowie, to polskie władze nie potrafiły nawet wymusić na Ukraińcach przyznania się do tragicznej pomyłki, w wyniku której zginęło dwóch polskich obywateli. Kijów do dzisiaj oficjalnie nie potwierdził, że to była ukraińska raketa, i już najpewniej tego nie zrobi. Bo czemuż miałyby to teraz zrobić?

Bierność polskich władz powoduje rosnące zniecierpliwienie i gniew w pol-

skim społeczeństwie, a w przestrzeni publicznej część polityków i komentatorów podnosi nawet wezwania do blokady lotniska w Rzeszowie (takie zdanie wyraził m.in. kandydat w wyborach prezydenckich Sławomir Mentzen z Konfederacji). Biorąc pod uwagę polskie uzależnienie od Waszyngtonu, tego typu pomysły są tyleż kontrowersyjne, co po prostu nierealne. Jeżeli polskie władze nie potrafiły podnieść nawet podatku dla telewizji należącej do amerykańskich inwestorów, to jak można wyobrazić sobie, że zablokują lotnisko, przez które idą miliardy dolarów i od którego zależą losy wojny?

To nie oznacza jednak, że polska strona jest pozbawiona atutów. Mimo że wachlarz możliwości zmniejsza się z każdym tygodniem, polskie władze nadal mogą np. z wykorzystaniem organów kontrolujących przeprowadzić przegląd ukraińskich firm, spółek i przedsiębiorstw w Polsce, a w razie konieczności eskalować konflikt na niwie gospodarczej. Można też sięgnąć po o wiele poważniejszy instrument i przestać odgrywać rolę adwokata ukraińskiej akcesji do Unii Europejskiej i NATO, również nadchodząca prezydencja w UE daje Polsce pewne możliwości w tej sprawie. Zarówno poprzednia, jak i obecna władza w Polsce przyjęła niemalże a priori konieczność włączenia Ukrainy w struktury zachodnie – Unię Europejską oraz NATO. Ani PiS, ani KO nie potrafiły jednak logicznie wyjaśnić, co na tym zyskamy. Przypomnijmy, że Berlin powiązał rozszerzenie Unii z koniecznością rewizji traktatów i zintensyfikowania procesu centralizacji Europy i już choćby ten jeden powód powinien być sygnałem alarmowym dla polskich elit.

Tu już nawet nie chodzi o to, że Ukraina jest butna czy „niewdzięczna”, tylko że interesy obu państw w pewnych kwestiach w oczywisty sposób są sprzeczne. O ile PiS i prezydent Duda tkwili w charakterystycznym dla tego środowiska paradygmacie neojagiellonizmu, o tyle obecny rząd zdaje się po prostu nie mieć determinacji i żadnej wizji autonomicznej polityki zagranicznej, zawierając zachodnim mocarstwom. Taka postawa jedynie rozzuchwala naszego sąsiada, któremu trudno się dziwić, że korzysta z naszego pięknotuchostwa, marazmu i braku zdecydowania.



Łukasz Warzecha

Weszliśmy w jeden z najbardziej ryzykownych momentów wojny na Ukrainie. Jednocześnie wydarzyło się kilka rzeczy, które mogą sprawić, że będzie to punkt zwrotny – albo ku rozwiązaniu dla nas korzystnemu, albo niestety wręcz przeciwnie

Wybory prezydenckie w USA wygrał Donald Trump, który z doprowadzenia do zakończenia walk uczynił jeden ze sztandarowych punktów swoich propozycji wyborczych. Joe Biden zdecydował o możliwości stosowania przez Kijów rakiet ATACMS (Army Tactical Missile System – Wojskowy Taktyczny System Rakietowy) w głębi terytorium Rosji, a chwilę później – o przekazywaniu Ukrainie min przeciwpiechotnych. Rosja zintensyfikowała ataki na terytorium Ukrainy, w tym zwłaszcza na jej infrastrukturę energetyczną. Po jej stronie do walki weszli żołnierze z Korei Północnej (zresztą z bardzo niską efektywnością). Prezydent Rosji Władimir Putin podpisał przygotowaną już jakiś czas temu nową doktrynę użycia broni jądrowej, która znacząco rozszerza możliwość jej zastosowania. Przewiduje np., że taka broń może zostać użyta również w przypadku konwencjonalnego ataku zagrażającego integralności terytorialnej lub suwerenności nie tylko Rosji, lecz także jej sprzymierzeńców (np. Białorusi).

W Polsce rozkręca się kampania prezydencka. Jednocześnie już jakiś czas przed wyborami w USA – a potem coraz bardziej – zintensyfikowała się w polskich mediach społecznościowych aktywność kręgów opowiadających się fanatycznie za Ukrainą i za kontynuowaniem wojny, a także śledzących rzekomą „rosyjską narrację”. Dotyczy to zarówno całkowicie anonimowych użytkowników – z dużym prawdopodobieństwem trolli, niewykluczone, że napędzanych przez aparat ukraińskiej propagandy

Szabelkiści za czerwoną linią

Ukraina może już razić cele w Rosji mającymi zasięg ok. 300 km rakietami ATACMS FOT. ABACA/EAST NEWS



(przecież nie tylko Rosja ma swoje farmy trolli) – jak i osób publicznych, takich jak, dla przykładu, Przemysław Żurawski vel Grajewski – politolog czy Patrycjusz Wyżga – dziennikarz i autor popularnego kanału na YouTube. Nadchodzi zima i pojawiają się hiobowe wieści o możliwym napływie do Polski kolejnej olbrzymiej fali ukraińskich uchodźców. Zarazem polski rząd z dumą oznajmia, że szykuje już następny pakiet pomocowy dla Ukrainy.

Wszystko to tworzy bardzo szczególną kombinację. Część jej elementów ma znaczenie globalne, część jest specyficzna dla polskiej sytuacji. Z czym właściwie mamy do czynienia? W sprawie rakiet ATACMS teoretycznie nie ma wciąż oficjalnego potwierdzenia Białego Domu, ale nie ma także zaprzeczenia. Mamy klasyczne dyplomatyczne retoryczne uniki, które w obecnych okolicznościach niemal jednoznacznie tę zgodę potwierdzają. Wiadomo już zresztą, że Ukraina przeprowadziła atak wspomnianą amunicją, mającą zasięg do 130 mil, czyli ok. 300 km. Rakiety miały uderzyć w region Briańska położony przy granicy z Ukrainą. Strona rosyjska i amerykańska (nieoficjalnie, w wypowiedzi m.in. dla BBC) nie zgadzają się co do tego, jaka liczba z wystrzelonych rakiet została zestrzelona przez rosyjską obronę przeciwlotniczą, a jaka dosięgła celu. Urzędnicy amerykańskiej administracji, wypowiadający się anonimowo, w zasadzie potwierdzają, że zgoda na ataki na rosyjskim terytorium systemem ATACMS została wydana.

WOJENNI PODŻEGACZE

Jest to przekroczenie kolejnej czerwonej linii wyznaczonej przez Kreml. Po stronie szabelkistów pojawia się niezmiennie argument, że przecież dotychczas przekroczono tych linii wiele i „nic się nie stało”, więc – twierdzą – można je przekraczać dalej bez obawy o rosyjski odwet. Taka argumentacja jest nie tylko nieroztropna, lecz także niedorzeczna. Pomijając nawet nowe brzmienie rosyjskiej doktryny nuklearnej, twierdzenie, że każda kolejna przekroczona granica czyni odpowiedź i eskalację mniej, a nie bardziej prawdopodobnymi, jest sprzeczne z logiką. Jest dokładnie przeciwnie: im więcej czerwonych linii

przekroczonych, tym eskalacja staje się bardziej prawdopodobna – szczególnie gdy przeciwnik nie jest osłabiony i nie chyli się ku upadkowi, a tak jest w przypadku Rosji. Wbrew bowiem twierdzeniom szabelkistów po blisko już trzech latach prowadzenia wojny i niezliczonych prognozach wieszczących upadek reżimu Putina Rosja ma się względnie dobrze. Ostatnie informacje mówią m.in. o tym, że planuje uruchomienie nowych fabryk uzbrojenia raketowego na paliwo stałe.

Nie oznacza to oczywiście, że odwet z pewnością nastąpi. Poraża jednak – nie po raz pierwszy – dezynwoltura, z którą rodzimi wojenni podżegacze całkowicie lekceważą taką ewentualność. Jednocześnie wydają się oni nie dostrzegać, że interes Polski w tym konflikcie nie jest bynajmniej tożsamy z interesem ukraińskim i amerykańskim. Ukrainie od początku zależy na jak największym umiędzynarodowieniu konfliktu i Kijów byłby szczęśliwy, gdyby zostały do niego wciągnięte Polska lub jakiegokolwiek inny kraj NATO. Stany Zjednoczone natomiast – przynajmniej pod rządami administracji Joeego Bidena – były od początku zainteresowane podtrzymywaniem ukraińskiego oporu, ale tylko na tyle, żeby skutkiem tego było angażowanie Rosji i zużywanie jej zasobów, nie zaś na tyle, żeby pozwolić Ukrainie tę wojnę wygrać – jakkolwiek rozumielibyśmy pojęcie wygranej w tym przypadku.

Oczywiste jest, że w polskim interesie nie leży włączenie się naszego kraju do konfliktu, czego zresztą coraz bardziej obawiają się Polacy. W niedawnym sondażu największe respondentów, aż 40 proc., wskazało na strach przed rozlaniem się wojny na Polskę jako na swoją największą obawę. To o 4 punkty procentowe więcej niż wskazań na inflację i koszty życia. Dlatego zakończenie działań zbrojnych jest w polskim interesie – zmniejsza to możliwość wciągnięcia nas w konflikt w jakiegokolwiek sposób.

Wojenni podżegacze kpią z takiej ewentualności, popadając zresztą w sprzeczność: z jednej strony twierdzą, że Rosja jest słaba i słabsza z każdym tygodniem oraz że żaden odwetowy atak nam nie grozi – z drugiej zagrożeniem takim właśnie atakiem uzasadniają konieczność kontynuowania wojny. Tym-

czasem nikt nie twierdzi, że Rosja dokonałaby w odwecie za działania Ukrainy wielkiej lądowej inwazji na Polskę. Kreml zapewne nie zamierza doprowadzić do gorącej konfrontacji z sojuszem północnoatlantyckim, więc tak skalowałby swoje działania, aby NATO nie odpowiedziało w sposób kinetyczny.

NAJGORSZY WARIANT

Można wyobrazić sobie co najmniej dwa sposoby takiego działania. Pierwszym mógłby być spektakularny akt sabotażu, do którego Moskwa oczywiście oficjalnie by się nie przyznała, ale jasne by było, że zostawiła swój podpis. Wywołałoby to w Polsce ogromny niepokój, zachwiałoby stabilnością polityczną – o ile w ogóle można o niej mówić – i wpłynęłoby na wynik wyborów. Jeszcze poważniejsze konsekwencje miałyby punktowe, jednorazowe uderzenie raketowe w polskie terytorium. Pociski nie musiałyby nawet dosięgnąć celu. Już samo to, że Polska stałaby się oficjalnie celem rosyjskiej agresji, przyniosłoby wszystkie opisane wyżej skutki, a do tego prawdopodobnie wprowadzenie co najmniej stanu wyjątkowego, możliwą częściową mobilizację, kompletną panikę społeczną, falę ucieczek na zachód kraju lub do sąsiednich państw, krach złotego, natychmiastową ucieczkę inwestorów, potężny impuls inflacyjny i wiele innych pomniejszych skutków.

Szabelkiści nie rozumieją jeszcze jednej ważnej rzeczy: nawet gdyby NATO przeprowadziło symetryczny odwet – niczego więcej spodziewać by się nie można – to dla Rosji, która już jest w stanie wojny i której terytorium jest już atakowane, skutki takiego uderzenia byłyby w zasadzie pomijalne, podczas gdy dla Polski skutki rosyjskiego ataku byłyby absolutnie katastrofalne – społecznie, politycznie i gospodarczo. Tu w żadnym razie nie ma symetrii.

Władza, zamiast wymachiwać szabelką, ma obowiązek brać pod uwagę najgorszy wariant rozwoju wypadków. I to nie w taki sposób, w jaki we wrześniu mówił o nim choćby emerytowany generał Bogusław Pacek, obecnie dyrektor Muzeum Wojska Polskiego, który grzmiał, że jeśli Moskwa uderzy na Warszawę bronią jądrową, to NATO odpowie uderzeniem jądrowym na Moskwę. Dla

■ mieszkańców stolicy to niezmiernie pocieszająca perspektywa.

PODTRZYMANIE UKRAIŃSKIEGO OPORU

Jaki był cel administracji prezydenta Bidena, gdy godziła się na użycie systemu ATACMS na terytorium Rosji? Można jedynie spekulować. Nie wiemy wszak, w jakim gronie i w jakich warunkach podejmowana była ta decyzja. Nie wiadomo, czy stał za nią faktycznie odchodzący prezydent USA czy może on sam nie miał już świadomości, co firmuje swoim nazwiskiem. Możliwych wyjaśnień jest kilka, choć niemal oficjalnie stwierdza się po prostu, że jest to odpowiedź na zaangażowanie po stronie Rosji Koreańczyków z północy. To jednak słabe wyjaśnienie, wzięwszy pod uwagę, że udział – raczej symboliczny – wojsk Kima w starciach w regionie Kurska, więc na rosyjskim terytorium, ma znaczenie bez porównania mniejsze niż zastosowanie amerykańskich rakiet wewnątrz Rosji.

Wariant optymistyczny byłby taki, że obserwujemy właśnie podchody pod negocjacje pokojowe, a więc użycie ATACMS przez Ukrainę miałoby skłonić Rosję, aby chętniej usiadła do stołu rokowań i była bardziej skłonna do ustępstw. A trzeba tu odnotować, że z Moskwy zaczęły już dobiegać sygnały o możliwych warunkach zakończenia działań zbrojnych. Takiej interpretacji zaprzeczałby jednak słowa syna prezydenta elekta, Donalda Trumpa juniora, który na platformie X napisał w ubiegłym tygodniu, że decyzja odchodzącej administracji może oznaczać wstęp do trzeciej wojny światowej i posłuży wyłącznie koncom zbrojeniowym. Nie bardzo też wiadomo, dlaczego odchodząca demokratyczna administracja miałaby w ten sposób rozkładać czerwony dywan dla Donalda Trumpa.

Druga interpretacja, znacznie mniej z naszego punktu widzenia korzystna, zakłada postawienie nowego amerykańskiego rządu przed faktami dokonanymi, czyli doprowadzenie do eskalacji jeszcze przed styczniową inauguracją nowego prezydenta, tak aby jego pokojowe plany spaliły na panewce. Za takim przypuszczeniem może przemawiać to, że byłoby to uderzenie w istotny punkt programu Trumpa, a więc demokratyczna opozycja

Wobec odczuć polskiej opinii publicznej sprawa konfliktu na Ukrainie nabiera dużej wagi w kampanii prezydenckiej

mogłaby oskarżać go o niezrealizowanie obietnicy. W tym wariantcie Polska, przy niekorzystnym zbiegu wypadków, może paść ofiarą wewnątrzamerykańskiej walki o władzę.

Jest wreszcie wytłumaczenie będące wariantem pośrednim. Zdaniem bowiem większości analityków uderzenia systemem ATACMS na terytorium Rosji nie zmienia zasadniczo niczego w przebiegu wojny i nie odwróci relacji sił na korzyść Ukrainy. Skutek może być jedynie taktyczny, ale nie strategiczny. Jednak w połączeniu z już wcześniej przygotowywaną decyzją o możliwości użycia przez Ukrainę min przeciwpiechotnych (aczkolwiek zatwierdzonej dopiero teraz) może to spowolnić postępy rosyjskiej armii. Czyli przyczynić się do podtrzymania ukraińskiego oporu bez odwracania losów wojny. W tej interpretacji decyzja Waszyngtonu – jakkolwiek bardzo ryzykowna – wpisywałaby się w jego strategię, traktującą od początku konfliktu Ukrainę jako instrument osłabiający Rosję – i nic ponadto. Gdyby przyjąć takie wytłumaczenie, niejasne byłoby wciąż, dlaczego decyzję podjęto pod sam koniec działania administracji demokratów.

POSTAWA PROWOJENNA

Wobec odczuć polskiej opinii publicznej sprawa konfliktu na Ukrainie zaczyna mieć w kampanii prezydenckiej dużą wagę. Ta waga wzrośnie jeszcze, jeśli spełnią się czarne prognozy dotyczące napływu kolejnej fali uchodźców. Tym razem ludzie ci przybywaliby do Polski mocno odmiennej od tej z 2022 r. Nie ma już śladu po ówczesnym entuzjazmie, dominują odczucia sceptycyzmu i nawet niechęci wobec przybyszów ze Wschodu – pokazują to dobitnie cykliczne badania dr. Roberta Staniszwskiego z Uniwersytetu Warszawskiego oraz badania prof. Piotra Długosza z Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie. Ich rezultaty są w zasadzie tożsame.

Państwo zмага się z rekordowym deficytem, nie jest w stanie wypłacić odszkodowań powodzianom, a nad Polakami wisi widmo radykalnego wzrostu rachunków. W tej sytuacji wydawanie wciąż pieniędzy na Ukraińców będzie budzić coraz większy opór. Do tego dochodzą informacje o narastającej przestępczości „rosyjskojęzycznej” – jak to eufemistycznie ujęła w swoim czerwcowym komunikacie Komenda Główna Policji. Wziąwszy te czynniki pod uwagę, trudno się spodziewać, aby napływ kilkuset tysięcy Ukraińców nie wywołał potężnych napięć społecznych. Szczególnie że do powszechnej świadomości coraz śmielej przebijają się świadomości ugruntowania się nacjonalistycznej ideologii UPA jako oficjalnej historycznej narracji Ukrainy.

Tymczasem oba główne ugrupowania prezentują postawę prowojenną. Nawet jeśli w głównym nurcie pojawiają się nieco inne akcenty – jak wówczas, gdy Radosław Sikorski mówił o tym, że Ukraina powinna wypełnić chrześcijański obowiązek i zezwolić na poszukiwania oraz ekshumacje ofiar ludobójstwa na Polakach – to i tak zasadniczy kurs pozostaje niezmienny: będziemy Ukrainie pomagać, nie licząc się z własnymi trudnościami, a jako państwo mamy się opowiadać za kontynuacją wojny, co rzekomo przynosi nam ogromne korzyści. Czy w momencie, gdy będziemy już znali nazwiska głównych kandydatów, którzy z nich – a może obaj? – postanowi na użytek kampanii od tej narracji odejść? Więcej czysto koniunkturalnych, sceptycznych akcentów pojawiało się po stronie PiS, ale w żadnym momencie nie nastąpiło przyznanie się do jakichkolwiek błędów w przeszłości. Co więcej, nawet gdyby kandydat PiS postanowił zająć bardziej gołębie stanowisko wobec konfliktu, cięży na nim będzie linia odchodzącego prezydenta. Andrzej Duda z fanatycznej wręcz proukraińskości zrobił sobie przeciw swój znak firmowy.

Jedynym obecnie kandydatem uderzającym w inny ton w sprawie wojny na Ukrainie jest Sławomir Mentzen. Czy przyniesie mu to istotną korzyść? Za wcześniej orzekać. Rozwój wypadków wywołujący poczucie rosnącego zagrożenia będzie temu z pewnością sprzyjał.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

„Jeśli milion ludzi ma zginąć”



Marek Jurek

Jeśli dziś przyjąć założenie, że kolejna agresja Rosji jest nieuchronna, to nasza polityka i dyplomacja powinny zrobić wszystko, by na długiej przestrzeni między Laponią a Mołdawią to nie Polska była jej pierwszą ofiarą

W kwietniu 2017 r. prezydent Donald Trump – jak opowiada Bob Woodward w swej dobrze udokumentowanej książce o pierwszej kadencji Trumpa – zaprosił na kolację senatora McCaina z żoną i senatora Lindsaya Grahama. Senatorowie reprezentowali liberalne skrzydło Partii Republikańskiej i byli wewnątrzpartyjnymi oponentami prezydenta. Chodziło o przetarcie ścieżki współpracy z senacką Komisją Sił Zbrojnych (której komandor McCain przewodniczył) i o wygładzenie różnic z czasów kampanii. Rozmowa zeszła w pewnym momencie na „przeklęty problem” nuklearnego zagrożenia ze strony komunistycznej Korei. Prezydent zapytał: „Co robić?”. John McCain odpowiedział, że „to bardzo skomplikowane, bo [komuniści] nawet konwencjonalną artylerią mogą zabić milion ludzi w Seulu”. Senator Graham zachnął się jednak na przyjaciela i rzucił: „Jeśli milion ludzi ma zginąć, to niech ginie tam, a nie u nas”.

Można się oburzać na brutalny pragmatyzm Grahama, tym bardziej że nie chodziło

o jakiś abstrakcyjny kraj nie wiadomo gdzie, ale o Republikę Korei, jednego z najbliższych sojuszników Stanów Zjednoczonych. Ale senator myślał o sytuacji szczególnej, gdy świat znajdzie się w obliczu nieuchronnej katastrofy, która może dotknąć wszystkich i wówczas każdy rząd będzie odpowiadał za bezpieczeństwo swojego narodu. Każdy przywódca wie, jaki w tej sytuacji jest jego obowiązek, co nie zmienia tego, że jest też wielu polityków, którzy o narodowym przywództwie, a tym bardziej o obowiązkach, które z niego wynikają, nie mają zielonego pojęcia.

SOLIDARNOŚĆ BEZ EGZALTACJI

Starzejący się marszałek Piłsudski przestrzegał współpracowników: „Wy w tę wojnę beze mnie nie leźcie, wy tę wojnę beze mnie przegracie”. Piłsudski uważał bowiem, że jeśli w Europie musi dojść do wojny, jeśli mocarstwa rewizjonistyczne muszą ją wywołać, to Polska powinna zrobić, co może, by wchodzić do niej jak najpóźniej i by tym samym

w maksymalnym stopniu uniknąć jej skutków. Jednak „ambitna polityka” jego następców sprawiła, że stało się zupełnie inaczej.

Jeśli dziś przyjąć założenie, że kolejna agresja Rosji jest nieuchronna, to nasza polityka i dyplomacja powinna zrobić wszystko, by na długiej przestrzeni między Laponią a Mołdawią to nie Polska była jej pierwszą ofiarą. Zasadą naszej polityki wobec wojny – co powtarzam od trzech lat – powinna być więc solidarność bez egzaltacji. Zaangażowanie proporcjonalne; proporcjonalne do trwałego i publicznego uznania dyplomacji ukraińskiej dla naszej pomocy, do zaangażowania w nią kontynentalnych sojuszników (Francji, Niemiec, Włoch), do różnicy ryzyka konsekwencji między Polską a głównymi sojusznikami Ukrainy, Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią.

MIARA ODWAGI

Warto też głębiej zastanowić się nad rozważaniami senatora Grahama, co robić, co rząd Stanów Zjednoczonych ma robić, „jeśli milion ludzi ma zginąć”. To kwestia etyczna, a także geopolityczna. Przecież nie odnosi się tylko do Azji Wschodniej i zagrożenia dla pokoju ze strony tyranii Kim Dzong Una. Dotyczy tak samo Rosji Putina, która ma o wiele większy arsenał nuklearny, o wiele bardziej zagrażający Stanom Zjednoczonym. Co robić, jeśli rozszerzenie

wojny w Europie będzie nieuchronne. Czy wówczas dla Stanów Zjednoczonych nie będzie lepiej, by milion ludzi zginęło tu, „a nie u nich”? Teraz, a nie potem, w gorszej sytuacji? Nie można prowadzić racjonalnej polityki, nie rozumiejąc innych, nie zastanawiając się nad dylematami, które muszą rozważyć.

Gdy porównamy reakcje amerykańskiej i polskiej opinii publicznej na zagrożenie nuklearne ze strony Rosji, uderza dziwna asymetria: oni traktują to o wiele poważniej, choć ich to jednak, choćby biorąc pod uwagę środki obrony, mniej dotyczy. My dużo lżej – choć ryzyko ponosimy większe. Czy dlatego, że jesteśmy odważniejsi? Liczba amerykańskich ochotników służących na wojnach w różnych częściach świata o tym bynajmniej nie świadczy.

Gdzie więc leży różnica? Chyba właśnie w pojęciu patriotyzmu. Dla nas stał się zaangażowaniem, a nawet bardziej kibicowaniem wojnom „za wolność waszą, nie naszą”. Tam, u Amerykanów, ma charakter państwowy i narodowy, związany z odpowiedzialnością państwa za naród.

A gdzie w tym wszystkim etyka? No właśnie, warto się zastanowić. Co jest bardziej ludzkie, gdy ktoś z naszych bliskich jest w strefie bombardowań, katastrofy lub w pobliżu wypadku: pytanie „Co z tobą?” czy „Co z sąsiadami?”. Bliźnich trzeba kochać jak siebie, a swój naród – jak własną rodzinę.

RYSZARD GROMADZKI: Jaki jest pana cel w przyszłorocznych wyborach prezydenckich?

ŚŁAWOMIR MENTZEN: Chcę je wygrać.

Wbrew twardym realiom? Najpewniej w drugiej turze wyborów zmierzą się kandydat Platformy z rywalem z PiS. Jaki ma pan pomysł na przełamanie tego duopolu?

Wszystko zależy od wyborców. Być może wyborcy tak zdecydują, ale nie jest to wcale oczywiste. W 2020 r. kandydatka Platformy Obywatelskiej, pani Kława-Błońska, zjechała w sondażach do poparcia na poziomie 3 proc. Gdyby nie to, że wybory zostały odwołane, a później powtórzone, kandydatka PO nie znalazłaby się w drugiej turze. Wszystko więc może się zdarzyć. Wszystko jest w rękach Polaków. Po to jest kampania wyborcza, żeby każdy kandydat mógł przekonać do siebie jak największą liczbę wyborców.

Jakimi argumentami przekonuje pan ludzi do głosowania na siebie? Przestrzega pan na spotkaniach z wyborcami przed próbami wmanewrowania Polski w wojnę na Ukrainie przez polityków PiS i PO?

Polacy nie chcą wojny. Ludzie widzą, że polska polityka zagraniczna nie zawsze realizuje polskie interesy. Polska nie ma żadnego interesu w tym, żeby włączyć się do wojny na Ukrainie, tymczasem tacy politycy jak Radosław Sikorski namawiają do tego, żeby strącać rosyjskie rakiety, co oczywiście wmanewrowałoby nas w wojnę. Polacy są przeciwni masowej imigracji z Azji czy Afryki, nie chcą też Zielonego Ładu. Nie zgadzają się na dalsze trwanie układu PO-PiS.

Konfederacja ustabilizowała poparcie w sondażach na pułapie ponad 10 proc. Jesteście trzecią siłą polityczną w Polsce. Te dobre wyniki Konfederacji w sondażach przełożą się na wyjście prezydencki?

Pytanie, czy to nie moja kampania przyczynia się do poprawy wyników sondażowych Konfederacji. Na każde spotkanie przychodzą setki ludzi, nawet w bardzo małych miejscowościach. Prawie wszystkie spotkania odbywają się na powietrzu, pomimo chłodu i nieraz późnej pory zjawia się na nich po kilkaset osób, które bardzo entuzjastycznie reagują, chcą robić wspólne zdjęcia. Jestem naprawdę zbudowany przyjęciem, z którym się spotykam w trakcie kampanijnej trasy.



Ze Sławomirem Mentzenem, kandydatem Konfederacji na prezydenta, prezesem partii Nowa Nadzieja rozmawia Ryszard Gromadzki

Chcę wygrać



FOT. OLEG MARUSEW / REPORTER

Nie ma pan poczucia, że pana środowisko polityczne nie angażuje się szczególnie intensywnie w pańską kampanię? Jeden z ojców założycieli Konfederacji, Janusz Korwin-Mikke, wręcz ostro pana krytykuje.

Korwin-Mikke wyszedł z naszego środowiska i próbuje teraz działać samodzielnie. Czuję poparcie ze strony wszystkich ugrupowań tworzących Konfederację. Na moich spotkaniach byli zarówno politycy Ruchu Narodowego, jak i posłowie Korony, więc nie obawiam się braku wsparcia ze strony własnej partii.

Niedawny Marsz Niepodległości miał znakomitą frekwencję. Liczy pan, że „efekt Marszu Niepodległości” pomoże panu w kampanii?

Rzeczywiście tegoroczny marsz był wyjątkowo liczny, piękny i spokojny. Przyjechali na niego ludzie z całego kraju, żeby świętować niepodległość. Nie było żadnych niebezpiecznych wydarzeń, pomimo doniesień niektórych mediów. Praktycznie cały marsz spędziłem wśród jego uczest-

ników. Ludzie chcieli robić sobie ze mną zdjęcia, życzyli mi jak najlepszego wyniku w wyborach, więc miałem poczucie, że jestem wśród swoich. Mam nadzieję, że pewna forma sprzeciwu wobec obecnego rządu, którą był tegoroczny Marsz Niepodległości, pomoże nam politycznie.

W marszu, który 11 listopada przeszedł przez centrum Warszawy, uczestniczył cały zastęp polityków PiS, na czele z Jarosławem Kaczyńskim. Czyżby PiS chciał „ukraść” wam Marsz Niepodległości, żeby zdyskontować to podczas przyszłorocznych wyborów prezydenckich?

Marsz nie jest partyjny. To inicjatywa organizowana oddolnie przez Stowarzyszenie Marsz Niepodległości, która nie należy do żadnej partii politycznej, w tym do PiS. Nie da się go ukraść. Z jednej strony cieszę się, że tylu zwolenników Konfederacji czy PiS bierze udział w marszu. Z drugiej trochę się dziwię politykom PiS, gdyż wiele ich działań ograniczało w ostatnich latach polską suwerenność. Dobrze,

ZAKOŃCZENIE WOJNY NA UKRAINIE JEST W POLSKIM INTERESIE

że postanowili się zreflektować i bardziej zatroszczyć o polską suwerenność.

Uwagę mediów w ostatnich tygodniach angażowały tzw. prawyboresy kandydata Koalicji Obywatelskiej. Gdy rozmawiamy, ich wynik jest jeszcze nieznany. Co pana zaskoczyło w rywalizacji Trzaskowskiego z Sikorskim?

Rafał Trzaskowski po raz kolejny potwierdził powszechną opinię na swój temat, że jest wyjątkowo leniwym człowiekiem. On chciałby tylko leżeć i pachnieć. Kampania Radosława Sikorskiego miała większy rozmach, było widać jego większe zaangażowanie.

Który z polityków PiS będzie rywalem kandydata Platformy?

Podobno w grze pozostało trzech kandydatów: Czarnek, Bocheński i Nawrocki. Ale nie mam nawet żadnych przeczuć, na kogo ostatecznie postawi Jarosław Kaczyński.

Jeśli sprawy potoczą się zgodnie ze scenariuszem utartym od wyborów prezydenckich 2005 r., czyli w drugiej turze zmierzą się kandydaci Platformy i PiS, to jak zachowa się Konfederacja? Czy i komu udzieli poparcia? Jak pan postąpi w takiej sytuacji?

Mam nadzieję, że w drugiej turze Konfederacja poprze mnie. Natomiast w sytuacji, kiedy nie wiemy jeszcze do końca, kto będzie reprezentował inne partie w wyborach, nie ma sensu nad tym się zastanawiać.

Zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w USA może mieć wpływ na przyszłoroczne wybory w Polsce? Będzie impulsem, który podziała mobilizująco na konserwatywny elektorat?

Zwycięstwo Donalda Trumpa stwarza szansę na zatrzymanie lewicowej rewolucji, która od wielu lat dokonuje się na Zachodzie. Wierzę, że doda ono wiele otuchy wyborcom konserwatywnym – nie tylko w Stanach Zjednoczonych, lecz także w Polsce i na całym świecie.

Czy Trump, zgodnie z zapowiedziami, zdoła doprowadzić do zakończenia wojny na Ukrainie? Decyzja ogłoszona w ostatnich dniach przez ustępującego prezydenta Bidena, dająca Ukraincom możliwość użycia amerykańskich rakiet do atakowania celów w głębi Rosji, nie ułatwi Trumpowi zadania, a poza tym może prowadzić do rozłania się wojny.

Rzeczywiście, administracja Bidena na chwilę przed odejściem próbuje jeszcze eskalować wojnę z Rosją. Głównym problemem Ukrainy jest to, że brakuje jej siły żywej, żołnierzy. Jeśliby ta wojna miała być długo kontynuowana, to na Ukrainę trzeba będzie wysłać żołnierzy. Pytanie: Skąd ci żołnierze się wezmą? Według mnie tylko z Polski. W związku z tym dążenie do przedłużenia konfliktu jest dążeniem do wciągnięcia Polski do wojny. A tego bardzo chciałbym uniknąć. Cieszę się, że Trump ma zamiar zakończyć wojnę na Ukrainie jak najszybciej. To jest w polskim interesie.

W ostatnich miesiącach z polskiej gospodarki nadchodzi wiele niepokojących sygnałów. Obserwujemy falę zwolnień grupowych w wielu firmach. Pogarsza się kondycja tysięcy małych firm, szczególnie w sektorze budowlanym i w handlu. Sam jest pan przedsięwzięciem. Co zrobiłby Sławomir Mentzen, gdyby został wybrany na prezydenta, żeby polska gospodarka mogła się rozwijać?

Przede wszystkim nie podpisałbym żadnej ustawy podnoszącej lub komplikującej podatki. Będę korzystał z inicjatywy ustawodawczej, żeby uprościć i obniżyć podatki, ograniczyć przerośniętą biurokrację w Polsce. Będę dążył do odrzucenia Zielonego Ładu, który niszczy europejską gospodarkę. Donald Trump zapowiedział, że wycofa USA z porozumienia paryskiego, nawet Donald Tusk ośmielił się ostatnio stwierdzić, że Zielony Ład niszczy i ogranicza europejską gospodarkę, więc jest na to dobry czas. Mój prawdopodobny kontrkandydat, Rafał Trzaskowski, wierzy w jakieś bzdury, że planeta płonie i powinniśmy zarządzić własną gospodarkę tylko po to, żeby zmniejszyć emisję dwutlenku węgla. Mam jednak nadzieję, że Rafał Trzaskowski zostanie z tymi swoimi poglądami na śmietniku historii i nie będą one miały już wpływu na losy polskiej gospodarki.

À propos podatków. Sporo kontrowersji wzbudził proponowany przez pana projekt ustawy o zniesieniu podatku od spadków i darowizn. Źródłem tych kontrowersji było uzasadnienie projektu, w którym znalazły się argumenty o konieczności unormowania sytuacji osób pozostających w nieformalnych związkach. Środowiska konserwatywne odebrały to jako poparcie dyżurnego postulatów aktywistów LGBT.

To kompletna bzdura. Postulat likwidacji podatku od spadków był podnoszony od samego początku polskich ruchów

konserwatywno-liberalnych. Znajdował się on już w pierwszym programie Unii Polityki Realnej. Nie rozumiem, jak można zmienić nagle zdanie w tej sprawie po trzydziestu paru latach. Odkąd pamiętam, byłem zwolennikiem likwidacji podatku od spadków i mam nadzieję, że ta ustawa znajdzie większość w Sejmie. Nie było w tej ustawie przywilejów dla konkretnej grupy ludzi, tylko zniesienie podatków od spadków dla wszystkich Polaków.

Jest pan przede wszystkim konserwatystą czy liberałem?

We współczesnym tego słowa znaczeniu jestem przede wszystkim konserwatystą. Natomiast rozumiem potrzebę wolności, zarówno wolnej jednostki, jak i wolnej gospodarki.

Miliarder Elon Musk ma pokierować w nowej administracji Donalda Trumpa nowym departamentem badającym wydajność rządu. Czy taki departament przydałby się także u nas?

Oczywiście, że tak. Jestem przekonany, że polski rząd działa jeszcze mniej wydajnie niż amerykański. Trzeba szukać oszczędności. Jestem bardzo ciekawy, jak ten eksperyment wyjdzie Elonowi Muskowi i Donaldowi Trumpowi. Jeśli wpadną na jakieś rewolucyjne pomysły, to chętnie zaproponuję je także w Polsce.

Jako pierwszy polityk zgłosił pan swoją kandydaturę w wyborach prezydenckich. Kampania na dobre dopiero się rozpoczyna i potrwa pół roku. Dla kandydatów to ciężka harówka. Nie żałuje pan teraz tego ruchu?

Jestem dużo młodszy od moich konkurentów. Być może oni po kilku spotkaniach są już zmęczeni. Ja mam za sobą już ponad 50 spotkań. Jestem w trasie od trzech miesięcy. Mam czasami cztery spotkania dziennie. Ostatnio w trzy dni odbyłem 10 spotkań z wyborcami, na każde z nich przychodzą setki ludzi. Jestem gotowy do walki. Jeżeli moi konkurenci liczą na to, że jestem zmęczony, to na pewno się przeliczają. Mierzą mnie swoją miarą.

Na razie konkurenci pana unikają. Szymon Hołownia odmówił panu wspólnej debaty.

Kompletnie nie rozumiem decyzji Hołowni. Wygląda na to, że boi się ze mną debatować. Ja z chęcią będę debatować ze wszystkim istotnymi kandydatami na prezydenta.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

W prawyborach Platformy o nominację do prezydenckiego wyścigu walczyli Radosław Sikorski (z lewej) i Rafał Trzaskowski

FOT. TOMASZ GZELL/PAP

Cierpkie święto Platformy



Piotr Semka

Jeśli Donald Tusk chciał prawyborami zwrócić uwagę Polaków na kandydatów PO, to raczej dał okazję do pokazania, jak wewnętrznie skłóconą partią jest Platforma. Dla Platformy najbliższe wybory mogą być znacznie trudniejsze niż te w 2020 r. Wtedy nastąpiła nadzwyczajna mobilizacja elektoratu młodzieżowego i wielkomiejskiego. Teraz nie zanosì się, by miało dojść do podobnego wzmożenia

Prawybyory prezydenckie w Koalicji Obywatelskiej miały być świętym demokracji. Tymczasem ujawniły ostrość antagonizmu między

zwolennikami Rafała Trzaskowskiego a obozem Radosława Sikorskiego. Nawet życzliwy Platformie tygodnik „Polityka” pisze, że sytuacja „wymknęła się spod

kontroli [...]. Zostaną po niej blizny, a nominat może wyjść z tego mocno pokiereszowany”.

Obie strony posądzają się o brudne chwyt i podrzucanie dziennikarzom niewygodnych faktów na temat przeciwników. Jeśli Donald Tusk chciał prawyborami zwrócić uwagę Polaków na kandydatów PO, to raczej dał okazję do pokazania, jak wewnętrznie skłóconą partią jest Platforma. W końcu, gdy Tusk zorientował się, że sprawy idą w złym kierunku, postanowił pokazać, że to tylko on koniec końców decyduje w partii.

WOLNOAMERYKANKA

Chodź w platformerskim światku zaklinano się, że prawyborcza rywalizacja



nie na wyciąganie tej kwestii w trakcie rywalizacji o nominację prezydencką. Trzaskowski solennie zaprzeczył i oburzył się nawet na samą sugestię, że to jego środowisko zainspirowało całą sprawę. Tusk prowizorycznie wygasił konflikt, wygłaszając niepopartą niczym tyradę, że informacje o pochodzeniu żony Sikorskiego mogą kolportować jedynie „pisowscy działacze”.

Tyle że opinie, iż takie obawy na temat żony Sikorskiego były wygłaszane w kręgach PO, podał nie tylko autor tekstu na portalu gazeta.pl Piotr Śmiłowicz, lecz także Rafał Kalukin z „Polityki”.

Ten incydent rozwiązał worek z rozmaitymi mniejszymi lub większymi złośliwościami ciskany z obu obozów. Zwolennicy Trzaskowskiego wytykali, że Sikorski na prezydenta się nie nadaje, skoro publicznie okazał zdenerwowanie w trakcie programu Moniki Olejnik. „Potrzebujemy kandydata, który nie da się sprowokować w żadnej sytuacji”. Z kolei zwolennicy Sikorskiego w mniej lub bardziej subtelny sposób powielali wizerunek obecnego prezydenta Warszawy jako niespecjalnie pracowitego maminsynka, który w momencie podejmowania na prawdę dramatycznych wyzwań zawiedzie na całej linii. Zwolennicy prezydenta stolicy wypominali też, że Sikorski jest o dekadę starszy od ich kandydata.

Na trasach kolejnych spotkań Trzaskowskiego i Sikorskiego usłyszeć można było argumenty coraz bardziej zadziwiające. Sikorski chwalił się tajemniczym znajomym, który miał na jakimś spotkaniu Konfederacji usłyszeć, że „Sikorski nie jest z naszej bajki, ale o Wołyń się upomniał. No i na tych wojnach był, to może być”.

Na te deklaracje natychmiast neurotycznie zareagował lewicowy komentariat w Internecie, który wezwał do jak najusilniejszego wspierania Trzaskowskiego jako jedynej nadzieję na trzymanie się PO z dala od skrajnej prawicy. Sławomir Nitras, wspierający Trzaskowskiego, wręcz wyraził obawę, że po wygranej Sikorskiego do głosu w polityce dojdą Roman Giertych i Michał Kamiński. Ale te tyrady straszenia Sikorskim jako forpocztą skrajnej prawicy też stawały się groteskowe w sytuacji, gdy sam Trzaskowski chwalił się, że w wyborach w 2020 r. w drugiej turze poparło go spo- ro wyborców Konfederacji.

Obaj politycy próbowali wynajdować pola swej politycznej przewagi, ale zaskakująco często pokazywali się jako kandydaci niezwykle podobni do siebie. Zarówno Trzaskowski, jak i Sikorski zadeklarowali, że poprą aborcję na życzenie do 12. tygodnia życia dziecka i że podpiszą ustawę o związkach partnerskich. Były też podobieństwa w politycznym stylu obu kandydatów. Radosław Sikorski wyprosił media z jednego ze spotkań, otwarcie mówiąc, że „bez mediów będzie nam się szczerzej rozmawiało”. Rafał Trzaskowski także wiele razy dbał, by ochroniarze nie dopuszczali reporterów do zadawania mu bezpośrednio pytań.

O ile na początku wydawało się, że przewaga Trzaskowskiego będzie trudna do zniwelowania, o tyle im dłużej trwała kampania, tym szybciej Sikorski zaczynał zdobywać punkty. Wręcz sensacyjnym elementem tego wyścigu było poparcie dla Sikorskiego udzielone przez byłego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.

Były lider lewicy wskazał na doświadczenie, znajomość dyplomacji i problematyki wojskowej oraz na szerokie kontakty zagraniczne. – Ma coś jeszcze, bo wiem, co to są wybory prezydenckie [...]. Ma determinację i wolę walki. Bez waleczności, bez chęci zwycięstwa nie da się odnieść sukcesu – mówił były prezydent.

KRÓTKIE TRZYMANIE SIĘ Z BOKU

Ogłaszając prawyborcy, Donald Tusk odsunął się od komentowania rywalizacji między dwoma politykami jego partii. Ale też bezstronnie starczyło raptem na parę dni. W sobotę 16 listopada, czyli tydzień po rozpoczęciu rywalizacji, Tusk zaproponował wszystkim zabawę w internetowy sondaż na temat tego, kto ma większe szanse w wyborach.

Początkowo Tusk wydawał się nie wyróżniać żadnej ze stron. Ogłosił, że na X zwyciężył Sikorski, a na Instagramie Trzaskowski. Ale dwa dni później lider PO upublicznił wyniki sondażu zamówionego przed zarządzaniem prawyborów. Tym razem wynikało z niego, że Rafał Trzaskowski jest lepszy. Prezydent Warszawy pokonuje kandydata PiS w pierwszej turze wynikiem 40 do 28 proc., w drugiej turze 57 do 43. Radek Sikorski w pierwszej turze przegrywa z kandydatem PiS 28

ma być dżentelmeńska i wszyscy mają obowiązek „pięknie się różnić”, to ostre ciosy z obu stron posypały się bardzo szybko. Najwięcej krwi napsuła wrzutka Moniki Olejnik, która starannie wylizawszy czas, tuż przed końcem audycji w TVN niewinnym głosem zapytała Radosława Sikorskiego, co sądzi o opiniach krążących w pewnych kręgach Platformy, że pochodzenie Anne Applebaum, żony Sikorskiego, postrzegane jest jako problem dla prezydentury obecnego szefa polskiej dyplomacji. Otoczenie Sikorskiego uznało, że za pytaniem dziennikarki stały intrygi zwolenników Trzaskowskiego. Nic dziwnego, że niedługo potem, w trakcie obrad Zarządu Krajowego PO, Sikorski poskarżył się Tuskowi publicz-

do 30, ale w drugiej wygrywa 54 do 46 proc. Tusk ogłosił na X: „Wynik sondażu jest jednoznaczny, ale to wciąż tylko wskazówka. Siłę decyzji ma wasz głos”.

Jak się okazało, demokracja walcząca oznacza nie tylko swobodne stosowanie prawa wobec przeciwników Platformy, lecz także dość osobliwe obyczaje demokratyczne w rządzącej partii. Tusk najpierw ogłosił, że kandydata wybiorą wszyscy członkowie partii należących do Koalicji Obywatelskiej, ale potem postanowił oświecić głosujących wynikami sondażu, który sam zlecił. Można było odnieść

duży wrażenie, że Tusk zaczął się obawiać, iż niespodziewanie ostry styl kampanii zepchnął go choć na moment na margines wydarzeń. Jeszcze inni przyjęli podanie sondażu jako sugestię, że o tym, kto ostatecznie będzie reprezentować Platformę, zadecyduje tylko wielki Donald.

Wiele emocji, szczególnie w obozie Rafała Trzaskowskiego, wywołała też informacja o zatrzymaniu przez CBA prezydenta Wrocławia Jacka Sutryka. Fakt aresztowania oficjalnego przyjaciela Trzaskowskiego i jego partnera z samorządowej koalicji Tak dla Polski w otoczeniu wójarza Warszawy uznano za kolejną kłódę rzuconą mu pod nogi przez Tuska. I przy okazji przypomnienie lidera PO, że samorządy to miejsce bynajmniej nie bezgrzeszne, ale pełne bardzo dziwnych praktyk mogących zwrócić uwagę prokuratorów.

Cios był o tyle trafny, że Trzaskowski unikał wypowiadania się na temat winy Sutryka. Prezydent Warszawy konsekwentnie odmawiał dziennikarzom komentarza na temat oceny winy prezydenta stolicy Dolnego Śląska. Gdy padały takie pytania, zachowywał się wyjątkowo nerwowo. Na dodatek w obronie prezydenta Wrocławia wystąpił Związek Miast Polskich, w którym Trzaskowski gra główne skrzypce. Jeden z polityków PSL komentuje te zryzaki Tuska tak: „Nie zdziwiłbym się, gdyby kierownik »roz-

dawał klapsy« raz Trzaskowskiemu, raz Sikorskiemu. Tak, aby obu kampania nie szła zbyt łatwo”. Inny polityk związany z Koalicją mówi: „Kampania zbyt szybko wniosła w górę obu podwładnych Tuska i Donald doszedł do wniosku, że musi interweniować. Dał do zrozumienia, że koniec końców nic się nie odbędzie bez jego ostatecznej decyzji”.

Najbardziej nieufni obserwatorzy sceny politycznej wieszczą, że niezależnie od tego, czy na kandydata wybranie zostanie Sikorski czy też Trzaskowski, jest to tylko rozwiązanie chwilowe. Mój

rozmówca dodaje: „Tusk będzie obserwował uważnie pojedynek wyborczy i w każdej chwili jest w stanie skrytykować kampanię pt. »Nasz kandydat radzi sobie gorzej, niż się spodziewaliśmy«.

Nie jest dla Donalda żadnym problemem zorganizowanie szybkiej kampanii pod hasłem: »Wodzu! Ratuj sytuację!« i wysadzenie z siodła dotychczasowego kandydata”.

MGŁA NIEWIEDZY

Dla Platformy najbliższe wybory mogą być znacznie trudniejsze niż te w 2020 r. Wtedy nastąpiła nadzwyczajna mobilizacja elektoratu młodzieżowego i wielkomięskowego. Teraz – jak wskazują np. badania lewicowych socjologów Przemysław Sadury i Sławomira Sierakowskiego – nie zanoszą się, by miało dojść do podobnego wzmożenia. Dodatkowo w 2020 r. pewna część wyborców Konfederacji poparła w drugiej turze Trzaskowskiego przeciwko Andrzejowi Dudzie. A liderzy Konfederacji nie udzielili żadnych rekomendacji swoim wyborcom.

Teraz PiS raczej wystawi kogoś, kto może odpowiadać gustom konfederatów, a dodatkowo jeszcze jeden z liderów Konfederacji – Krzysztof Bosak – wyraźnie zaznacza, że jego partia nie poprze w drugiej turze kandydata Koalicji Obywatelskiej. „Sikorski i Trzaskowski są tak samo niebezpieczni dla Polski” – jedno-

znacznie deklaruje Bosak. To wyraźna zmiana stanowiska Konfederacji. Ale nawet tak wyraźnie odcinające się od kandydatów Platformy deklaracje nie muszą być największym zmartwieniem Donalda Tuska. Największą niewiadomą jest start Krzysztofa Stanowskiego. Twórca Kanału Zero na razie nie odwołał swojej deklaracji wzięcia udziału w wyścigu o prezydenturę. Na lutym 2025 r. zamówił Atlas Arenę, ogromną halę w Łodzi, gdzie ma się odbyć kongres widzów Kanału Zero. Nominalnie z powodu pierwszej rocznicy powstania stacji. Wielu polityków z prawa i lewa podejrzewa, że może być to dobra okazja do rozpoczęcia kampanii prezydenckiej gwiazdora. A Platforma dobrze pamięta, że w 2015 r. Andrzej Duda wygrał dzięki elektoratowi Pawła Kukiza, który w drugiej turze przyczynił się do wyboru kandydata PiS. Oczywiście analogia nie jest pełna, bo sam Stanowski zarzeka się, że nawet jeżeli wystartuje, to w drugiej turze nie będzie wskazywał, kogo mają poprzeć jego wyborcy z pierwszej tury wyborów. Tyle że w polityce deklaracje składane sześć i pół miesiąca przed datą wyborów niewiele znaczą.

Nieprzewidywalna dynamika kampanii może przynieść wiele niespodzianek. Socjologzy i badacze opinii publicznej wskazują, że duża część ankietowanych ciągle czeka na „trzeciego kandydata”, który przedstawi jakąś nową, ciekawą ofertę spoza obecnej listy kandydatów. Przez pewien czas plotkowano w kręgach biznesu o możliwości startu właściciela InPostu Rafała Brzosi. Ten dementuje plotki na ten temat. Jednak analitycy medialni zwrócili uwagę, że wykorelowany niedawno przez Brzoskę portal internetowy XYZ nieco przypomina ideologię kanału Plus. Chęć racjonalizowania polskiego życia publicznego przy dystansowaniu się od bezpośredniej walki politycznej w tradycyjnym układzie partyjnym.

Niezależnie od tego, kim może być „ten trzeci”, już dziś wiadomo, że może on rozstrzygnąć o wyniku rywalizacji PiS z PO. Wszystko to pokazuje, że Tusk ma u progu wyborczego roku jeszcze sporo do myślenia. A jego partia, wbrew rytuałom zakłębionym, jest znacznie głębiej podzielona, niż wcześniej przypuszczano. W świecie jedynowładztwa wielkiego Donalda ujawnia się coraz więcej rys.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



~~869~~ ZŁ

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL:
„SKRADZIONA TOŻSAMOŚĆ. POLSKIE
DZIECI W RĘKACH NAZISTÓW”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

401,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 468 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 27dbe68f51



Rafał A. Ziemkiewicz

Mrzonki o postawieniu się przez dzisiejszą Europę Amerykanom są mrzonkami właśnie – i niczym więcej. Jednak wobec silnego antyamerykańskiego resentymentu w Niemczech, we Francji i w innych zachodnich społeczeństwach na takiej retoryce można sporo ugrać. Co najmniej bezpieczne i lukratywne stanowisko. Czy o to chodzi Tuskowi?

W mediach krytycznych wobec obecnego rządu, zarówno tych tradycyjnych, jak i społecznościowych, ugruntowało się przekonanie, że Donald Tusk jest pokornym wykonawcą polityki niemieckiej. W sprawach dla Polski najistotniejszych niewątpliwie tak jest – rząd Tuska zgodził się na „wspólne europejskie podatki” i porzucenie starań o energetyczną niezależność Polski, wygasił strategiczne inwestycje, które mogłyby być konkurencyjne wobec gospodarki niemieckiej, przyjął niewynikającą z żadnych traktatów, ale usilnie przez organa wspólnotowe uzurpowaną zasadę podrzędności prawa polskiego względem unijnego, akceptuje pokornie „odsyłanie” przez Niemcy nielegalnych imigrantów (tylko w ostatnich miesiącach – ok. 10 tys.) i buduje infrastrukturę dla nich. W jednej jednak dziedzinie postawa polskiego premiera drastycznie rozjeżdża się ostatnio z retoryką jego europejskich protektorów – a jest nią reakcja na miażdżące zwycięstwo w amerykańskich wyborach prezydenckich Donalda Trumpa.

Wbrew temu, czego można by się spodziewać po wcześniejszych działaniach polityków niemieckich, jednoznacznie zakładających prezydenturę kandydatki demokratów, z Berlina niemal natychmiast zaczęły płynąć za ocean deklaracje gotowości do współpracy z Trumpem i włączenia się w nową, zapowiedzianą przez niego geopolitykę, nazwijmy ją „postglobalizacją”. Minister spraw zagranicznych, Annalena

Tusk – kolejna



Baerbock, zadeklarowała gotowość przeznaczenia na obronność, mimo nękającego Niemcy kryzysu, ponad 2 proc. PKB, co od dawna stanowiło fundamentalne żądanie Trumpa wobec europejskich sojuszników z NATO. Typowany – prawdopodobnie słusznie – na przyszłego kanclerza przewodniczący CDU Friedrich Merz wprost podjął narrację Trumpa wobec Rosji, zapowiadając, że jeśli Putin nadal będzie odmawiał rozmów pokojowych, to Niemcy udostępnią Ukrainie rakiety dalekiego zasięgu i odstąpią od „polityki wyznaczania Kijowowi czerwonych linii” (o co Zełenski dobija się bezskutecznie u „największego sojusznika” od lat). Największą wagę ma jednak wypowiedź Ursuli von der Leyen, niemal nazajutrz po tym, jak triumf republikański w USA stał się oczywisty: że Unia Europejska gotowa jest swą energetykę oprzeć na gazie amerykańskim, zamiast – jak zaplanowano za czasów Angeli Merkel – rosyjskim.

RESTRUKTURYZACJA EUROPY

Wizja Europy budującej zamiast nordstreamów terminale gazowe

dla nadpływających z Ameryki zbiornikowców to kopernikański przewrót w dotychczasowej retoryce i bardzo wyraźnie wyjście naprzeciw nowemu prezydentowi USA, w którego kampanii zapowiedź maksymalnego zwiększenia wydobycia gazu, ropy i ewentualnych innych tanich surowców energetycznych stanowiła jeden z głównych wątków (sławne: „drill, baby, drill”, czyli, w wolnym przekładzie, „wierćmy, ile się da”). Nie jest dla nikogo tajemnicą, a już na pewno nie dla niemieckiej przewodniczącej Komisji Europejskiej i jej politycznego zaplecza, że powrót do tych nośników energii służyć ma nie tylko obniżeniu kosztów i tym samym zwiększeniu konkurencyjności gospodarczej Ameryki, lecz także energetycznemu zwasalizowaniu Europy.

Trump ma bowiem zupełnie inny pomysł na władający Stary Kontynent niż poprzednie administracje. Tamte uważały, że coraz gorzej sobie radząca w światowej konkurencji Europa jest dla USA obciążeniem i trzeba się jej pozbyć, oddać ją Europejczykom – cała polityka „resetu” Obamy, a potem Bidena, była negocjowa-



FOT. A. ABACA/ABACA PRESS/FOTUM

W chwili, gdy Niemcy wysyłają do nowego lokatora Białego Domu sygnały pojednawcze, Tusk, dotąd wiernie powtarzający każdą ich narrację, wręcz przeciwnie – ciśnie pedał „antytrumpizmu”

unijne produkty czy właśnie uczynienie z USA eksportera tradycyjnych surowców energetycznych.

O ile jednak poprzednią prezydenturę Trumpa można było uznać za chwilową aberrację (mimo wszystko Hillary Clinton zebrała 2 mln głosów więcej, choć w niewłaściwych stanach), o tyle obecnie widać, że zmiana jest trwała. Demokraci – jak ujął to komik Bill Mahler, skądinąd ich tradycyjny sympatyk – stali się partią niewybie-ralną jako „party of non-common sense” (partia odrzucenia zdrowego rozsądku), lewicowo-liberalne elity ze swymi „jajo-głowymi” i gwiazdami wyraźnie straciły wpływ na wyborców i po Trumpie dużo bardziej prawdopodobna jest dziś prezy-dentura J.D. Vance’a lub Rona DeSantis’a, niż „żeby znowu było, jak było”.

Niemcy, ustami przewodniczącej KE, odpowiadają więc na zapowiedzi Trumpa: możemy o tym porozmawiać. Jesteśmy gotowi całkowicie reorientować dotychczasową politykę, porzucić sny Bismarcka o dominowaniu nad Europą na bazie sojuszu z potęgą rosyjską i stać się kolonią amerykańską. Można domy-słać się, jakie będą niemieckie warunki takiej zgody – w planie minimum uznanie Niemiec za głównego partnera i „broke-ra” amerykańskich interesów w Europie, w planie maksimum, zapewne, autoryzo-wanie przez USA nadanie kolonizowanej przez nie Europie formuły „niemieckiego państwa europejskiego”, czyli dokończenia podboju całej UE przez Niemcy w sposób analogiczny do tego, w jaki w wieku XIX wszystkie państewka niemieckie podbite zostały i „zjednoczone” przez Prusy.

DZIWNA ZMIANA

Oczywiście z właściwym sobie politycznym profesjonalizmem Niemcy próbują także innych polityk. Nieocze-kiwaną godzinną rozmowę telefoniczną kanclerza Scholza z Putinem trudno zrozumieć inaczej niż jako rozpaczliwą próbę skłonienia go do realizacji pod-stawowych założeń dotychczasowego

planu – powrotu do polityki nordstre-amów w zamian za rozbiór Ukrainy. Na szczęście dla nas i nieszczęście dla Ukrainy Putin wydaje się zdetermino-wany w dążeniu do pełnego zwycięstwa, co podkreślił we właściwy sobie sposób nazajutrz po wspomnianej rozmowie, za-rządzając kolejny zmasowany i krwawy atak rakietowy na ukraińskie miasta.

Ta właśnie rozmowa stała się obiek-tem bezprecedensowej krytyki ze strony Donalda Tuska. „Nikt nie powstrzyma Putina telefonami. Atak wczorajszej nocy, jeden z największych w tej wojnie, udo-wodnił, że dyplomacja telefoniczna nie może zastąpić prawdziwego wsparcia ca-łego Zachodu dla Ukrainy. Następne tygo-dnie będą decydujące, nie tylko dla samej wojny, lecz także dla naszej przyszłości” – napisał polski premier, wywołując w części niemieckich mediów zdumienie, i – jak w „Die Welt” – komentarze w tonie „Polska spisała Niemcy na straty”, pro-rukujące, że Tusk zamierza przejąć „an-tyniemiecką” narrację PiS i grać teraz na wrogich zachodnim sąsiadom nastrojach polskiego społeczeństwa.

Byłyby to wnioski zbyt daleko idą-ce, gdyby wyciągać je tylko z tej jednej wypowiedzi. Jednak zmiana tonu Tuska, wspomniane wyżej „rozjechanie” się jego narracji z nową narracją niemiecką zaczęły się wcześniej. Już od wypowiedzi szeroko komentowanej podczas szczytu w Budapeszcie, w której premier Polski wystąpił z dość nieoczekiwaną deklaracją, że przyszłość Europy „zależy od nas”, a nie od wyniku amerykańskich wyborów, „pod warunkiem że Europa w końcu dorośnie i uwierzy we własne siły. Niezależnie od wyniku [wyborów w USA] era geopo-litycznego outsourcingu się skończyła”. Te słowa spotkały się z gorącym popar-ciem wielu eurokratów, na czele z prze-wodniczącą Parlamentu Europejskiego Robertą Metsolą. W zdumiewający sposób nagle wpisał się polski premier w głosy środowisk, które od dłuższego już czasu krytykują politykę niemiecką jako

niem warunków, na jakich miałyby się to odbyć, aby na „europeizacji” Europy w jak najmniejszym stopniu zyskały Rosja i Chi-ny. Trump natomiast, ukształtowany przez świat biznesu, widzi w Unii Europejskiej jeden z assetów amerykańskiej gospodarki – trudno mu się zresztą dziwić, zważywszy na to, w jak wielkim stopniu to właśnie USA ją swego czasu, dużym nakładem starań i kosztów, stworzyły, jak to opisuje wydana kilka lat temu, bogato udoku-mentowana książka Philippe’a de Viliersa „Kiedy opadły maski”. Jeśli inwestycja nie przynosi dziś Ameryce zysków, tylko straty, to należy ją zrestrukturyzować. Z jednej strony – ściągnąć do Ameryki pozostający jeszcze w Europie przemysł, z drugiej – otworzyć ją jako rynek na produkty ame-rykańskie. Ten ton, że Europa – a zwłaszcza Niemcy – nauczyła się być „pasażerem na gapę”, który korzysta z amerykańskiej ochrony, a zyski zapewnia jej wrogom, mocno przebił się w retoryce Trumpa już podczas jego pierwszej prezydentury. Teraz wraca znacznie mocniejszy i skon-kretyzowany w takich zapowiedziach, jak wprowadzenie 10-procentowych ceł na

■ zanedbano nakierowaną na imperialne interesy ich państwa, zamiast Europy jako całości i Unii jako organizacji (ta krytyka narastała zresztą od pewnego czasu także w samych Niemczech).

Hasło „Europa poradzi sobie sama” kłaruje się powoli jako hasło unijnych przeciwników Trumpa. W coraz liczniejszych wypowiedziach różnej rangi polityków i ekspertów przebija wątek, że reorientacja polityki amerykańskiej powinna stanowić bodziec do „usamodzielnienia się” Europy i zerwania z amerykańskim – jak to ujął Tusk – outsourcingiem. Europa powinna umieć zagwarantować pokój na

zbrojnych, FBI i w ogóle wszystkiego, agenturalność wobec Putina i, oczywiście, zamiar oddania mu Ukrainy i likwidacji NATO.

W chwili, gdy te słowa do państwa dotrą, będą już państwo wiedzieć, czy Tusk uczynił Sikorskiego swoim kandydatem na prezydenta, a tym samym znanej na całym świecie z obłędnej wręcz nienawiści do Trumpa Anne Applebaum, na pierwszą damę. Gdy je piszę, wydaje się to z jego punktu widzenia zbyt ryzykowne – Sikorski ma znacznie większe od Trzaskowskiego dane, by wybory te dla PO przegrać. Ale tak czy owak pozostanie Sikorski szefem

facto. Nie chcieli tego Niemcy, ale nie weszli z Anglią w konflikt bezpośrednio – użyli do tego właśnie Tuska, wówczas przewodniczącego Rady Europejskiej. Czy Tusk zamierza powtórzyć tę grę, bogatszy o nowe doświadczenia (wtedy bowiem został wystawiony do wiatru podobnie, jak sam wystawił był Sikorskiego, i za swe zasługi nic nie dostał)? Czy poza czołowego obrońcy „samodzielnej Europy”, aspirującej do uwolnienia się od „amerykańskiego outsourcingu”, ma mu zapewnić jakąś funkcję w państwie europejskim, które „uwierzyło we własne siły” – do rozgrywania w niemiecko-amerykańskich negocjacjach jako ten „zły policjant”?

Dodatkowym niebezpieczeństwem dla Polski jest to, że do promowania się na „przywódcę europejskiego” używa Tusk wojny na Ukrainie. Za swych poprzednich rządów gorliwy realizator „resetu” z Rosją teraz stał się „jastrzębiem” cisnącym na większe włączenie się w tę wojnę Unii. „Dziś rozmawiałem z @ZelenskyyUa i premierem Kanady @JustinTrudeau, w przyszłym tygodniu w Szwecji nadzwyczajny format: państwa skandynawskie plus bałtyckie plus Polska” – chwali się, dając asumpt swoim mediom do stworzenia newsa, że nasz premier zwołuje specjalny, europejski szczyt w nowym formacie – choć w istocie jedynie uzyskał zaproszenie na cykliczne spotkanie tych państw. Znając Tuska, trudno się nie obawiać, że dla osobistej kariery nie będzie miał skrupułów, by wciągnąć Polskę w europejskie wsparcie dla Ukrainy bardziej, niż jest to w naszym interesie.

Każdy, kto ma pojęcie o gospodarczych i cywilizacyjnych realiach, wie doskonale, że mrzonki o „postawieniu się” przez dzisiejszą Europę Amerykanom są mrzonkami właśnie i niczym więcej. Ale wobec silnego antyamerykańskiego resentymu w Niemczech, we Francji i w innych zachodnich społeczeństwach na takiej retoryce można sporo ugrać. Co najmniej bezpieczne i lukratywne stanowisko. Skoro polska prezydentura okazała się dla Tuska nieosiągalna, to może wymyślił on właśnie nowy pomysł na siebie i na ucieczkę przed odpowiedzialnością za niemieckie porządki, które zaprowadził w Polsce?

Tusk daje asumpt swoim mediom do stworzenia newsa, że nasz premier zwołuje specjalny, europejski szczyt w nowym formacie – choć w istocie jedynie uzyskał zaproszenie na cykliczne spotkanie tych państw

Ukrainie sama, Europa powinna dźwignąć się gospodarczo bez oglądania na innych – powoli wiedzie to nawet do akceptacji myśli do wczoraj jeszcze heretyckiej, że w związku z tym powinna „urealnicić” ambitne plany osiągnięcia „neutralności klimatycznej”.

Jednocześnie, w chwili gdy Niemcy wysyłają do nowego lokatora Białego Domu sygnały pojednawcze, Tusk, dotąd wiernie powtarzający każdą ich narrację, wręcz przeciwnie – ciśnie pedał „antytrumpizmu”. Wskazanie Radosława Sikorskiego jako jednego z potencjalnych kandydatów partii Tuska do prezydentury wynikało zapewne bardziej z przyczyn wewnątrzpartyjnych i w pierwotnych kalkulacjach koneksje jego żony miały pomóc przedstawić go jako człowieka, który dużo może załatwić u amerykańskiej pani prezydent. Rozsądek nakazywał jednak po wygranej Trumpa nieco Sikorskiego, wstawionego dziesiątkami głupich, antytrumpowych tweetów, wyciszyć. Tymczasem, wręcz przeciwnie – jego żona, skądinąd bliska od dawna Tuskowi, podjęła właśnie gwałtowną ofensywę w zachodnioeuropejskich mediach, atakując Trumpa ze zdwojoną wściekłością insynuacjami o udziale w „zmowie dyktatorów”, oskarżeniami o zamiar likwidacji amerykańskich sił

polskiej dyplomacji. Która z irracjonalną z pozoru złośliwością uparła się uczynić kierownikiem polskiej ambasady w Waszyngtonie człowieka niemającego ku temu żadnych kwalifikacji (nawet nieznanego języka) poza obelżywymi uwagami o Trumpie jako psychopacie.

Może więc tournée pani ministrowej po zachodzie kontynentu, z historycznymi przestrogi, że Europa „jeszcze nie rozumie”, jak wielkimi wrogami są dla niej Trump i jego Ameryka, nie są tylko przejawem jej prywatnego szaleństwa, ale częścią gry. Gry, w której Tusk – dokładnie odwrotnie, niż nakazuje w tym momencie polska racja stanu – stara się o skłócenie Polski z republikańskim prezydentem USA i jego administracją. Kiedy pojawia się okazja, byśmy odegrali w polityce USA rolę ich alternatywnego partnera wobec Niemiec, Tusk wydaje się robić wszystko, by przekonać Trumpa, że z nikim innym niż Niemcy nie ma tu o nowym układzie rozmawiać.

PRYWATA TUSKA?

Warto w tym kontekście przypomnieć rolę, którą odegrał Tusk podczas brexitu. Brytyjska klasa polityczna zgodnie chciała odwrócić skutki niefortunnego – jak uznała – referendum i mimo formalnego wyjścia z Unii pozostać w niej de

Anne

z tęczowego wzgórza

FOTOKOR: KOVALCHUK / GLOBAL IMAGES URBANE / GETTY IMAGES



Piotr Włoczyk

Gdy pisze o komunizmie, pokazuje, że krytyczne myślenie nie jest jej obce. Gdy jednak komentuje dzisiejszą prawicę na Zachodzie – Trumpa potrafi wrzucić do jednego worka z Hitlerem, Stalinem i Mussolinim. Ewolucja Anne Applebaum pokazuje, jak łatwo z ciekawego solisty stać się uczestnikiem nudnego chóru, który w kółko serwuje publice jedną śpiewkę

Żona Radosława Sikorskiego nie daje o sobie zapomnieć. Co kilka lat robi się wokół niej naprawdę głośno, i to nie tylko w kęgach komentatorsko-politycznych, ale dużo szerzej – wieści o Anne Applebaum trafiają pod strzechy. Za czasów pierwszego rządu Donalda Tuska największa burza wokół niej (jeżeli chodzi o zasięgi) dotyczyła „zamachu” na jej jeepa, który szybko okazał się po prostu wybuchem instalacji gazowej („Fakt” tak to wówczas komentował: „Panie ministrze, podpowiadamy: jeżeli chce pan z żoną oszczędzać na paliwie, polecamy po prostu przesiąść się do nieco mniejszego, bardziej ekonomicznego samochodu”), potem było spięcie Kaczyński-Applebaum z 2016 r., gdy prezes PiS zarzucił małżeństwu z Chobieliną sterowanie przekazem amerykańskich mediów na temat Polski. Teraz, gdy jej mąż po raz drugi postanowił zawalczyć w platformerskich prawyborach prezydenckich, wokół jej nazwiska znów wybuchło nie lada zamieszanie. Przy czym dość oczywiste jest, że wywołany przez Monikę Olejnik temat pochodzenia Anne Applebaum – i to wywołany tak, żeby minister mógł potępić w „Kropce nad i” wszystkich, którzy mogliby mieć z tym problem – został przez szefa MSZ odpowiednio zagospodarowany, żeby

zyskać tak potrzebne mu zainteresowanie mediów.

Sikorski niemal wybiegł ze studia „Kropki nad i”, doskonale zdając sobie sprawę z tego, jak zostanie to przyjęte przez publikę. Potem szybko napisał gniewnego tweeta, w którym zażądał „przywrócenia standardów dziennikarskich” i podkreślił, że – „wbrew insynuacji red. Olejnik” – Polacy nie są antysemitami. I tak oto, teoretycznie walcząc z „ustawianiem pochodzenia żony kandydata jako tematu w wyborach prezydenckich” (jak ujął to sam Sikorski), kontrkandydat prezydenta Warszawy w praktyce na kilka dni ustawił pochodzenie swojej żony jako wiodący temat.

Czy jednak postawienie kwestii żydowskiego pochodzenia w kontekście sympatii/antypatii danej grupy wyborców jest rzeczywiście nie do pomyślenia po lewej stronie sceny medialno-politycznej?

„Ja słyszę o relacjach polsko-żydowskich od 30 lat. W pewnym sensie ja żyję tą relacją. Jestem żydowskiego pochodzenia, tak jak pierwsza dama, która nie chce o tym mówić, ale też jest – mówiła Anne Applebaum w 2018 r., w szczycie kryzysu wokół nowelizacji ustawy o IPN, w wywiadzie z Onetem. – Jest bardzo dużo ludzi w Polsce, którzy mają domieszkę żydow-

skiej krwi. Mimo to nie wszyscy chcą o tym rozmawiać. Mam wrażenie, że ludzie się nadal wstydzą, mają z tym jakiś problem. Może boją się z politycznych przyczyn?”

Jak widać, żona Radosława Sikorskiego sama zwracała uwagę na żydowskie pochodzenie i niedwuznacznie sugerowała, że w Polsce ten temat może być niewygodny pod względem politycznym. Chyba że niegodne jest sugerowanie czegoś takiego pod adresem członków PO głosujących w prawyborach, natomiast jak najbardziej można o tym mówić, jeżeli uprzedzenia miałyby dotyczyć ludzi z drugiej strony barykady.

SPECJALISTKA DO SPRAW DYKTATUR

Anne Applebaum całe swoje zawodowe życie zajmuje się opisywaniem systemów totalitarnych i autorytarnych. Najważniejszą pozycją w jej dorobku jest niewątpliwie „Gułag” z 2003 r., za który rok później otrzymała Nagrodę Pulitzera. Obok niego stoją też tak poważne pozycje jak „Czerwony głód” o Hołodomorze czy „Za żelazną kurtyną” (o instalowaniu komunizmu w naszej części Europy).

Historycy generalnie dobrze oceniają te książki. W ostatnich latach jednak Anne Applebaum pochloneła analiza

■ współczesnych dyktatur oraz ruchów politycznych, które według niej albo już są autorytarne, albo są na najlepszej drodze do autorytaryzmu. Owocem tego są książki: „Zmierzch demokracji. Zwodniczy powab autorytaryzmu” (2020), „Wybór” (2021) i „Koncern Autokracja. Dyktatorzy, którzy chcą rządzić światem” (2024). W tych dwóch pierwszych autorka pochyliła się m.in. nad partiami Jarosława Kaczyńskiego i Viktora Orbána. Na kartach jej książek widać głębokie osobiste zaangażowanie w te tematy, co jednak dla niemałej części osób z jej środowiska jest nawet plusem. John Kampfner na łamach „The Guardian” zrecenzował „Zmierzch demokracji”, podkreślając ten aspekt: „To jest książka polityczna; jest też bardzo intensywnie osobista, a przez to tym mocniejsza”. W ten oto sposób osobiste zaangażowanie autorki w polityczny temat uznane zostało za walor, a nie mankament książki.

Anne Applebaum stała się w globalnym obozie liberalno-lewicowym prawdziwą specjalistką do spraw współczesnego autorytaryzmu, jakkolwiek szeroko to pojęcie jest rozumiane po tamtej stronie. Stąd nie dziwi, że Johns Hopkins University zaangażował ją do prowadzenia projektu ARENA, w ramach którego badane są XXI-wieczna propaganda i dezinformacja.

Im bardziej angażowała się w opisywanie autorytaryzmów (lub prawicowych sił politycznych w Europie czy USA, które w jej mniemaniu grożą zaprowadzeniem dyktatur), tym bardziej nieprzejednane były jej oceny.

W 2018 r. Applebaum opublikowała w „The Atlantic” tekst, o którym dosyć głośno zrobiło się w Polsce. Opisała w nim imprezę sylwestrową 1999 r., którą zorganizowała wraz z mężem w remontowanym dworcu w Chobielinie. Ludzie, którzy wtedy świetnie bawili się na imprezie, dziś stoją po dwóch stronach coraz wyższej barykady. Autorka chciała pokazać Amerykanom, do czego mogą doprowadzić podziały polityczne, tak jakby ta „lekcja z Polski” była w USA komukolwiek potrzebna – jakby już wtedy Amerykanie sami nie byli bardzo mocno podzieleni.

Niebudzącej większych kontrowersji tezie o polaryzacji towarzyszyły wątki osobiste, pokazujące, jaki autorka ma stosunek do ludzi o innych poglądach: „Dzisiaj, kilkanaście lat później, wołałabym przejść na drugą stronę ulicy, by uniknąć

spotkania z niektórymi uczestnikami owego sylwestra”.

Jeszcze w 2013 r. autorka „Gułagu” udzieliła wywiadu „Historii Do Rzeczy”, gdzie fachowo opowiedziała o losie więźniarek łagrów. Kilka lat później nie była już jednak zainteresowana rozmową z naszym miesięcznikiem, w którym przecież w ogóle nie pojawiają się wątki polityczne.

ZMANIPULOWANI PRZEZ KACZYŃSKIEGO

Anne Applebaum z sympatią opowiada o Polsce, komplementuje nasz kraj i chętnie wraca do swojej fascynacji Polską jeszcze sprzed transformacji systemowej, gdy jako młoda dziennikarka pisała do największych światowych tytułów o naszej opozycji. Taką miłą, uśmiechniętą Anne Applebaum widzimy na okładce jej książki pt. „Matka Polka” (od 2013 r. ma polskie obywatelstwo), gdzie ciepło opowiada o swojej relacji z Polską, o rodzinnym domu, który stworzyła z mężem w dworcu w Chobielinie.

Miło się czyta Polakowi jej wspomnienia z przełomu lat 80. i 90., gdy komplementuje duch oporu Polaków, chęć walki o lepszą przyszłość i zestawia to z apatią i uległością sowieckiego społeczeństwa. Applebaum odwiedziła ZSRS w 1985 r. jako studentka Yale i w pamięć wryło jej się, jak ludzie uciekali na drugą stronę ulicy, gdy człowiek z Zachodu chciał się ich o cokolwiek zapytać.

Anne Applebaum jest święcie przekonana, że rządy prawicy były w Polsce pomyłką – że duża część tego fajnego narodu została jakoś zmanipulowana, zainfekowana przez Kaczyńskiego i jego kamarylę. Podobnie jak w przypadku Ameryki Applebaum zdaje się nie widzieć olbrzymich mankamentów liberalno-lewicowego patentu na rządzenie, co w ostatniej dekadzie uderzyło tyle milionów wyborców m.in. właśnie w Polsce czy w USA. W przypadku naszego kraju co rusz alarmowała, że oto kolejna granica została właśnie przekroczona i teraz już naprawdę Polska zaczyna się staczać w brunatne odmęty.

Tak było m.in. przy okazji incydentu – fakt: niezbyt przyjemnego, ale jednak tylko incydentu – na pogrzebie „Inki” i „Zagończyka”. Applebaum ogłosiła wtedy w mediach społecznościowych: „Punkt zwrotny w Polsce: Neofaszyści pobili »libe-

rałów« w miejscu publicznym. Policja nie zareagowała. Rząd broni neofaszystów”. W rzeczywistości grupa narodowców wykrzyczała w stronę aktywistów KOD, którzy nagle poczuli ogromną chęć stawić się na tej uroczystości, mało przyjemne dla nich hasła w rodzaju: „Komuniści, esbecy, zdrajcy!”. Policja zareagowała, odseparowując obie grupy. Z konta Anne Applebaum poszedł jednak w świat komunikat, że oto jej „liberałowie” (z KOD) są bici przez neofaszystów, natomiast PiS-owski rząd w jakiś sposób broni pogrobowców Mussoliniego i jest to „punkt zwrotny”. Nie sposób zliczyć, ile według amerykańsko-polskiej publicystki było takich „punktów zwrotnych” w ciągu dwóch kadencji PiS.

To właśnie wtedy doszło do jej głośnego medialnego sporu z Jarosławem Kaczyńskim. Cała sprawa zaczęła się od wywiadu prezesa PiS w „Rzeczpospolitej”, gdzie odniósł się on do artykułu „The New York Timesa”, w którym został nazwany „klonem Putina”. „W historii często decydują małe sprawy. W tym przypadku wpływała pani Anne Applebaum i jej mąż” – powiedział Kaczyński. I dodał: „Wiem, że tacy ludzie mają znaczenie. Cenię dorobek pani Anne Applebaum. Pisała cenne i ciekawe rzeczy. I dobre dla Polski. Ale cóż?! Mąż!”.

Żona Radosława Sikorskiego odpowiedziała, że prezes PiS przecenia jej możliwości, a poza tym ona nigdy nie pracowała w nowojorskim dzienniku, tylko w „The Washington Post”. Nie sposób oczywiście stwierdzić, ile dokładnie waży jej wpływ w amerykańskich mediach, ale faktem jest, że tamtejsze grono czołowych publicystów po stronie liberalno-lewicowej, na czele z Fareedem Zakarią i Jacksonem Diehlem, to jej znajomi. Czy mogli nie brać pod uwagę głosu koleżanki, która wyspecjalizowała się w badaniu współczesnych dyktatur i mieszkała w Polsce rządzonej przez Kaczyńskiego?

CO NA TO NATO?

Poza Kaczyńskim drugim najważniejszym obiektem zawodowych zainteresowań Anne Applebaum jest rzecz jasna Donald Trump. W ciągu ostatnich ośmiu lat wydawało się, że sięgnęła już po wszystkie porównania, by przekonać Amerykanów, że Trump to zło wcielone. Prawdziwą „perełkę” Applebaum zachowała jednak na sam koniec ostatniej kampanii wyborczej, kiedy demokraci widzieli już,

że fala entuzjazmu po wymianie Bidena na Harris szybko zanika i Amerykanie zaczynają coraz gorzej oceniać kontrkandydatkę Trumpa. Demokraci odsunęli wtedy na bok pozytywny przekaz i zaczęli alarmować, że Trump to faszysta. Wtedy to w „The Atlantic” Applebaum opublikowała tekst pod wszystkim mówiącym tytułem: „Trump mówi jak Hitler, Stalin i Mussolini”. Żeby jeszcze docisnąć pedał gazu, kilka dni później, gdy Trump zorganizował wiec wyborczy w nowojorskiej Madison Square Garden (to wtedy występujący na wiecu komik Tony Hinchcliffe obraził mieszkańców Portoryko), publicystka wrzuciła na X zdjęcie ze zjazdu amerykańskich nazistów, do którego doszło w tej samej hali w 1939 r. Finezyjna sugestia.

Istną kopalnią wiedzy na temat przemysłu Anne Applebaum odnośnie do Trumpa i Kaczyńskiego jest książka „Wybór”, czyli jej rozmowy z Donaldem Tuskiem przeprowadzone tuż przed pełnoskalową inwazją Rosji na Ukrainę. Publicystka i obecny polski premier prześcigają się tu w przypisywaniu Trumpowi niecných zamiarów wobec NATO. Applebaum mówi

przykładowo, że Trump wciąż „atakował” Niemców i chciał wycofać z RFN amerykańskich żołnierzy, żeby „upokorzyć Niemców i osłabić NATO”. Czy wytykanie Niemcom uzależnienia od rosyjskiego gazu i wymaganie od nich, by wydawali na armię choćby umówione minimum, było „atakowaniem” Niemców? Publicystka niestety nie rozwinęła tego wątku.

Applebaum z jednej strony zarzuca Trumpowi, że podkopuje on spistość NATO (stwierdzając np., że nie będzie bronił tych, którzy nie wydają odpowiednio dużo pieniędzy na wojsko), ale z drugiej strony nie ma problemu, by zasugerować taki rozwój wypadków (pamiętajmy, że władzę w USA dopiero co objął Joe Biden):

„Dziś polski rząd niebezpiecznie zbliża się do granicy tego, co Ameryka jest w stanie tolerować u bliskiego sojusznika. Nie ma pisanych reguł w tej materii, ale jest oczywiste, że Stany Zjednoczone są sojusznikiem Polski z powodów moralnych – mówi Applebaum w rozmowie z Tuskiem. – Ale jeśli Polska nie będzie dłużej krajem demokratycznym – a powiedziałabym, że jest znacznie bliżej tego momentu, niż

myślimy – to dlaczego Stany Zjednoczone miałyby taką niedemokratyczną Polskę chronić? Pewnie nadal będą sprzedawały jej broń, ale – powtórzę – nie jest wcale powiedziane, że gwarancje NATO są wyryte w kamieniu i nie mogą się zmienić [...]. A jeśli Polska będzie postrzegana jako nieprzyjazna autokracja, to oczywiście Stany Zjednoczone nie pośpieszą jej z pomocą. Nie mają tu aż tak istotnych interesów jak w innych miejscach na świecie”.

Mniejsza o to, że według Applebaum USA są w sojuszu z Polską z przyczyn „moralnych” – taki ogląd sytuacji przecież aż prosi się o kontrę. Ciekawsze jest to, że gdy Trump mówi, iż danego kraju nie będzie bronił z powodu zbyt niskich nakładów na armię, to według publicystki z Chobieline jest to działanie w interesie Rosji i podkopywanie fundamentów Zachodu. Jeżeli jednak ona sama twierdzi, że Polska pod rządami PiS stacza się w „niedemokratyczny” kierunku i w związku z tym Ameryka rządzona przez demokratów może odmówić wypełnienia gwarancji natowskich – to wszystko jest już w demokratycznym porządku.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

L I R A

WYDAWNICTWO

Sylvester Stallone.

Nie tylko Rocky i Rambo

Lektura obowiązkowa dla każdego fana, a dla tych, którzy dopiero poznają słynnego aktora w równej mierze obowiązkowa!

www.wydawnictwolira.pl



Pani od propagandy



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyska

Jest jedną z najbardziej zaciętych antypisowskich przedstawicielek TVP po zmianie władzy. Nie uznaje symetryzowania i obawia się, że rozliczenia utkną w miejscu. Dorota Wysocka-Schnepf budzi skrajne emocje

Widziałam krzywdę nękanym ludzi. Ich dzieci. Brutalnie tłumione protesty. Wy, moralne zera nadające jak kataryny, i wy, pseudoobiektywni – też widzieliście. Byliście obojętni. Współodpowiedzialni. Teraz, w strachu, frustracji i wstydzie razi was pamięć. Słuchajcie ich opowieści” – grzmią Wysocka-Schnepf, gdy spadła na nią fala krytyki po wywiadzie z wdową po Piotrze Szczęsnym. W 2017 r. dokonał samospalenia w centrum Warszawy, w geście sprzeciwu wobec PiS. Ówczesna opozycja wzięła go na sztandary, określając mianem „szarego człowieka”, a sam Donald Tusk cytował przedśmiertny manifest Szczęsnego w grudniowym exposé. Używając do walki politycznej ludzkiej tragedii, pominięto liczne apele ekspertów o to, aby nie nadawać niemalże mistycznej rangi dramatycznemu czynowi, którym jest samobójstwo. Tymczasem dla mediów publicznych to nie problem. – On obawiał się, że to, co wypracowaliśmy w procesie budowania społeczeństwa obywatelskiego i demokracji, jest zagrożone – powiedziała w programie „Pytanie dnia”,

prowadzonym przez Dorotę Wysocką-Schnepf, Ewa Negrusz-Szczęsna. – To był apel i wezwanie do wzajemnego pojednania, bo widzimy, jak ten podział w naszym społeczeństwie przebiega. Musimy starać się zasypywać te podziały – przekonywała wdowa po samobójcy. „Wywiad z Ewą Szczęsną poruszył was dwojako. Dobrze. Musiał poruszyć. Siedem lat ciszy o Szarym Człowieku i dość. Pani Ewie ślę wasze podziękowania. Jej się należą, nie mnie. Za wyważone słowa. Wszystkich Świętych to stosowny moment. Wielu to zrozumie, inni nigdy” – tak dziennikarka komentowała burzę po emisji tego skandalicznego wywiadu 1 listopada.

Wydaje się, że Wysockiej-Schnepf przyświeca hasło „prętem po klatce”. Im skrajniejsze emocje wzbudzają jej gość lub tezy wygłaszane przez nią samą, tym lepiej. Samo na myśl nasuwa się powiedzonko jednego z europosłów PiS: „Słuchać wycie? Znakomicie!”. Dziennikarka TVP Info obawia się, że z powodu niewystarczająco radykalnych rozliczeń PiS wróci jednak kiedyś do władzy lub częściowo ją przedłuży poprzez zwycię-

stwo w kolejnych wyborach prezydenckich. W rozmowie z prof. Wojciechem Sadurskim wyraziła zaniepokojenie. – Po roku możemy dojść do wniosku, że tak nam PiS z prezydentem Dudą zabetonował system prawa, że praworządności nie udało się przez rok odbudować – wskazała z „troską”.

To, że neo-TVP jest starą TVP, tylko à rebours, chyba nikogo szczególnie nie dziwi. Po to przecież dokonano jej szybkiego, siłowego przejęcia. Co może zaskakiwać, to skrajność, którą serwuje widzom w swoich programach Dorota Wysocka-Schnepf. Jakby chciała udowodnić, że teraz nie ma już żadnych granic. Do jednej ze swoich „Rozmów niesymetrycznych” zaprosiła muzyka Macieja Maleńczuka. Bez żadnej kontry ze strony dziennikarki wylewał hektolitry hejtu na prezydenta. – Jego angielski jest koszmarny. Jak to jest możliwe, że wstąpił na urząd, nie znając języka? Jak to jest możliwe, że skończył studia, nie znając języka? Nie mam nic dobrego do powiedzenia na temat tego pana. Nie mogę w to uwierzyć, że nas reprezentuje, nie jesteśmy aż takimi burakami – stwierdził Maleńczuk.

Z niewiadomego powodu kontrowersyjny muzyk wystąpił w roli eksperta do spraw polityki. Powiedział, że chciałby zobaczyć walkę o prezydenturę „Kaczyński kontra Tusk”. – Ale nie będzie takiej walki. Tusk chyba się nie zdecyduje, chociaż namawiałbym go serdecznie, bo uważam, że prezydentura byłaby zwieńczeniem jego kariery. Mamy jeszcze Sikorskiego, ale chyba ustąpi Trzaskowskiemu i będziemy mieli prezydenta, który dobrze mówi po angielsku i chyba jeszcze w innych językach również. I oczywiście będę na niego głosował. I Błyszczak przegra. Myślę, że to będzie śmieszna walka i że w cuglach wygra Trzaskowski – mówił.

„WALKA Z REŻIMEM”

Pójściem o krok dalej było zaproszenie przez Wysocką-Schnepf prowokatora znanego z zakłócania miesięcznik smoleńskich – Arkadiusza Szczurka. Rozmowa odbyła się w sympatycznej atmosferze, gdzie bojówkarskie i po prostu chamskie akcje ekipy Szczurka zaprezentowano widzom jako „walkę z reżimem”. Sam aktywista został ukazany jako kombatant walki o demokrację. Założyciel Lotnej Brygady Opozycji uważa, że wojna trwa. – Kaczyński trzyma się dość mocno, Duda chce pokazać swoją władzę i wsadza kij w szprychy cały czas, więc uważałem, że powinniśmy kontynuować naszą działalność do wyborów prezydenckich – wskazał. – Koleżanka mówi: „Jak możemy być teraz Lotną Brygadą Opozycji, skoro teraz rządzi koalicja demokratyczna? Nie chcę być w opozycji”. Ja mówię: „Przecież byliśmy opozycją wobec PiS, a ponieważ PiS jest cały czas drugą siłą, trzyma się w różnych instytucjach, w prokuraturze, sądach, powołał swoich nominatów, więc dalej jest być wobec czego w opozycji. Poza tym to jest partia ewidentnie antydemokratyczna i można być Lotną Brygadą Opozycji wobec zamordystów z PiS. Taka była moja propozycja, ale nie przeszła – opowiadał gość Wysockiej-Schnepf. Dziennikarka zapytała Szczurka o jego „ulubiony happening”. „Przyznał, że lubi wiele happeningów, które zorganizowali, ale ulubionym jest ten w siedzibie Najwyższej Izby Kontroli. W październiku 2019 r. przyszli do siedziby Mariana Banaśa z wyposażeniem »pokoju na godziny« – opisuje portal tvp.info. To w końcu u niej w programie (bez żadnej riposty) zaprezentowana została absurdałna teza

dziennikarza Grzegorza Rzeczkowskiego o tym, że „rząd PiS był gotowy na ustalanie nowego porządku w Europie” po inwazji Rosji na Ukrainę w 2022 r.

Dziennikarski styl Doroty Wysockiej-Schnepf nie dziwi nikogo, kto obserwował jej poczynania przed dojściem do władzy koalicji Donalda Tuska. W czerwcu 2023 r. (przy okazji Marszu 4 czerwca) opublikowała na łamach „Gazety Wyborczej”, z którą współpracowała w latach 2016–2024 (wcześniej pracowała m.in. dla TVP oraz Polskiego Radia), pean na cześć lidera PO. Pobrzmiwia w nim dobrze znana nuta pogardy dla symetrystów. „Wyjechał – źle. Wrócił – też niedobrze. Notowania niskie – źle, rosną – niedobrze. Marsz zakończyłby się klapą – źle. Był imponujący – również nie najlepiej. Cokolwiek Donald Tusk zrobił, robi i będzie robił, wywoła grymas niezadowolenia, a przynajmniej rozczarowanie

**Co może zaskakiwać,
to skrajność,
którą serwuje widzom
w swoich programach
Dorota Wysocka-Schnepf**

u wielu komentatorów po demokratycznej stronie” – wytykała. Wysocka-Schnepf ostro rozliczała malkontentów. „A co, jeśli wygra? Jeśli Platforma przeskoczy w wyborach PiS? A może przed wyborami wspólna lista jednak powstanie? Może prawdą są sygnały z kręgów Trzeciej Drogi, że będzie powrót do rozmów? I jeśli opozycja przejmie władzę po wyborach i zacznie naprawiać kraj? Rozliczać złodziejstwo? Przywracać rządy prawa? Idę o zakład – na pewno też coś będzie nie tak. Albo za słabo, albo za mocno. A wina? Wiadomo – wina będzie Tuska” – grzmiała.

CIEMNE KARTY

Słowa o przejęciu władzy się ziściły, co sprawiło, że nie tylko dziennikarze zaczęło wieść się lepiej. Dorota Wysocka-Schnepf jest bowiem żoną Ryszarda Schnepfa, który objął kierownictwo ambasady w Rzymie jako chargé d'affaires. Jego ojciec, zmarły w 2003 r. Maksymilian Marian Schnepf, był pułkownikiem ludowego Wojska Polskie-

go. Dowodził pododdziałem wspierającym wojska sowieckie w „obławie augustowskiej” – akcji mającej na celu zniszczenie oddziałów podziemia niepodległościowego i antykomunistycznego w rejonie Suwałk i Augustowa, nazywanej „małym Katyniem”.

O tych ciemnych kartach małżeństwo nie chce mówić. Woli akcentować to, że Maksymilian Schnepf to Żyd ocalony przed Holokaustem, a matka dyplomaty, Alicja, to działaczka uhonorowana tytułem Sprawiedliwej wśród Narodów Świata. W kwietniu ubiegłego roku „Wyborcza” opublikowała wywiad Doroty Wysockiej-Schnepf z mężem. „Byli Polacy, którzy zachowali się godnie i odważnie w czasie okupacji. Ale byli tacy, którzy czerpali satysfakcję albo interes z donoszenia na żydowskich sąsiadów. Część naszego społeczeństwa, mojego społeczeństwa, uczestniczyła w tym strasznym procederze” – stwierdził autorytatywnie ambasador.

Rozmowa oscylowała wokół wywiadu prof. Barbary Engelking w TVN24. Stwierdziła, że „Żydzi nieprawdopodobnie rozczarowali się co do Polaków w czasie wojny”. „Premier, inni politycy PiS, rządowe media przypuścili atak na prof. Engelking za przejmujący wywiad, którego udzieliła Monice Olejnik. Powiedziała w nim, że tylko w fałszywej propagandzie Polacy masowo pomagali Żydom w czasie okupacji, że atmosfera wokół powstania w getcie nie zawsze była życzliwa i że Sprawiedliwych było bardzo niewiele. Oglądaliśmy razem ten wywiad. On cię wzburzył tak samo jak polityków PiS?” – pytała męża Wysocka-Schnepf. „Właściwie nie powinienem być zaskoczony, a jednak zważywszy na głęboką symbolikę uroczystości rocznicy powstania w getcie, wciąż pozostaję w szoku, że takie słowa mogły paść, i to ze strony premiera. Szczególnie pod adresem wybitnej historyczki, która jak mało kto w świecie zna i zbadała u źródeł historię Holokaustu, zwłaszcza tu, na ziemiach polskich, oraz historię getta warszawskiego i powstania w getcie” – odpowiedział dyplomata, odnosząc się do słów Mateusza Morawieckiego, który powiedział, że Engelking „już kilka lat temu przedstawiła swój pogląd na temat różnicy między śmiercią osoby narodowości żydowskiej a narodowości polskiej. To pogląd rasistowski”.

Jedną z największych sensacji współczesnej historii literatury ukazała się 250 lat temu 29 września 1774 r. w Lipsku. Zachowujący anonimowość 25-latek opublikował książkę o tytule „Cierpienia młodego Wertera”. Z tej okazji Muzeum Niemieckiego Romantyzmu we Frankfurcie nad Menem przedstawia wystawę „Świat Wertera”. Dlaczego dwa i pół wieku po premierze książki tak wiele osób uważa ją za wciąż aktualną? Co zadecydowało o sile tego rewolucyjnego manifestu w formie opowieści o nieszczęśliwej miłości? Frankfurcka wystawa stara się wytłumaczyć fenomen tej literackiej „petardy” sprzed ponad dwóch stuleci.

GORĄCZKA CZASÓW

Autorzy wystawy zaczynają od przypomnienia burzliwego klimatu tamtej epoki. Rok 1774 zwiastuje wrzenie na wielu kontynentach. We Francji król Ludwik XVI – ostatni przedrewolucyjny władca – wstępuje na tron. W Ameryce, w Filadelfii, pierwszy kongres kontynentalny 13 północnoamerykańskich kolonii tworzy podstawy programu żądań kolonistów wobec korony brytyjskiej. W Rosji przez chwilę zdaje się, że władza carycy Katarzyny II może być zagrożona chłopskim powstaniem pod wodzą Jemieljana Pugaczowa. W Paryżu encyklopedyści opanowują umysły ówczesnych intelektualistów i rozpoczynają ferment, który zakończy się rewolucją. W Rzymie umiera papież Klemens XIV, a na tron wstępuje Pius VI, za którego rządów papieństwo wejdzie w stan ostrego kryzysu. Niewiara i wolnomyślicielstwo lekko tylko pozorowane religijnym rytuałem ogarniają francuską arystokrację. Podróżnik James Cook odkrywa nowe ziemie w obszarze Oceanu Spokojnego – Tahiti, Nową Kaledonię i pełną tajemniczych rzeźb Wyspę Wielkanocną. Naukowiec Joseph Priestley właśnie w tym roku po raz pierwszy opisuje budowę tlenu. A Mozart pisze swoją pierwszą operę „Rzekoma ogrodniczka”. W Niemczech powoli chyli się ku upadkowi ład symbolizowany przez Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego. Mieszkaństwo w państewkach Rzeszy ma dosyć zginania karku przed arystokracją, którą uważa za próżną i niezasługującą na posiadane przywileje.



Samobójstwo Wertera – ilustracja jednego z wydań książki
FOT. FRANKFURTER GOETHE-MUSEUM

Werter, czyli bohater z kulą w głowie



Piotr Semka
z Frankfurtu nad Menem

Jeśli jakiś element „Cierpień młodego Wertera” zachował aktualność, to raczej zbierająca żniwo do dzisiaj fascynacja śmiercią. Frankfurcka wystawa stara się wytłumaczyć fenomen tej literackiej „petardy” sprzed ponad dwóch stuleci

I właśnie w tym świecie pulsującym ukrytą żądzą zmiany swoje wielkie dzieło tworzy Johann Wolfgang Goethe urodzony we Frankfurcie nad Menem. Od paru lat prowadzi życie studenta birbanta, zbyt nieprzystającego się do nauki. Jego ojciec, Johann Caspar, szacowny frankfurcki cesarski radca stanu, chce, aby syn w końcu się usatkwował. W tym celu wysłał młodego Johanna do Wetzlar, aby podjął tam pracę w Sądzie Najwyższym Rzeszy. Tam młody adept sztuki prawniczej poznaje Charlotte Buff, córkę wdowca – zarządcy majątkiem zakonu krzyżackiego w tej części Niemiec. Goethe zachwyca się młodą dziewczyną, ale z czasem z konsternacją odkrywa, że jest ona już narzeczoną niejakiego Johanna Christiana Kestnera, który także pracuje w sądach Wetzlaru. Goethe znajduje przyjemną atmosferę domową u Charlotte, a na dodatek zaprzyjaźnia się serdecznie z jej narzeczoną. Po latach naukowcy znaleźli ważny zapis w pamiętnikach Kestnera: „Wiosną przybył tu niejaki Goethe z Frankfurtu, z profesji Doctor Juris w wieku lat 23, jedyny syn bardzo bogatego ojca [...]. Goethe ani nie chodzi do kościoła, ani się modli, interesuje się Rousseau i szuka prawdy, ale większą wagę przywiązuje do tego, by dociec jej uczuciem, a nie rozumem”.

Szybko tworzy się pozornie przyjacielski trójkąt, w którym Goethe dyskutuje z nowo poznanymi przyjaciółmi o poezji, naturze, sensie życia. Kestner początkowo zachwycony erudycją Goethego zaczyna powoli odkrywać, że sprawy idą w bardzo dla niego niepokojącym kierunku. W końcu, gdy Goethe zdobywa się na bynajmniej nie braterski pocałunek z Charlotte, ta wyraźnie daje mu do zrozumienia, że taki stan rzeczy nie może dłużej być tolerowany. Goethe opuszcza gwałtownie Wetzlar i znika z oczu pary, której przyjaźń wystawił na próbę.

Niebawem styka się z bardzo podobną sytuacją do swojej. Jeden z dalszych znajomych Goethego, młody prawnik Karl Wilhelm Jerusalem, zakochuje się w zajętej już dziewczynie i nie mogąc znieść niemożności zalegalizowania związku, popełnia samobójstwo.

Te dwie przygody wprowadzają Goethego w stan duchowej burzy, którą odreagowuje napisaniem powieści w formie listów o nazwie „Cierpienia młodego Wertera”.

Jest to pierwsza powieść Goethego i okaże się jego największym sukcesem obok znacznie późniejszego „Fausta”. Sukcesem, ale w tamtym czasie i największym skandalem. Decyduje o tym zakończenie opowieści o cierpieniach młodego prawnika. Werter strzela sobie z pistoletu w głowę.

Takiej afirmacji samobójstwa – grzechu śmiertelnego zarówno w ocenie protestantów, jak i katolików – nigdy wcześniej w niemieckiej literaturze nie było.

DŁUGI CIĘŃ ŚMIERCI

Biograf Goethego, Richard Friedenthal, pisał: „Dzieło wznieciło ogień, słomiany, ale i niweczający, jakiego nie wywołała wcześniej i później żadna książka niemiecka. Grasowała epidemia werterowska, gorączka werterowska, moda werterowska, młodzi panowie zjawiali się w towarzystwie w niebieskich frakach i żółtych kamizelkach, tak jak w powieści. Odbierano sobie życie na modłę Wertera, obchodzono uroczystości ku czci Wertera

Takiej afirmacji samobójstwa – grzechu śmiertelnego zarówno w ocenie protestantów, jak i katolików – nigdy wcześniej w niemieckiej literaturze nie było

nad grobem jego pierwowzoru, gromiono książkę o Werterze z ambon, pojawiały się karykatury Wertera [...]. Goethe notuje, że nawet Chińczycy malowali Lottę i Wertera na porcelanie”.

Są powieści, które definiują stan umysłów w danym czasie. Zespołu haseł, który czeka tylko na swoje wykrzyczenie. „Cierpienia młodego Wertera” trafiły w czuły punkt swoich czasów. Jedni byli książką zachwyceni, inni oburzeni, ale nikt nie pozostawał obojętny. Niemiecki poeta i kompozytor Christian Daniel Schubart pisał do przyjaciela: „Radosna aprobata dla książki, gdziekolwiek tylko spojrzysz, wszyscy pytają: Przeczytałeś



Pierwsze wydanie „Cierpienia młodego Wertera” z 1774 r.
FOT. PIOTR SEMKA

już to?”. Nawet szacowny naukowiec Wilhelm von Humboldt zachwycił się: „Co za książka!”. Gdy w 1810 r. Napoleon spotkał się z Goethem w Erfurcie, wyzna mistrzowi, że czytał książkę siedem razy. Górnołotnie mawiano wtedy, że nie ma nikogo, kto by nie poczuł, że „Cierpienia młodego Wertera” napisano specjalnie dla niego.

Oczywiście – jak zwykle bywa w takich wypadkach – próby cenzury tylko wzmacniały popularność dziełka. Rada miasta Lipska próbuje zakazać

sprzedaży książki, Wydział Teologiczny Uniwersytetu Lipskiego zabrania jej czytania. Na terenie Austrii pod władzą Marii Teresy książka jest formalnie urzędowo zakazana. Jednak kolejne wydania sypią się jak ulegalki i książka zostaje przetłumaczona na francuski, angielski, włoski i hiszpański. Oczywiście rozpoczyna się też czarna legenda powieści. Ojcowie i matki dziewcząt oraz chłopców, którzy pod jej wpływem skończyli ze sobą, oskarżają teraz Goethego o pokazanie wzoru śmierci ich dzieciom. Na żądanie wydawców Goethe zmuszony jest do dodania po tekście książki pisemnego wezwania: „Nie idź tą drogą”. Znika ono potem z kolejnych wydań, gdy tylko Goethe poczuł się pewniejszy na swej drodze do statusu geniusza.

KSIAŻKA ZBÓJECKA?

Autorzy wystawy unikają oceniania tej pozycji. Za to bardzo dokładnie wskazują, które ówczesne trendy intelektualne wpłynęły na kształt książki. Najgłębszą istotą światopoglądu powieściowego Wertera jest przekonanie, że świat jest czymś w rodzaju więzienia i na dodatek jest to więzienie pozbawione sensu, absurdalne, a poprzez swoją absurdalność świat jest ostatecznie zły. Wszelka próba nawiązania kontaktu z drugim człowiekiem to daremny trud. Mało tego. Nie przynosi pocieszenia i obserwacja natury, która jawi się jako potwór okupujący każdą sekundę swego trwania milionami ofiar. Autorzy wystawy wskazują, że jest to echo lektur filozofii Spinozy. Filozofia wyzierająca z cytowanych w książce

listów Wertera to pierwszy przykład umieszczenia w masowo wydawanej książce filozofii wyraźnie odrzucającej zasady chrześcijaństwa. Dla Wertera religia ani nie jest podporą, ani główny bohater jej nie potrzebuje. W werteryzmie znaleźć można subiektywizm uczuciowy, pesymizm teoretyczny, indyferentyzm moralny i detronizację osobowego Boga.

Goethe wszystko to umieszcza w na tyle sprytny sposób, że nie rzuca się to od razu w oczy. Światopoglądowy pesymizm Goethego wymyka się jednoznacznym określeniom i często był niezauważony za fasadą pozornie emocjonalnej opowieści o uczuciu, które nie może być spełnione. Generacja, która przyjęła przygody Wertera za swoje credo duchowe w XVIII w., właśnie odchodziła od wiary. W dziele Goethego znalazła wygodne alibi do uzasadnienia tego procesu.

W szerszym i dłuższym planie „Cierpienia młodego Wertera” stały się manifestem idealizmu i stawiania uczucia ponad rozum czy racjonalizm. Owszem, Goethe w swojej powieści jeszcze nie decyduje się, by bohater w imię swojego uczucia podeptał trzymanie się przez powieściową Lottę zasady wierności wobec swojego narzeczonego. Ale kolejni autorzy właśnie w imię indywidualnego uczucia przesuwają będą granice tego, co konieczne w kierunku łamania tradycyjnych norm moralności. I podobnie zresztą było z postrzeganiem natury. Coraz rzadziej zaczęto postrzegać jako dzieło Boga, a znacznie częściej widziano ją jako osobne bóstwo niemające nic wspólnego z chrześcijańską tradycją stworzenia.

PREZ Z ARYSTOKRACJĄ!

Dzisiaj już ten wątek nie jest tak obraźliwy, ale za życia Goethego zwracał on uwagę młodej generacji aspirującej do politycznego awansu burżuazji. W powieści Werter, podjąwszy początkową decyzję o odsunięciu się od Lotty i jej narzeczonego, próbuje zrobić karierę na dworze jednego z niemieckich książąt.

I tu dotyka go bolesne upokorzenie. Arystokraci dają mu na różne sposoby do zrozumienia, że jego mieszczańskie pochodzenie będzie piętnem, którego nie jest w stanie zmyć. Werter reaguje na wszelkie afronty bardzo emocjonalnie. W słynnej scenie spotkania towarzyskiego w pałacu jednego z książąt przyjazny



Charlotte Buff-Kestner (1753-1828)
– pierwowzór powieściowej Lotty
FOT. DOMENA PUBLICZNA

mu hrabia wyprowadza go z balu, mówiąc: „Towarzystwo jest niezadowolone, jak widzę, z Pana obecności”. Werter wyznaje: „Wycofałem się dyskretnie z dostojnego towarzystwa, poszedłem sobie, wsiadłem do kabrioletu i pojechałem do M., by zobaczyć tam ze wzgórza zachód słońca, recytując przy tym wspaniałą pieśń Homera, jak Ulisses ugascza zacy swiniopas”.

Oczywiście dziś tylko historycy mogą próbować wyjaśnić, jak czytając o demonstracjach pogardy dla mieszczańskich synów, mogli się czuć ówczesni inteligenci z Hamburga, Bremy czy

Kolonii. Ale ten antyarystokratyczny rys doskonale pasował potem do sukcesów rewolucji francuskiej na tych niemieckich ziemiach, które zajęły oddziały Republiki. Francuscy komisarze rewolucyjni często doskonale znali dzieło Goethego.

W sztywnej i strupieszalej strukturze dawnego cesarstwa Rzeszy niemożliwe byłyby tysiące karier, do których impuls wyznaczył właśnie poeta z Frankfurtu.

Dziś po wielkiej rewolucji obyczajowej cierpienia Wertera kojarzą się młodym z nudną ramotą. Wielu nastolatków nie może nawet zrozumieć pryncypializmu książkowej Lotty, która odepchnęła od siebie zakochanego Wertera jedynie w imię wierności narzeczeńskiej. Jeśli jakiś element zachował aktualność, to raczej zbierająca żniwo do dzisiaj fascynacja śmiercią. Nieprzypadkowo psycholodzy ukuli określenie „syndrom Wertera”, które niedawno pojawiło się w dyskusjach nad stosownością zaproszenia do studia TVP przez Dorotę Wysocką-Schnepf wdowy po Piotrze S. Był to człowiek, który popełnił samobójstwo w ramach protestu przeciwko rządowi PiS. I dlatego w mrocznej powieści promotora epoki „burzy i naporu” z Frankfurtu usłyszymy pewnie jeszcze nie raz. Pozycji „Cierpienia młodego Wertera” w historii literatury nic raczej w najbliższym czasie nie zagrozi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Świat Wertera” w Muzeum Niemieckiego Romantyzmu we Frankfurcie nad Menem potrwa do 30 grudnia 2024 r.



Jedno z wydań dzieła Goethego
FOT. PIOTR SEMKA

Czas podróbek



Kadr z serialu „Diuna: Proroctwo”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Piotr Gociek

Fantastyka, kryminał – wszystko da się popsuć. Wystarczy zamiast o widzu myśleć o ideologicznej słuszności

Nie ma dziś gorszej wiadomości dla widza niż informacja, że ktoś będzie ekranizował jego ulubioną książkę albo dopisywał do niej nowe kawałki w formie serialu czy filmu, prequela czy sequeła (zowie się to „z inspiracji”). Współczesna popkultura zamiast kreować nowych bohaterów i opowiadać nowe historie, pasożytuje na tym, co napisał i nakręcił już ktoś inny, zwykle w całkiem innych czasach. Trudno na lepszy dowód pustki wypełniającej głowy scenarzystów, reżyserów, a przede

wszystkim osobników zarządzających wielkimi studiami.

Zamiłowanie do sequeli lub powtórek nie jest w tej krainie niczym nowym, szczególnie gdy spojrzymy na pierwsze pół wieku historii kina: ot, powieść Tołstoja „Anna Karenina” ekranizowana była przed rokiem 1939 sześć razy i nikomu to nie przeszkadzało. Jest jednak pewien haczyk: znaną doskonale historię opowiadano ponownie, gdyż widzowie kochali i opowieść, i to, jak jest opowiadana.

ABSURDALNY ZARZUT

Dziś w miejsce tych, którzy chcieliby opowiadać po prostu pasjonującą historię, wepchnęli się samozwańczy edukatorzy, którzy chcą głównie pouczać, zmieniać, uwspółcześniać. Oni wiedzą lepiej. Skąd wiedzą? Ano stąd, że cały stojący za nimi ruch politycznej poprawności – cancel culture, woke culture itd. – upewnia ich, że tak trzeba. Lekko

zachłysnąłem się herbatą, kiedy ujrzałem w Internecie nagłówki obwieszczające, jak epokową zmianę zaproponowali nam np. twórcy serii „Diuna: Proroctwo” („Dune: Prophecy”, dostępna w Max). Przykład pierwszy z brzegu, ale jest ich więcej: „»Dune: Prophecy« Finally Gives the Women of the Universe Their Time in the Sun” (portal GameRant).

Nareszcie. Kobiety. Właściwe miejsce. Znaczą: bardzo dużo miejsca. Z samej konstrukcji podobnych nagłówków wynika, że z oryginalną powieścią Franka Herberta oraz z jej ekranizacjami było od samego początku coś bardzo nie w porządku. Najwyraźniej nie poświęcały kobietom odpowiednio wiele uwagi.

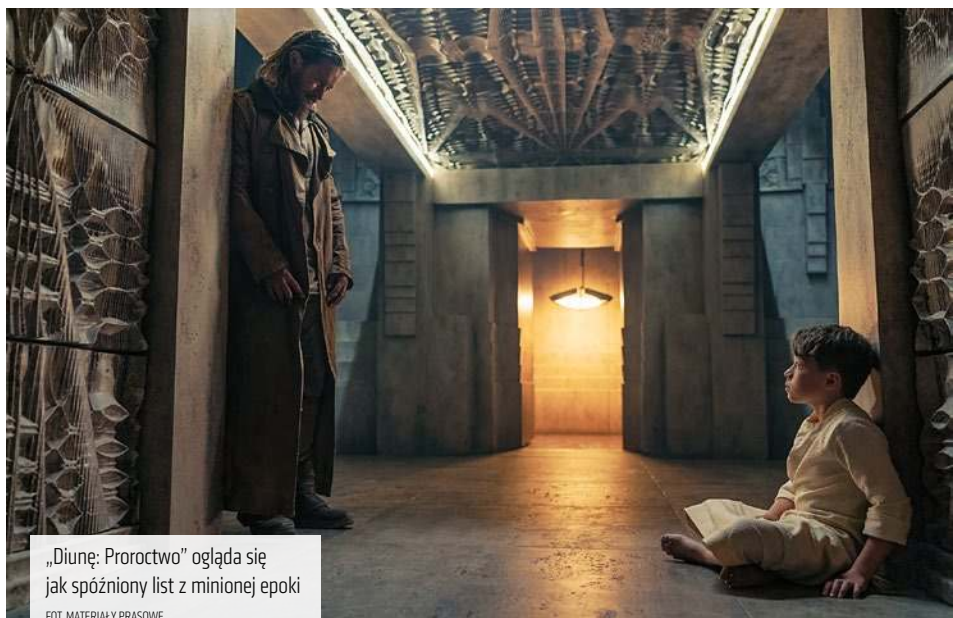
Zarzut jest absurdalny. Kto zna książkę i filmy, ten pamięta, a kto nie zna – dowie się ode mnie: w skrócie, w świecie „Diuny” kobiety odgrywają najważniejszą rolę we Wszechświecie. Żeński zakon Bene Gesserit działa skutecznie od 10 tys. lat. Każdy potężny ród, każdy

■ arystokrata marzy o tym, by mieć na swoim dworze doskonale wyszkoloną doradczynię z zakonu. Bez niej trudno o sukces i bezpieczeństwo – wśród innych talentów mają one i umiejętność do wykrywania, czy ktoś mówi prawdę. Uniwersum „Diuny” bez Bene Gesserit byłoby tym, czym uniwersum „Gwiezdnych wojen” bez rycerzy Jedi.

Intrygi oryginalnej „Diuny” nie dałoby się opowiedzieć bez kobiet. Matka Paula, lady Jessica, jego fremeńska ukochana Chani, jego oficjalna żona księżniczka Irulan, no i oczywiście wpływowe postacie żeńskie z Bene Gesserit – zakonu, który nie tylko manipuluje na gigantyczną skalę polityką całego imperium, lecz także odpowiada za przygotowanie gruntu pod objawienie się Paula Muad’ Diba jako mesjasza z Arrakis.

Dzisiejsi edukatorzy i falsyfikatory uważają jednak, że liczy się ilość, a nie sens. Więc skoro w miniserii „Diuna: Proroctwo” w centrum opowieści stawiają sam zakon Bene Gesserit i na ekranie pojawia się mnóstwo dziewcząt, to opowieść jest bardziej feministyczna i szerząca „girl power”. Otóż nie jest, bo ów dziewczęcy nadmiar służy jeno jako dekoracja. Zastawiono natomiast na widza kolejną pułapkę: główny konflikt w opowieści. Po jednej stronie matka wielbna Valya Harkonnen, którą gra Emily Watson, szykująca spisek na galaktyczną skalę – otóż uważa ona, że jedynie osadzenie kobiety na tronie da bezpieczeństwo niedawno utworzonemu zakonowi (akcja serialu rozgrywa się 10 tys. lat przed fabułą powieści „Diuna”). Po drugiej stronie tajemniczy żołnierz Desmond Hart (Travis Fimmel), który uprzedza imperatora o niebezpieczeństwie i zamierza przeciwstawić się siostrzyczce z całą bezwzględnością. I teraz uwaga: ma to obrazować, jak wyczytałam w rozmaitych wypowiedziach twórców serialu, odwieczny lęk mężczyzn przed kobietami. Mężczyźni, widzicie, po prostu nie mogą znieść istnienia kobiet potężnych i wpływowych, więc od razu próbują je wytłuc.

Jedyne zdanie, jakie przychodzi mi do głowy, to „puknijcie się w głowę”. Czy jakiegokolwiek władca, odkrywając, że jego najbliżsi doradcy (i doradcy wszystkich rodów w imperium) spiskują, by przejąć kontrolę nad sukcesją, przyjąłby to z ra-



„Diunę: Proroctwo” ogląda się jak spóźniony list z minionej epoki
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Cross w serialu Amazona nadal jest policjantem, ale zamienił się nagle w bojownika ruchu Black Lives Matter
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

dością i wyrozumiałością? W dodatku – wyjaśniam dla tych, którzy franczyzy nie znają – wszelkie działania Bene Gesserit podporządkowane są celom, które nie mają nic wspólnego z dobrem i interesami wszystkich, którym siostrzyczki doradzają. Napędza je własna idée fixe o wyhodowaniu nadczłowieka poprzez odpowiednie krzyżowanie linii genetycznych. Wszyscy królowie, książęta, baronowie są więc dla nich jedynie bykami rozplodowymi. Czy o takiej „girl power” marzą feministki?

Fałszywe założenie w budowaniu konfliktu daje pustą fabułę. Twórcy serialu „Diuna: Proroctwo” tak się ucieszyli z licznych kobiet na planie, że zapomnieli napisać scenariusz. W pierwszym odcinku trup pada na początku, trup pada

na końcu, ale poza tym nie dzieje się nic, dosłownie nic: to tylko seria dość nijakich rozmów w pięknych dekoracjach. Porównanie z kinowymi filmami Denisa Villeneuve’a wypada dla serialu miażdżąco – bo w filmach, podobnie jak u Franka Herberta, pojedyncza scena niosła ze sobą więcej znaczeń niż cały epizod „Proroctwa”. No i grzech najcięższy – nie ma w tej historii komu kibicować, bo wybór między wpływową kobietą, która morduje dla własnej chwały, a mężczyzną, który, by osiągnąć polityczny cel, pali dzieci, to wybór między dżumą a cholerą. Pośrodku jest jeszcze chwiejny imperator (wyjątkowo pozbawiony charyzmy Mark Strong), który jest równie ciekawy jak posadzka, po której chodzi. Żadna „girl power” tego nie uratuje.

GŁĘBOKIE ROZCZAROWANIE

Teraz nowość kryminalna. Z serwisu Max przenoszę się do Amazon Prime, gdzie zadebiutował serial kryminalny „Cross”. Na pierwszy rzut oka – pewniak. Postać Alexa Crossa pamiętają wszyscy czytelnicy bestsellerów Jamesa Pattersona, to bohater jego najbardziej znanej serii książek. Seria liczy ponad 30 tomów, ale ci, którzy sięgają po nią dziś, mogą nie pamiętać, jak wielkim hitem były (także w Polsce) pierwsze powieści o Crossie w latach 90. Co prawda, żadna z kinowych ekranizacji („Kolekcjoner” 1997, „W sieci pająka” 2001 i „Alex Cross” 2012) nie okazała się kasowym hitem, ale mały ekran dawał przecież drugie, udane życie dużo mniej znanym postaciom.

Włączam więc pierwszy epizod streamingowego „Crossa” (w roli głównej Aldis Hodge) z ciekawością, bo pamiętam niejedne wakacje spędzone z książką Pattersona na plaży. Cóż, ciekawość szybko ustępuje głębokiemu rozczarowaniu.

Od razu zastrzegę – nie jestem fetyszystą, który uważa, że autorzy adaptacji muszą niewolniczo trzymać się wszystkiego, co znajdują w literackim oryginale. Kino i telewizja mają własne wymogi, trzeba skracać, przerabiać, szukać sposobu na opowiadanie obrazami itd. Warto jednak trzymać się ducha oryginału, inaczej zamiast adaptacji mamy rzeźnię. Siłą powieści o Alexie Crossie był główny bohater, czarnoskóry detektyw policji, który jest zarazem genialnym psychologiem. Chwył ograny, ale świetnie się sprawdza; lubimy czytać opowieści o mistrzach dedukcji, którzy w lot przejrzą każde kłamstwo i dojrzą rozwiązanie tam, gdzie inni widzą tylko gąszcz sprzecznych domysłów. Naprzeciw Crossa stawiał Patterson równie bystrych, czasem aż do przesady demonicznych przeciwników, zbrodniarzy, którzy byli mistrzami w konstruowaniu wielopoziomowych intryg, psychopatów niecofających się przed najbardziej odrażającymi czynami. Książki te szybko stały się czymś w rodzaju opowieści o superbohaterach, ale bez supermocy, co podkreślane było przez autora skłonnością do wielopiętrowych zwrotów akcji, czasem beczelnie przesadnych.

Cross w serialu Amazona wciąż jest policjantem i psychologiem, ale zamienił się nagle w bojownika ruchu Black Lives Matter. Nie żartuję – oto w pierwszym odcinku mamy scenę, kiedy to odwie-
dza rodzinę zmarłego w podejrzanym

okolicznościach aktywisty BLM i wprost opowiada, że całym serem popierał działalność ofiary. Ofiary, która walczyła także pod sztandarami Defund The Police. Jak rozumiem, detektyw Cross popiera pozbawienie samego siebie funduszy. Gdy biała szefowa policji zleca Crossowi i jego partnerowi śledztwo w opisanej wyżej sprawie, detektyw się buntuje, bo uważa, że wysłanie czarnego do tej sprawy jest jedynie akcją propagandową. Kogo w takim razie należałoby wysłać, skoro chwilę później dowiadujemy się, że z białymi świadkowie nie rozmawiają?

Zamordowany aktywista Defund The Police/Black Lives Matter chwilę później jest przedstawiony niemal jako święty, bo – po pierwsze – w więzieniu nawrócił się na islam i zaczął jeść indyka zamiast wieprzowiny, a po drugie – bo całe miasto go kochało. Trudno być policjantem w mieście, które w całości kocha postulat odebrania policji pieniędzy – być może Cross powinien zrzucić mundur i pozwolić, by śledztwo poprowadziło całe miasto.

Obszerne fragmenty scenariusza pierwszego odcinka serialu „Cross” brzmią jak felietony już nawet nie z „New York Timesa”, ale z jakichś piśemek BLM. Zanim przyjdzie czas na te tyrały przeciw białym, rasizmowi i policji, trzeba jeszcze we wprowadzeniu odpowiednio przedstawić widzowi i uwiarygodnić głównego bohatera. Dostajemy więc scenę przesłuchania, kiedy to Alex Cross bez trudu ogrywa podejrzanego o morderstwo, który oczywiście jest biały i oczywiście wylewa z siebie najgorsze rasistowskie obelgi, łącznie z sugestią, że czarni są genetycznie gorsi od białych – w związku z tym głupszy. Cross przechrzta podejrzanego, gdyż wyławia z jego wypowiedzi dosłowny

cytat z „Makbeta”. Ma to dowodzić winy białego rasisty. Nie jestem specjalistą, ale trudno będzie utrzymać ten dowód w sądzie. Chyba że założymy, że „Makbet” jest biblią morderców i że każdy, kto pamięta jakieś fragmenty sztuki Szekspira, jest automatycznie winien. Czego winien? Ano czegokolwiek.

TRZY NAJGŁĘPSZE SŁOWA

Po wyborczym zwycięstwie Trumpa coraz częściej mówi się nie tylko o politycznej, lecz także kulturowej zmianie w amerykańskim społeczeństwie. Coś jest na rzeczy. Tyle że nie jest to zmiana, której oczekiwali twórcy „Diuny: Proroctwa” czy „Crossa”. Amerykański widz coraz częściej woli oglądać reaganowskie z ducha serie Taylora Sheridan; w kinach nawet mniej udane christian movies odnoszą sukcesy większe od przereklamowanych hollywoodzkich hitów. Najbardziej kasowym dokumentem roku jest w USA „Am I Racist?” Matta Walsha, konserwatywnego autora podcastów, który celnie wyszydza lewicowe obsesje. Nawet wpływowy doradca Partii Demokratycznej James Carville powiedział (rozmowa w „NYT”), że „defund the police” to trzy najgłupsze słowa w języku angielskim, i martwił się, że jego ugrupowanie może nigdy z siebie nie zmyć zapaszkę zwolenników ideologicznych szaleństw. W tym świecie ogląda się „Diunę: Proroctwo” i „Crossa” jak spóźnione listy z minionej epoki. Obawiam się, że ta epoka jeszcze potrwa. Znacnie Hollywood – wszyscy są tam przekonani o swej słuszności tak bardzo, że będą nas chcieli edukować tym bardziej, im bardziej tę nauki odrzucamy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Filmopedia FILM od 1946 roku

67 lat historii filmu

Największa baza dorobku polskiej kultury filmowej

ODWIEDZ STRONĘ **filmopedia.org** I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej





FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CANAL+ ONLINE polsat box go

Pycha i uprzedzenie



★★★★★
REŻ. NURI BILGE CEYLAN
„WŚRÓD WYSCHNIĘTYCH TRAW” („KURU OTLAR ÜSTÜNE”)
TURCJA/FRANCJA 2023

wyst. Deniz Celiloğlu,
Merve Dizdar

Nauczyciel Samet cierpi katusze na prowincji. Dookoła pustkowia, zima ciągnie się jak podróż osobowym z Przemyśla do Świnoujścia, a na miejscu same ćwoki. Miejscowych ma Samet za buraków, dzieci w szkole za tępe, znajomych za nieciekawych. W filmie Nuri Bilge Ceylana powinno przejrzyć się nie tylko tureckie pokolenie „młodych, wykształconych i z wielkiego ośrodka”. Skądś przecież znamy to niczym nieuzasadnione poczucie wyższości i pogardę dla prowincjuszy. Przy życiu trzyma Sameta tylko marzenie o powrocie do Stambułu: jeszcze trochę trzeba wytrzymać, kontrakt się skończy,

będzie można zostawić za sobą wstrętą Turcję B.

Trudno w tym marzeniu Same-towi kibicować, bo to po prostu postać mocno antypatyczna. Jego pycha jest nie do zniesienia, jego zazdrość – odrażająca. Ot, gdy współlokator poczuje sympatię do nauczycielki z sąsiedniej wioski (okaleczona w zamachu Nuray), Samet robi wszystko, by jako pierwszy kobietę uwieść. Dlatego że coś do niej czuje? Nie – po prostu uważa, że to on jako pierwszy ma prawo do wszystkiego. Nuray poddaje się jego pożądaniu, ale jako jedyna w filmie widzi, jak nieciekawym typem jest Samet. I to ona wytknie mu, że przeprowadz-

ka do Stambułu niczego w jego życiu nie zmieni, bo zabierze swoje strapienia ze sobą.

Można oglądać ten film na kilku poziomach, niektórzy widzą u Ceylana atak na „duszną atmosferę” rządów Erdoğan. Zbyt mało wiem o Turcji, by się wypowiadać. Najważniejsze jednak zdają mi się inne odczytania: nie dość, że Samet to zepsute jabłko, to jeszcze postać tragiczna, bo nie zdaje sobie sprawy z przyczyn własnej niedoli. Zimowe pejzaże wschodniej Anatolii doskonale oddają pustkę jego życia, nie ma w im ani prawdziwej przyjaźni, ani prawdziwej miłości, ani prawdziwej wiary. Z tych zeschniętych traw nic już nie wyrośnie.

Ceylan to we współczesnym kinie postać bardzo osobna, szuka tam, gdzie niegdyś szukali Bergman czy Tarkowski (tego ostatniego zresztą uważa za swego mistrza). „Wśród wyschniętych traw” to ponadtrzygodzinna kontemplacja ludzkiego losu, kapitalnie opowiedziana obrazami i z wybitną rolą Merve Dizdar jako Nuray. Miłośnicy kina, a nie kinowej rozrywki, nie mogą tego filmu przegapić. ©

GRA TYGODNIA: „MARIO & LUIGI: BROTHERSHIP”

Seria powraca po dziewięciu latach. Bracia Mario i Luigi muszą scalić świat, a przy okazji także związki międzyludzkie. Aby tego dokonać, niezbędna okaże się współpraca obu postaci (choć główne skrzypce gra tu Mario). Fabuła, choć na

początku nie zapowiada się na ciekawą, z czasem pozytywnie zaskakuje. Bardzo przyjemny klimat, przemysłane wyzwania stawiane przed graczami i wymagające walki z bossami sprawiają, że „Brothership” to



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
satysfakcjonująca propozycja nie tylko dla fanów Maria. ©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** RPG, platformówki
- **Platforma:** Nintendo Switch
- **Producent; wydawca:** Nintendo

Nonszalancki sługa diabła

KINO

Na początek zostajemy uraczeni dość frywolnym dialogiem dwóch młodych dam. Pozory mylą, dziewczyny są mormonkami stosującymi starą jak świat metodę agitacji: wędrują od drzwi do drzwi. Reakcje nagabywanych są różne, lecz największym problemem jest obojętność. W postchrześcijańskiej epoce religia przestała być towarem pierwszej potrzeby. Siostra Barnes i siostra Paxton są więc mile zaskoczone, gdy lokator domu na ubo-
czu okazuje się człowiekiem szczerze zainteresowanym sprawami Boga i duszy. Erudycja pana Reeda jest doprawdy imponująca. Zna się na Biblii, muzyce, grach typu „Monopol”, a nawet „Gwiezdnych wojnach”. Panny nie od razu zaczęły podejrzewać, że wpadły w potrzask, gospodarz zaś gra z nimi w kotka i myszkę.

No cóż, 64-letni Hugh Grant nadal potrafi czarować, występ w „Heretyku” zaś wbrew pozorom wcale nie kłóci się z jego aktorskim empoim. Można wręcz mówić o logicznej kontynuacji. Pan Reed jest kuzynem pana Cleavera z „Dziennika Bridget Jones”: wygadane go cynika, dla którego bliźni (zwłaszcza płci żeńskiej) są wdzięcznym



★★★★★
**REŻ. SCOTT BECK,
BRYAN WOODS**
„HERETIC”
USA 2024

wyst. Chloe East,
Sophie Thatcher,
Hugh Grant

obiektem manipulacji. Z kolei pan Fraser z serialu „Od nowa” zgrywał dżentelmena, od lat znajdując się po ciemnej stronie mocy. Mniemam, że Grant, jak przystało na Brytyjczyka z jego generacji, wychował się nie tylko na piosenkach Beatlesów, lecz także na niskobudżetowych horrorach Hammera. Kiedy dorósł, zagrał w „Kryjówce białego węża”, utrzymanej w identycznej konwencji. Giganci ze strasznych filmów, Peter Cushing i Christopher Lee, są już po drugiej stronie tęczy. Natura próżni nie znosi.

Sympatyczny pan Reed zarzuca chrześcijaństwu tudzież innym wyznaniom iterację, czyli powtarzalność. Cóż, jego tyrada również odkrywczością nie grzeszy („religia to metoda kontroli”).

Dom pułapka zrazu wydaje się mały. Potem rośnie jak na drożdżach. „Heretyk” trzyma poziom dopóty, dopóki jest statyczny. Gdy gospodarz przestaje głądzić i bierze się do roboty, dochodzi do tąpnięcia. Łądujemy piętro niżej, pocieszając się, że do dna wciąż jeszcze daleko. Zaryzykuję przepowiednię, że reputacja Granta nie zazna uszczerbku. Jego występ znowu zbierze lepsze oceny niż film jako całość.

Kłątwa czy premia za nonszalanec? ©©

Wiesław Chełmniak

MASKA POŚMIERTNA

max

Wiedeńska moderna dobrze wychodzi na zdjęciach, znacznie gorzej na ekranie. Popkultura w apostołach kulturowej rewolucji chce widzieć przede wszystkim skandalistów. W tym kontekście decyzja, by światła reflektorów skierować na Almę Schindler, wydaje się oczywista. Któż może być bliższy dzisiejszej publiczności niż celebrytka wybierająca na kochanków wyłącznie mężczyzn wybitnie utalentowanych? Po wpędzeniu do grobu kompozytora Gustava Mahlera przez trzy lata Alma dzieliła swe względy między architekta Waltera Gropiusa i malarza ekspresjonistę Oskara Kokoschkę. Scenarzyści napracowali się, by wizerunek zawodowej muzy wyretuszować i ocieplić, głównie kosztem luminarzy narcyzów. Rezultat ani parzy, ani ziębi. A może to pilot serialu „Alma naga i ubrana”, którego produkcję w porę zablokowała eurocenzura? **Wiesław Chełmniak** ©©



★★★★★
**REŻ. DIETER
BERNER**
„ALMA I OSKAR”
**AUSTRIA/CZECHY/
NIEMCY/
SZWAJCARIA 2022**



**RADOSŁAW
WOJTAS**

DO ZOBACZENIA

Namalować katolicyzm od nowa

Tematem III edycji projektu „Namalować katolicyzm od nowa” jest nawiedzenie św. Elżbiety. Scenę podjęli artyści: Jarosław Modzelewski, Ignacy Czwartos, Jacek Dłużewski, Wojciech Głogowski, Jacek Hajnos OP, Krzysztof Klimek, Bogna Podbielska, Beata Stankiewicz, Grzegorz Wnęk oraz Ewa Czwartos.

Każdy z artystów zaprezentował dwa obrazy – większy, odpowiedni do przestrzeni sakralnej, oraz mniej-



FOT. BARBARA STEFANSKA

szy, na potrzeby modlitwy domowej. Pracę nad dziełami poprzedziły warsztaty, w czasie których bibliści, teologowie oraz historycy sztuki po-

magali zgłębić znaczenie i tradycję malarstwa tajemnicy Nawiedzenia. – Druga tajemnica radosna. Porywająca piękna, ale trudna. Szczególnie trudna, gdy spróbować zawrzeć ją w obrazie, który przez to, co widać, pokierować ma w głąb – w stronę tego, co najważniejsze – mówił podczas wernisażu dr Dariusz Karłowicz, kurator wystawy i pomysłodawca przedsięwzięcia.

Na wystawie zaprezentowano 20 obrazów. ©©

GDZIE? Warszawa,
Praga, katedra
św. Floriana
KIEDY? do
12 stycznia 2025 r.

MOJA PÓŁKA

Niepoprawności Jacka Trznadla

KRZYSZTOF
MAŚŁÓN

Obszerne wybory szkiców Jacka Trznadla, uważanego za jednego z najciekawszych, na pewno najodważniejszych, a co za tym idzie – także najbardziej kontrowersyjnych krytyków literackich ostatnich dziesięcioleci, wydały krakowskie Arcana w opracowaniu Macieja Urbanowskiego. Zmarły dwa lata temu prof. Trznadel zapisał się w historii przede wszystkim jako autor „Hańby domowej”, zbioru rozmów z pisarzami o ich uwikłaniu w komunizm, tytułu, który w latach 80. wywołał niezwykle silny rezonans społeczny, choć książka przecież ukazała się w drugim obiegu, mając – zdawałoby się – ograniczony zasięg. A jednak czytali ją wszyscy, dyskutowali o niej, często zażarcie się spierając.

Nie minęło wiele czasu, a narażił się Jacek Trznadel już nie tylko komuchom, lecz także – może przede wszystkim – krajowemu Salonowi, zbulwersowanemu tym, co i jak pisał np. o Czesławie Miłoszu. A w przypomnianym teraz powstałym u schyłku minionego wieku „Lewym profilu” wskazywał m.in., że „pogrążony w nietolerancji, nie może Miłosz zdobyć się na rewolucjonizm z ducha tolerancji i konserwatyizmu poczęty. Dlatego w jesieni życia straszą go wciąż te same chichotliwe zmyślenia, co w Wilnie i Warszawie przed drugą wojną: endeckość, »Nawłoc«, duch narodowy, rasizm i nimi też chciałby w pół wieku po urzeczeniu Nową Wiarą wytłumaczyć dobroćliwie jej pułapki dla ducha. Dla współczesnego Polaka są to w dużej mierze już takie sztuczne krajobrazy, które Norwid nazywał: »cacka!«”.

Ze znanstwem pisał o Norwidzie właśnie, także o Leśmianie i Jastrunie. Ale i o Andrzeju

Bobkowskim, którego „Szkice piórkiem” cenił znacznie wyżej od „Dziennika” Witolda Gombrowicza, pełnego „estetycznych rozważań nad formą, nieraz już nużących, akademickich wręcz, gdyby nie pewna maniera groteskowa pisania”. No i naprawdę niewiele jest u Gombrowicza historii. U Bobkowskiego – przeciwnie, a takie notatki jak ta z 26 września 1943 r. „Rosjanie przeszli Dniepr [...]. Niedługo zaczną nas »uwalniać«. I uwolnią nas na pięćdziesiąt lat”, trudno czytać bez zdumienia. W rezultacie – jak pisał Jacek Trznadel – „to, co było u Gombrowicza przedrzeźnianiem, nagle, na tle Bobkowskiego, okazuje się pompą!”.

Nie marnował czasu na zajmowanie się sieczką literacką. Interesowali go najwybitniejsi twórcy i to z nimi wchodził w polemiki, jak np. z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem. Szkic Trznadla o jego twórczości z połowy lat 70. daleko wykraczał poza polemikę z klasycyzmem. „Nie ma mowy o prawdziwej transcendencji w teorii poezji i twórczości dramatycznej Rymkiewicza – pisał. – Nie dlatego, że nie ma tam Boga, który, oczywiście, byłby jednym ze sposobów ratowania sytuacji, ale dlatego, że nie ma tam również możliwości innych transcendencji do czynników jeszcze nieznanych i warunkujących naszą odrębność, naszą dramatyczność. Transcendencja do identycznej kultury bywa tylko pozorna”. Podkreślał wtedy (w 1972 r.) parodystyczny talent Rymkiewicza, a odnosząc się do świeżo napisanej przez niego komedii „Król Mięsopest”, nazywa go Księciem Mięsopestem Poezji Polskiej. No cóż, znając cały dorobek poetycki autora „Zachodu słońca w Milanówku”, akurat to

określenie uznać wypada za lichy raczej koncept.

Zgoła inny, gwałtowny charakter mieć będzie atak, który przypuścił Trznadel na tego samego autora po ukazaniu się w 2008 r. „Kinderszenen”. Oczywiście spór dotyczył powstania warszawskiego i jego oceny, przy czym szczególnie raził krytyka „literacki parnas stylistyczny w zestawieniu z ludzkim dramatem”. Ale też wypowiedane przez Trznadla sądy o zamienionych postaciach naszej historii były nadto apodyktyczne i przekraczały nawet mocno naciągnięte normy: „pijak Okulicki”, „Władysław Anders [...] bez potrzeby poświęcił życie tysięcy młodych chłopców w ataku na Monte Cassino, którego nie zdobył”, Bór-Komorowski – „kawalerzysta bez wojskowego doświadczenia strategicznego”, Mikołajczyk – „drugorzędny polski polityk”.

Jacek Trznadel – cytuję prof. Macieja Urbanowskiego – „potrafił jako krytyk głosić poglądy niepopularne, idące wbrew estetycznej lub politycznej poprawności. Literaturę rozumiał jako doświadczenie egzystencjalne, a także jako dokument tragicznej historii XX w.”. I to dlatego ten autor, nazywany ironicznie przez tzw. lewicę laicką „antykomunistycznym Savonarolą”, zachwycał się Józefem Mackiewiczem. A np. o ks. Janie Twardowskim napisał, że bez jego wierszy „niepełna będzie każda antologia współczesna polskiej liryki”. Z pewnością, choć o tym, jak wyglądać będą wypisy z literatury polskiej w szkole zarządzanej dłużej przez Barbarę Nowacką i jej podobnych, nie chcę nawet myśleć. Profesor Trznadel stwierdziłby pewnie, że nie jest to już polska szkoła. I miałby rację. ©



★★★★★
JACEK TRZNADEL
„OD LEŚMIANA
DO MACKIEWICZA.
WYBÓR SZKICÓW
O LITERATU-
RZE POLSKIEJ
XX WIEKU”
ARCANA,
KRAKÓW 2024



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Tylko piękno

Będę pisał wyłącznie o pięknej Japonii” – zapowiedział w listopadzie 1945 r. Yasunari Kawabata. Przemawiał wówczas na pogrzebie przyjaciela Kensaku Shimakiego. Czasy były ponure. Trzy miesiące wcześniej atomowe bomby eksplodowały nad Hiroszimą i Nagasaki. Kraj zrujnowany był przez lata wysiłku wojennego, okupowany przez amerykańską armię. Wybór estety był demonstracyjnym aktem buntu wobec rzeczywistości: złe dni przychodzą i odchodzą, ale piękno jest wieczne.

W powieści „Dawna stolica” już pierwsze zdania wprowadzają nas w porządek rzeczy uznawany za fundamentalny przez pisarza. „Chieko dostrzegła fiołki kwitnące na pniu starego klonu. Ach, w tym roku także zakwitły, pomyślała”. Rytm piękna jest rytmem natury, pory roku powracają w wiecznym obrocie koła. Czymże jest człowiek, jeśli tego nie zauważa? Autorka przekładu, znakomita japo-nistka Beata Kubiak Ho-Chi, uważa „Dawna stolica” za najbardziej dojrzałe dzieło Kawabaty. Nie ona jedna. Gdy w 1968 r. Anders Johan Österling, przewodniczący Komitetu Noblowskiego, uzasadniał nagrodę w dziedzinie literatury dla Kawabaty, wskazywał na trzy książki: „Kraina śniegu”, „Tysiąc żurawi” oraz „Dawna

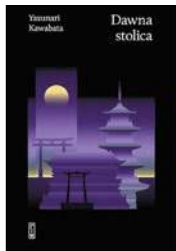
stolica”, przy czym właśnie tej ostatniej poświęcał najwięcej miejsca.

Pisarstwo Kawabaty uznawane jest za esencję japońskości, on sam wspaniale pisał o tradycji i pięknie w wykładzie noblowskim „Japonia, piękno i ja”. W znanym wierszu Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej serce mówiło „Mogę tylko odpocząć w przeszłości” – jestem przekonany, że Kawabata podpisałby się pod tym zdaniem.

W „Dawnej stolicy” przeszłość jest teraźniejszością, akcja, owszem, rozgrywa się już po wojnie, po zakończeniu amerykańskiej okupacji, ale Kioto (tytułowa stolica) jest wieczne, namacalne i symboliczne zarazem. A fabuła to właściwie bajka z elementami melodramatu, którą mogliby zapisać skrybowie w ukończonych przez Kawabatę czasach rozkwitu literatury dworskiej okresu Heian. Mamy tu znaleźć przysmaki przez nowych rodziców, jej zaginioną siostrę bliźniaczkę, manewry

miłosne niczym ze sztuki Szekspira, ale przede wszystkim lektura dostarcza wręcz immersyjnego doświadczenia. Zanurzamy się w świat japońskiej tradycji, świat opisywany przez Kawabatę z takimi czułością, pięknem, melancholią (bo jest tu też przemijanie), że nie chce się go opuścić.

©©



★★★★★
YASUNARI KAWABATA
„DAWNA STOLICA”
PIW 2024

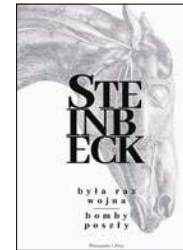
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Najnowsza książka znanego z „Do Rzeczy” badacza to opowieść na temat specyfiki niemieckiej historii i polityki w formie 18 wykładów wygłoszonych dla Instytutu Andegavenum. Ku przestrodze.



GRZEGORZ KUCHARCZYK
„KŁOPOTY Z NIEMCAMI”
FRONDA

Noblista jako korespondent wojenny. „Była raz wojna” zawiera teksty pisane w 1943 r. dla „New York Herald Tribune”. „Bomby poszły” powstała rok wcześniej i opowiada o przygotowaniach do powietrznej ofensywy alianckich.



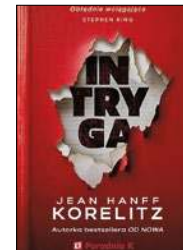
JOHN STEINBECK
„BYŁA RAZ WOJNA. BOMBY POSZŁY”
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Piąty tom „Historii Śródziemia”. Nieukończony utwór tytułowy łączył miał świat Númenoru i Śródziemia z legendami z innych czasów i innych ludów. W tomie także m.in. obszerny słownik elfickiej terminologii.



J.R.R. TOLKIEN
„UTRACONA DROGA”
ZYSK I S-KA

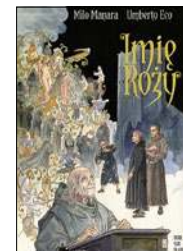
Profesor kradnie pomysły bestsellerowej książki od studenta. Prawdziwy autor zmarł, nim cokolwiek napisał. Nikt się nie dowie. Czyżby? Historia opowiedziana w szkatułkowej formie, zabawny thriller autorki „Od nowa”.



JEAN HANFF KORELITZ
„INTRYG”
PORADNIA K

KOMIKS TYGODNIA: OPOWIEŚĆ ADSA

Pierwszy tom komiksowej adaptacji głośnej powieści Umberto Eco. Album kończy się na wydarzeniach trzeciego dnia śledztwa prowadzonego przez Wilhelma z Baskerville: narrator, czyli Adso z Melku, spotyka tajemniczą młodą kobietę. Manara ciekawie różnicuje warstwę wizualną, częśc



MILO MANARA, UMBERTO ECO
„IMIĘ RÓŻY”
NOIR SUR BLANC 2024

rysunków stylizuje na średniowieczne miniatury, jeszcze innym stylem rysuje retrospekcje.

Piotr Gociek

Ludność polska mniej lub bardziej zwarcie zamieszkiwała tereny, które należały do Polski jeszcze przed rozbiorami, jak również te, z którymi łączność państwową utraciono już w średniowieczu. Po roku 1918 nie znalazły się w granicach odrodzonej Polski i dopiero rozstrzygnięcia po drugiej wojnie światowej przywracają polskiej państwowości zarówno pozostałe ziemie byłego zaboru pruskiego, jak i historyczne ziemie piastowskie. Na przykładach Warmii oraz Dolnego Śląska możemy jednak zebrać sumę opowieści o polskości, która dała tam ważne świadectwo. Na Ziemiach Odzyskanych u siebie byliśmy bowiem od zawsze.

BĄDŹ, LUDU, DOBREJ MYŚLI

Na Warmii miejscem symbolicznym dla ruchu polskiego jest stojący w obrębie olsztyńskiego Starego Miasta historyczny budynek redakcji „Gazety Olsztyńskiej”. To tutaj do 31 sierpnia 1939 r. ukazuje się tytuł, którego początki sięgają roku 1886. Ceglana kamienica wraz z olsztyńskim zamkiem, Domem Polskim przy ówczesnej ul. Dworcowej, oraz działającym w okresie międzywojennym konsulat RP tworzy siatkę obiektów będących świadectwem nie tylko polskiej przeszłości, lecz także żywotności ruchu polskiego. Miasta w tej zagarniętej przez Prusy w 1772 r. krainie germanizują się pod koniec XIX w., proces ten nie omija Olsztyna. Żywioł polski wciąż jednak dominuje na znacznych terenach wiejskich – i to tam właśnie pada iskra narodowego przebudzenia Warmiaków.

W 1877 r. dochodzi bowiem do głośniejszych objawień maryjnych w Gietrzwałdzie. Do podolsztyńskiej wsi napływają tysiące pielgrzymów ze wszystkich ziem polskich. Bezpośrednie kontakty z rodakami peregrynującymi do Gietrzwałdu pozostawiają na Warmii trwałe ślady, miejscowi uświadamiają sobie, że są częścią dużego, liczącego się narodu. Nie bez znaczenia jest także to, że Maryja przemawiała do wiernych po polsku – w języku przez Niemców zwalczanym.

Jutrzenką przebudzenia narodowego staje się wydawanie wspomnianej „Gazety Olsztyńskiej”. Gazeta przechodzi z rąk do rąk, czytana jest także na głos w większych grupach. W podobnym okresie

Nie jesteśmy tu od wczoraj



Marcin Skalski

Polskie ślady są w wielu miejscach, które potem zaczęto określać Ziemią Odzyskaną

Pomnik Bolesława Chrobrego we Wrocławiu FOT. ADOBE STOCK



w warmińskich miasteczkach odbywają się pierwsze wiece w obronie polskiego jako języka katechizacji dzieci. Nieśmiało rozwija się ruch czytelniczy, w stodołach polskich gospodarzy wystawiane są nawet amatorskie sztuki teatralne. Nie miałym zaskoczeniem staje się za to w 1893 r. wybór z okręgu Reszel-Olsztyn polskiego posła do Reichstagu, którym został ks. Antoni Wolszlegier. W berlińskim parlamencie zasiła on Koło Polskie. Okazuje się, że warmińscy Polacy są w stanie przeprowadzić skuteczną akcję polityczną i nie są tylko elementem skazanym na wymarcie.

Z biegiem czasu w okresie międzywojennym powstają też załazki zorganizowanego, choć wciąż amatorskiego sportu polskiego oraz harcerstwa. Od 1928 r. Warmię pokrywa także sieć kilkunastu polskich szkół. Na sąsiednim Powiślu, w Kwidzynie, 10 listopada 1937 r. rozpoczyna działalność polskie gimnazjum i po szkole w Bytomiu jest to druga tego typu instytucja na ówczesnym terytorium Rzeszy. Placówka dba nie tylko o wysoki poziom kształcenia, lecz także o postawy patriotyczne oraz tężyznę fizyczną uczniów. Niestety, szybko też skupia na sobie szowinistyczne uczucia Niemców.

W orbitę ruchu polskiego nie udaje się niestety włączyć Mazurów. Trzeba jednak przyznać, że jest to wówczas zadanie niewykonalne. Mimo tego, że niewątpliwie mówią oni po polsku, to ich protestantyzm stanowi barierę nie do przejścia. „Ludność mazurska pozostawała przywiązana do swojej mowy i do modlitewników drukowanych tradycyjną gotycką czcionką. Brakło w niej natomiast poczucia związku z Polską” – pisał prof. Stefan Kieniewicz.

Fakty te nie uspokajają jednak Niemców. Gdy w 1931 r. w kolonii Łęg koło Piastuna w powiecie szczecińskim otwiera się jedyna na Mazurach polska szkoła, jej kierownik Jerzy Lanc natychmiast staje się celem niemieckich ataków. Potrafi on przy tym zjednywać mazurską społeczność swą osobowością, integruje ją także poprzez wspólne słuchanie audycji radiowych. 29 lutego 1932 r. Lanc zostaje znaleziony martwy we własnym domu. Oficjalnie zmarł w wyniku zatrucia czadem, najprawdopodobniej jest kolejnym – po pobitym na śmierć 12 lat wcześniej Bogumile Lince – działaczem

Kościół pw. św. Marcina
we Wrocławiu FOT. ADOBE STOCK



FOT. MUZEUM ZIEMI LUBUSKIEJ

mazurskim, którego Niemcy mordują za polską działalność patriotyczną.

Surowa rozprawa następuje także z „Gazetą Olsztyńską”. Jej wydawca Seweryn Pieniężny młodszy w 1940 r. ginie wraz z wieloma innymi działaczami w KL Hohenbruch; trafiają tam także nauczyciele polskiego gimnazjum w Kwidzynie. Sam budynek „Gazety...” Niemcy burzą, urządzając na jego miejscu publiczny

szalec. Po odbudowie oddano go ponownie do użytku w symbolicznym dniu 1 września 1989 r. Prorocze okazały się więc słowa w jednym z numerów gazety: „Bądź, ludu polski na Warmii, tej dobrej myśli, że może w krótkim czasie polska Warmia powróci do naszej kochanej ojczyzny – Polski”.

CZEŚĆ POLSCIE

W XIX w. piastowska przeszłość Wrocławia już dawno zdominowana jest przez nowe realia. Systematycznie kurczą się też zasięgi żywiołu polskiego na Dolnym Śląsku. Początki nowoczesnego ruchu polskiego we Wrocławiu datuje się tymczasem na rok 1868 – to właśnie wtedy w stolicy Dolnego Śląska powstaje Towarzystwo Przemysłowców Polskich, które grupuje zarówno polskich emigrantów z Kongresówki, jak i miejscowych Polaków. Członkiem honorowym innej tego typu organizacji, powstałego w roku 1882 Towarzystwa Handlowego Polskiego, jest z kolei sam Józef Ignacy Kraszewski.

To właśnie Kraszewski pisze w relacji z podróży przez Wrocław w roku 1860: „Germanizacja, którą los i władze dokonywały powoli, do dziś dnia jeszcze zupełnie nie potrafiła w nim zatrzeć śladów dawnego słowiańskiego pochodzenia. Wiemy, jak dziś język nawet odradza się tu począł dzięki staraniom kilku

■ biednych, a znacznych pracowników. Sam Wrocław nawet już, można powiedzieć, jest półpolskim miastem. Część jego za Odrą, przy Tumie nawet, dotąd Polską się zowie, i u wrót stolicy Śląska już mowę naszą posłyszec możemy”.

W roku 1894 powstaje wrocławskie gniazdo Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, rozwija się też ruch korporancki polskich studentów Uniwersytetu Wrocławskiego przybyłych z różnych części przedrozbiorowej Rzeczypospolitej oraz z Górnego Śląska.

Kluczowe jest jednak założenie w roku 1902 Towarzystwa Polek pw. św. Anny. Wywodzące się z kręgów inteligencji inicjatorce, złożone głównie z żon i córek miejscowych działaczy rzemieślników, tworzą w lokalu przy ówczesnej Nowej 18 (Neue Gasse) w ramach Towarzystwa Czytelnia Ludowych polską bibliotekę wraz z czytelnią. Ich zasoby są dostępne dla członków wszystkich polskich towarzystw. Prowadzona jest także działalność polegająca na odczytach oraz rozrywkowa. Oferuje się również opiekę polskim robotnikom sezonowym podejmującym pracę w miejscowym rolnictwie. Podobnym profilem charakteryzuje się aktywność pozostałych towarzystw polskich.

„Istotnie, w latach przedwojennych stolica Dolnego Śląska była silnym ogniskiem polskiego ruchu narodowego, promieniującym na inne skupiska ludności polskiej na Dolnym Śląsku. Tu znajdowało się centrum polskiego życia organizacyjnego i kulturalnego tej części Śląska. Rangę tę zawdzięczał Wrocław przede wszystkim grupie najbardziej aktywnych, oddanych sprawie polskiej działaczy polonijnych, nie tylko podtrzymujących, lecz także rozwijających bogate polskie tradycje” – podsumował prof. Romuald Gelles okres sprzed odzyskania przez Polskę niepodległości.

Tymczasem według spisu powszechnego z 1910 r. Wrocław zamieszkuje prawie 9 tys. Polaków, choć faktycz-



Jerzy Lang prawdopodobnie został zamordowany przez Niemców za działalność patriotyczną. FOT. JERZY LANG/FACEBOOK

nie może ich być kilka tysięcy więcej. Dolny Śląsk zamieszkiwać ma łącznie 80 tys. Polaków. Najbardziej aktywna narodowo część wrocławskiej Polonii liczy sobie przy tym ok. 1–1,5 tys. osób. Inne szacunki dostępne w literaturze przedmiotu mówią zaś o 20 tys. Polaków w ówczesnym Wrocławiu, dla całego Dolnego Śląska podając wielkość 300 tys.

Należy wspomnieć także o działającym w latach 1898–1935 Towarzystwie Rzemieślników Polskich w Zielonej Górze, a więc mieście na historycznym Dolnym Śląsku. Przez cały okres działalności towarzystwu przewodził mistrz blacharstwa Kazimierz Lisowski. Dolna liczba zaangażowanych w działalność organizacji wynosi łącznie ok. 100 osób, jednak najprawdopodobniej jest ich więcej. Samych Polaków w Zielonej Górze wedle stanu na rok 1898 jest ok. tysiąca, ich główny pracodawca to zakład inży-

niера Beuchelta. Rekrutują się głównie z ziem zaboru pruskiego, sama Zielona Góra została bowiem zniemczona już w średniowieczu, choć jej okolice mniej więcej do XIX w. pozostają w dużej mierze etnicznie polskie. Autor tematycznego artykułu z „Rocznika Lubuskiego” podaje jednocześnie, że polscy autochtoni w okolicach Zielonej Góry dotrwali do okresu po drugiej wojnie światowej.

Towarzystwo rzemieślników prowadzi tymczasem własną bibliotekę, zapewniono także stały dopływ prasy polskiej z Poznania. Każdego roku odbywa się premiera polskiej sztuki teatralnej, zazwyczaj o patriotycznej tematyce. W czasie świąt narodowych mają miejsce akademie połączone z występami polskiego chóru oraz deklamacją wierszy. W 1912 r. w Zielonej Górze odbywają się półroczne kursy języka polskiego, w ogólnym zarysie wykładane są także historia i literatura polska. Inicjatywę tę ponawia się także w roku 1926. Z kolei na początku 1919 r. organizowana jest zbiórka dla powstańców wielkopolskich, których szeregi zasilają także młodzi polscy zielonogórzanie. Natomiast na pierwszym po wybuchu pierwszej wojny światowej posiedzeniu towarzystwa protokół zebrania odnotowuje pod datą 18 czerwca 1919: „Po blisko pięciu latach rozejścia się mamy tę łaskę znów się tutaj gromadzić, aby dalej pielęgnować język ojczysty i walczyć za ukochaną Polskę naszą”. Uczestnicy zebrania na stojąco zawołali: „Niech żyje ukochana Polska nasza cała”. Z tego roku pochodzi

też sztandar organizacji, widniejący na nim hasło: „Cześć Polsce”.

Co ciekawe, na uroczystościach i przedstawieniach teatralnych bywa niemiecki burmistrz Zielonej Góry (ówcześnie Grünberg), który asygnuje niekiedy skromne dotacje na cele towarzystwa. Podobną postawę prezentują wspomniani inżynier Beuchelt i część pozostałych właścicieli zakładów przemysłowych. W ramach ciekawostki warto dodać, że jednym z miejscowych przemysłowców jest wówczas właściciel odlewni żeliwa



Gazeta „Posłaniec Niedzielný”

FOT. DOLNOŚLĄSKA BIBLIOTEKA CYFROWA



Towarzystwo Polskich Rzemieślników działało w Zielonej Górze w latach 1898–1935

FOT. DOMENA PUBLICZNA

o swojsko brzmiącym nazwisku Ernst Babrowski. Do dziś na zielonogórskim bruku można znaleźć sygnowane jego nazwiskiem przedwojenne pokrywy kanalizacyjne z napisem „E. BABROWSKI GRÜNBERG”.

Stosunek miejscowych Niemców do Polaków pogorsza się po odzyskaniu niepodległości przez Polskę. W wyniku wrogiej atmosfery towarzystwo przechodzi w życie publicznym na język niemiecki; polszczyzna, słyszalna wcześniej na zielonogórskiej ulicy, zepchnięta zostaje za progi polskich domostw. Dodatkowym problemem stają się liczne wyjazdy do Polski, szczególnie wśród najbardziej aktywnych dotychczas rodaków. W 1932 r. niemieckie władze udaremniają z kolei powstanie szkoły polskiej. Wreszcie 25 września 1935 r. przesłuchania przez gestapo nie przeżywa Kazimierz Lisowski.

Miejscową polskość wojna zastaje zorganizowaną już w warunkach konspiracyjnych. Przy miejscowej parafii powstaje Katolickie Towarzystwo Czeladników będące przykrywką dla polskich działaczy. Działa ono przez cały okres wojny, dzięki czemu polskość w Zielonej Górze, za którą życie oddał Kazimierz Lisowski, doczekała się podjęcia i kontynuacji już w warunkach własnej państwowości.

„SIŁĘ SŁUSZNOŚCI MAMY”

Podobną do zielonogórskiej chronologią odznaczają się tymczasem losy Polonii wrocławskiej. Po odzyskaniu przez Rzeczpospolitą niepodległości następuje odływ większości rodaków do odrodzonej Polski. Zmieniają się też postawy Niemców, którzy od tolerowania wrocławskich Polaków przeszli na pozycję jawnie wroga. 22 lipca 1920 r. w lokalu Casino przy Nowej 22 rozbijają polski wiec, który odbywa się w związku z planowanym plebiscytem na Górnym Śląsku. Wówczas po raz ostatni pomieszczenia restauracji gościły polską imprezę. Równoległe akty agresji mają zresztą miejsce w Olsztynie, gdzie tłum znieważa polską flagę i godło na siedzibie polskiego konsulatu.

Z kolei już w grudniu 1918 r. przy Nowej 18 powstaje prowadzona przez Honoratę Adamczewską polska szkołka. Dwa pomieszczenia mieszące się pod tym adresem zajmuje także od 22 maja 1920 r. Konsulat RP. Już 26 maja rozjuszony niemiecki tłum demoluje zarówno

sam konsulat, jak i polską szkołkę wraz z biblioteką i czytelnią. Niemcy niszczą urządzenia oraz liczący ok. 6 tys. tomów księgozbiór, co przez pewien czas hamuje polską działalność kulturalno-oświatową. Część książek Niemcy wyrzucają przez okna, a następnie palą je na ulicy. Następnie udają się do domów niektórych zaangażowanych społecznie Polaków, niszcząc ich prywatne mienie. Jednakże za pieniądze uzyskane następnie tytułem odszkodowania za zniszczenie lokalu przy ul. Nowej w styczniu 1934 r. otworzono Polską Bursę Akademicką na drugim piętrze nieistniejącej już kamienicy przy obecnej ul. Kościuszki 90. Co przy tym ciekawe, w bursie udostępnia się także miejsca studentom pochodzenia serbołużyckiego.

Tymczasem polscy działacze stawiają czoła piętrzącym się trudnościom. W roku szkolnym 1925/1926 odpowiednio wykształcenie zawodowe uzyskują wszyscy nauczyciele polskiej szkoły. Odznaczają się przy tym wysokim poziomem zmotywowania. Oto relacja jednego z nich: „Przecież nie chodziło o zwykłe nauczanie czytania, pisanie czy też poprawnej wymowy, ale o wychowanie pokolenia, które kiedyś przejmie z rąk ojców sztandar Rodła i stać przy nim będzie do chwili, kiedy te ziemie – niegdyś polskie – powrócą do macierzy”.

1 listopada 1926 r. powstaje z kolei Wrocławska Męska Drużyna Harcerska im. Bolesława Chrobrego, która wydatnie przyczyniła się do patriotycznego wychowania polskiej młodzieży. Ostatniej drużynowej, Władysław Zarembowicz, zostaje aresztowany 20 września 1939 r. w Kłodzku, ginie 30 kwietnia 1944 r. spalony żywcem w niemieckim obozie koncentracyjnym Mauthausen-Gusen. W jednym z ostatnich listów do matki

przepuszczonych przez obozową cenzurę ten rówieśnik Polski odrodzonej (rocznik 1918) pisze: „Jestem przygotowany na najgorsze, a Ty, Kochana moja Mamus, możesz być spokojna, poniosę swój krzyż jak mężczyzna”.

Jeszcze przed wybuchem wojny ruch polski się sprofesjonalizuje, co przypieczętowuje uroczyste otwarcie 14 listopada 1938 r. Domu Polskiego przy obecnej ul. Podwale 16A. Budynek wykupuje na własność Bank Słowiński w Berlinie, co stanowi istotny postęp względem dotychczasowej dzierżawy domu pod obecnym adresem Henryka Brodatego 21/23.

Istotnym czynnikiem integrującym Polaków są także wspólne praktyki religijne. Od roku 1894 r. archidiecezja wrocławska wydaje ukazującego się aż do 1939 r. „Posłańca Niedzielnego”, bardzo wśród wrocławskich Polaków popularnego. W okresie międzywojennym od 1 marca 1921 r. rolę „kościół polskiego” pełni świątynia pw. św. Marcina. Można tu otrzymać polską prasę i książki, a nawet poznać przyszłą polską żonę lub męża. Od lat 30. kościół znajduje się pod obserwacją gestapo, wiernym wychodzącym ze Mszy robione są z ukrycia zdjęcia. To właśnie tutaj, w złowieszczym symbolicznym dniu 17 września 1939 r., ks. Józef Sikora odprawia ostatnie polskie nabożeństwo dla wrocławskiej Polonii. Po Mszy św. kapłan wpisuje do kościelnej kroniki ostatnią strofę hymnu Związku Polaków w Niemczech: „I nie ustaniem w walce / Siłę słuszności mamy / I mocą tej słuszności / Wytrwamy i wygramy!”. Sam duchowny ginie z rąk Niemców wiosną 1945 r., nie doczekując za swego życia powrotu Dolnego Śląska do Polski.

EPILOG

Polacy żyjący na Ziemiach Odzyskanych, zanim te stały się „odzyskanymi” właśnie, swą obecnością naturalnie upromocnili przyłączenie tych obszarów do państwa polskiego po drugiej wojnie światowej. O legitymizacji w ten sposób mówilibyśmy zresztą także wtedy, gdyby nie było nawet mowy o wymierzaniu sprawiedliwości względem pokonanych Niemiec. Za nasze Ziemie Odzyskane przelewano jednak zbyt wiele polskiej krwi, by mieć dziś tego typu dylemat.

Z liliami w herbie



Marek Jurek

8 października zmarł bp Tissier de Mallerai, najstarszy z trzech biskupów pomocniczych Bractwa św. Piusa X. Przyszedł na świat w 1945 r. w Sabaudii, więc tam, gdzie dwa wieki wcześniej urodził się Joseph de Maistre, najważniejszy z XIX-wiecznych doktorów kontrrewolucji



Biskup Bernard Tissier de Mallerai FOT. DENIS BALIBOUSE/REUTERS/FORUM

Młodość Bernarda Tissiera de Mallerai przypadła na burzliwe czasy powojenne – dramat Algierii Francuskiej, rewoltę paryskiego Maja '68, ale przede wszystkim wstrząsy w Kościele powszechnym i francuskim. Tym wszystkim żyła jego rodzina, choć – jak wspominał – o Sorborze, którego przebiegiem jego ojciec był bardzo poruszony, dowiadywali się głównie z korespondencji „Le Monde”. W domu najczęściej rozmawiano o palących kwestiach narodowych – o Algierii Francuskiej, o bohaterstwie generałów, którzy więzieniem zapłacili za jej obronę, o terrorze FLN i jego ofiarach.

Narastający kryzys Kościoła, szczególnie dramatycznie ujawniony we Francji, chwilowo odwrócił młodego Bernarda od myśli o wczesnym wstąpieniu do seminarium duchownego. Dzięki temu – kierując się właściwą dla zapalonego skauta „miłością do przyrody” – mógł skończyć

uniwersyteckie studia biologiczne. W tym czasie poznał księży występujący w obronie odrzucanej Tradycji katolickiej: najpierw ks. Louisa Coache, potem ks. Luca Lefèvre’a, założyciela magazynu „La Pensée catholique”, a w końcu samego abp. Marcela Lefebvre’a, jeszcze jako generała Zgromadzenia Ducha Świętego. Dzięki temu wczesnemu spotkaniu, już po wyborze drogi kapłańskiej, młody Bernard Tissier de Mallerai mógł znaleźć się wśród pierwszych kleryków i księży założonego krótko potem Bractwa św. Piusa X.

NIEPRZEJEDNANA POLEMIKA

W 1988 r. był jednym z wybranych przez abp. Lefebvre’a kandydatów do święceń biskupich. Za znak zmuszający go do podjęcia tego kroku przełożony Bractwa św. Piusa X uznał bezprecedensowe międzyreligijne spotkanie w Asyżu. Arcybiskup nie uzyskał zgody Rzymu na

wyświęcenie biskupów pomocniczych dla Bractwa (a ściśle biorąc, uzyskał zgodę na wyświęcenie jednego biskupa, ale w nieokreślonej przyszłości), więc zarówno biskupi konsekratorzy, jak i ich nowo wyświęceni bracia w episkopacie zostali ukarani przez Jana Pawła II karą najsurowszą – ekskomuniką.

Jak pisał wówczas Jean Madiran – niezależnie nawet od rozważenia stanu wyższej konieczności – Rzym nie był tu ani w przymusie legalistycznym, ani tym bardziej historycznym. W prawie kanonicznym własnowolne wyświęcenie biskupów podlegało aż do połowy XX w. karze suspensy, czyli zawieszenia. Nową, wyjątkową sankcję wprowadził Pius XII, by przestrzec i chronić katolików chińskich przed biskupami narzucanymi przez komunistyczną tyranie. Paradoks historii polegał na tym, że w 1988 r. ów młody „antykomunistyczny kanon” zastosowano wobec zdecydowanych

obrońców cywilizacji chrześcijańskiej. Dwadzieścia lat później Benedykt XVI sankcje te odwołał.

W Bractwie bp Tissier zasłynął jako profesor, teolog i historyk. Jego najważniejsze prace to biografia „Marcel Lefebvre. Życie” i „Portret filozoficzny Josepha Ratzingera”. Pierwsza to apologia założyciela Bractwa św. Piusa X, druga – to radykalna polemika z teologią papieża Benedykta XVI. Tym, co uderza w porównaniu tych dwóch książek, jest brak w pracy o teologii Josepha Ratzingera kontekstu historycznego zawartego w opowieści o życiu założyciela Bractwa św. Piusa X. Pracą o Benedyktie XVI wyraźnie motywowała chęć wykreślenia grubej linii demarkacyjnej między stanowiskiem współnoty abp. Lefebvre’a i papieżem teologiem będącym autorytetem dla bardzo wielu tradycjonalistów. Rola Ratzingerowskiego „Raportu o stanie wiary” w zainicjowaniu oficjalnej debaty na temat kryzysu Kościoła jest tam praktycznie pominięta.

Ta polemiczna intencja z pewnością nie przysłużyła się ani książce, ani też ważnej przecież polemice. „Bez wątpienia – pisał bp Tissier, przedstawiając swe główne założenie – filozofia bytu, naturalna metafizyka ludzkiego umysłu, służy wierze jako instrument w precyzowaniu tego, co w niej zawarte *implicite*. Natomiast żadna filozofia nie może towarzyszyć wierze po to, by [jak uczy Sobór Watykański I] »udoskonalic przez rozum ludzki doktrynę wiary, jak gdyby była ona wytworem filozofii«”.

Ale czyż w istocie nie to samo pisał Joseph Ratzinger w najbardziej krytykowanym przez bp. Tissiera „Wprowadzeniu do chrześcijaństwa”? „Wiara jest przyjęciem tego, czego sam nie wymyśliłem [...], myślenie w wierze jest ostatecznie zawsze przemyśleniem tego, cośmy usłyszeli i otrzymali”. W filozofii natomiast – kontynuuje prof. Ratzinger – słowa „dadzą się zasadniczo zastąpić innymi słowami. Wiara natomiast przychodzi do człowieka z zewnątrz i jest to dla niej istotne. Nie jest ona – powiedzmy to raz jeszcze – czymś wymyślonym, ale jest tym, co zostało mi powiedziane”.

W IMIĘ CHRYSZTUSA KRÓLA

O ile wiele zarzutów bp. Tissiera de Mallerai wobec profesora Ratzingera może robić wrażenie jednostronnych,

W Bractwie bp Tissier zasłynął jako profesor, teolog i historyk. Jego najważniejsze prace to biografia „Marcel Lefebvre. Życie” i „Portret filozoficzny Josepha Ratzingera”

o tyle nieodpartą stroną jego krytyki jest zwrócenie uwagi na bezradność późniejszego papieża w dziedzinie teologii państwa. Owszem, w przemówieniu do dyplomatów Benedykt XVI mógł przypomnieć o suwerennej władzy Boga; jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary dbał też, by w Katechizmie Jana Pawła II znalazły się odniesienia do „Quanta cura”, „Immortale Dei” czy „Quas primas”. Papiestwo nie przestało formalnie odwoływać się do tej, fundamentalnej dla cywilizacji chrześcijańskiej, nauki. Jednak te sporadyczne znaki ciągłości dramatycznie kontrastowały z oporami w formułowaniu na ich bazie zwyczajnego nauczania. Istotnie, nie sposób nie odnieść wrażenia, że osławiony „dialog ze światem” wywołał w Kościele coś w rodzaju utraty mowy, utrudniając – nawet tym, którzy byli świadomi obowiązywalności tych zasad – nauczanie o odpowiedzialności każdej władzy przed Bogiem i o królewskiej godności Chrystusa wobec narodów.

SYNOWSKIE PRZYWIĄZANIE I DZIEDZICTWO OPORU

Surowy polemista zawsze zmieniał ton, gdy pisał o swym duchowym ojcu i o swojej wspólnotie. Najpiękniejszym pośród tych pism jest chyba podrozdział „Złakniony i spragniony sprawiedliwości” w zakończeniu biografii abp. Lefebvre’a. W tym krótkim komentarzu do Ośmiu Błogosławieństw do głosu dochodzą po prostu miłość i wdzięczność. Również przy całym przekonananiu o szczególnych charakterze misji Bractwa św. Piusa X, jego powołanie definiował skromnie, jako niesienie „małej pochodni”, rozświetlającej drogę „duszom dobrej woli” i pomagającej „zachowaniu kapłaństwa katolickiego”.

Na herb biskupi ks. Tissier de Mallerai wybrał sobie Serce Jezusowe po-

śród białych lilii, więc znaki monarchii francuskiej i jej wandejskich obrońców, zgodnie z tradycją narodową i rodzinną. Jego dziadek był – jak opowiadał sam biskup – „ucznem i towarzyszem Charles’a Maurrasa, nawet po potępieniu Akcji Francuskiej” przez Piusa XI. O samym potępieniu biskup mówi, że było czymś więcej niż błędem politycznym, było „błędem oceny”. Naturalistyczne wątki w myśli Maurrasa zasługiwały bowiem – jak mówił bp Tissier – na korektę katolicką, ale nie na reakcję tak brutalną: „Można to kontestować, nie uchybiając szacunku należnego wielkiemu papieżowi”. Oporowi zaś, który wywołały sankcje Rzymu, „nie brakowało – jak opowiadał bp Tissier – ani motywów, ani godności”. Choć jednocześnie zaznaczał, że „niektórzy katolicy z Akcji Francuskiej poddali się papieskiej decyzji z nie mniejszym męstwem, kierując się nadprzyrodzonymi motywami wiary”.

Z pewnością francuskie doświadczenie – narodu, który stając w obliczu pierwszej w historii antychrześcijańskiej rewolucji, od dwóch wieków prowadził jednocześnie kontrrewolucję i stawiał opór apostazji – jest cenne dla całego chrześcijaństwa. Święty abp Feliński mówił, że z Francji przychodzą rzeczy najgorsze i najlepsze.

Tak samo nasze polskie doświadczenie – narodu, o którym (co warto w tym miejscu podkreślić) abp Lefebvre napisał, że jest najbardziej katolicki na świecie – ma dla świata chrześcijańskiego nie mniejszą wagę. Oby nasi tradycjonalistyczni teolodzy potrafili z takim narodowym przywiązaniem, z taką rozumiejącą miłością patrzeć na – należący do swego czasu – personalizm Jana Pawła II, z jaką ich francuscy bracia patrzali na (trwający niemal całe życie) agnostycyzm Maurrasa. Każde pokolenie bowiem wypełnia swoją misję, dźwigając brzemie własnych czasów. Synowskie przywiązanie ją oczyszcza i przekazuje przyszłości to, co najlepsze.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

W tekście wykorzystałem wywiad bp. Tissiera „Contre l’esprit de Vatican II” (w zbiorze Erica Vatré „La droite du Père. Enquête sur la Tradition catholique aujourd’hui”) oraz książki biskupa „Marcel Lefebvre: une vie” oraz „Portret filozoficzny Josepha Ratzingera”.



Z Andrzejem Brzezieckim,
historykiem, dziennikarzem i publicystą
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Kryptonim Analityk



Marek Karp FOT. RAFAŁ GUZ/FORUM

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Kresowy rodowód zdeterminował życiorys Marka Karpi?

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Z pewnością miał wielki wpływ na jego osobowość. Karp nie tyle kontynuował kresowe dziedzictwo, ile nawiązał do niego. Odtwarzał świat ziemian z dawnej Litwy w zupełnie innych warunkach. Jedni widzieli w tym uroczą chęć wskrzeszenia dawnego stylu życia, inni się trochę podśmiewiali. Fascynował się życiem w Wielkim Księstwie Litewskim, czyli na ziemiach współczesnej nam Litwy, Białorusi i południowej Polski, atmosferą wieloetnicznego i wieloreligijnego społeczeństwa. Pewnie je trochę idealizował, bo przecież życie tam nie było sielanką. Lgnął do ostańców takiego świata jak Czesław Miłosz czy prof. Stanisław Swianiewicz.

Będąc licealistą, wzbudził uwagę Służby Bezpieczeństwa?

Był zdolnym nastolatkiem, co zresztą zauważyły też raporty SB. Miał masę zainteresowań – wówczas skierowanych bardziej na nauki przyrodnicze. Razem z kolegami objeżdżał pełne lasów rejony Podkowie Leśnej i kreślił plany okolicy. Ktoś doniósł władzom, że młody chłopak chce te plany wywieźć do Wielkiej Brytanii, gdzie ma rodzinę, i sprzedać tamtejszemu wywiadowi. A ponieważ w okolicy był obiekt wojskowy, jakiś – powiedzmy wprost – matoł uznał, że chłopak para się działalnością szpiegowską i robi to za podszeptem swego ojca. To jemu założono teczkę, ale z jej treści wynika, że interesowano się także Markiem Karpiem.

Przez długi czas inwigilowano całą rodzinę, lecz oczywiście niczego nie znaleziono. W końcu jakiś przytomniejszy oficer SB uznał całą sprawę za absurdalną i kazał ją zamknąć. Jedno, co trzeba esbekom przyznać, że nadali Karpiowi trafny kryptonim – Analityk...

Punkt zwrotny jego biografii stanowiło spotkanie prof. Swianiewicza?

Do tego naukowca, mieszkającego na emigracji w Londynie, Karp trafił w wyniku swych zainteresowań, ale rozmowy ze świadkiem historii rzeczywiście musiały zaowocować ideą stworzenia analitycznego Ośrodka Studiów Wschodnich. Dlaczego? Bo prof. Swianiewicz przed wojną pracował w wileńskim Instytucie Naukowo-Badawczym Europy Wschodniej. Ta

placówka była w dużej mierze pierwowzorem OSW. Karp wraz ze współpracownikami świadomie nawiązywali nie tylko do instytucji wileńskiej, lecz także do prac Włodzimierza Bączkowskiego. Do dziś zresztą ta tradycja jest obecna w Ośrodku – obecny dyrektor, Wojciech Konończuk, niedawno wydał zbiór pism Bączkowskiego. Uważam, że było coś symbolicznego i wspaniałego w tym, że Karp i ludzie z jego pokolenia, a potem jeszcze młodszy chwycili zerwane przez wojnę i komunizm nitki polskich tradycji intelektualnych i kontynuowali je w III RP.

Wywiadowczy charakter OSW to mit?

Ośrodek jest dzieckiem polskich służb specjalnych i zajmuje się białym wywiadem. Wśród pracowników OSW nie brakowało ludzi związanych z UOP, jak choćby wieloletni zastępca Karpi, Bartłomiej Sienkiewicz. Ale OSW nie zajmuje się szpiegowaniem ludzi, wykradaniem informacji, grzebaniem w sejfach, przekupywaniem informatorów itp., itd. Analizuje dostępne materiały: dokumenty państwowe, wypowiedzi polityków, me-

dia, dane statystyczne, własne obserwacje i na tej podstawie próbuje naszkicować obraz sytuacji. W takiej pracy kluczem do sukcesu nie jest spektakularna akcja w stylu Jamesa Bonda, tylko żmudne i konsekwentne gromadzenie wiedzy.

Rządzący III Rzeczpospolitą usiłowali wpływać na działalność OSW?

Szczęśliwie OSW umiał zapewnić sobie autonomię. Po części dlatego, że nie wszyscy mieli świadomość jego istnienia, a praca tam nie była tak łakomym kąskiem jak stołki w spółkach Skarbu Państwa czy „doradztwo” w państwowych instytucjach. Oczywiście politycy nie zawsze rozumieli, że należy wysupłać środki na grupkę analityków czytających zagraniczne gazety i dokumenty. Dla polityków nowy most, przedszkole czy przychodnia to konkretny i chętnie przecinają wstęgi na ich otwarciu. Istnienie Ośrodka trudniej wytłumaczyć. W dodatku w latach 90. np. środowiska ludowe marzące o podboju rynków wschodnich krzywym okiem patrzyły na instytucję, która ostrzega przed business as usual z Rosją.

Patrząc na życiorysy podwładnych Karpi, pryska mit o apolityczności kierowanego przezeń organu.

Czyżby? Wszyscy oni kariery polityczne tudzież partyjne zaczynali już po odejściu z Ośrodka. Owszem, są ludzie, którzy raz są politykami, a raz pracują np. w mediach publicznych i role im się mieszają, ale to chyba nie przypadek pracowników z OSW. Karp sam przez chwilę zaangażował się w jedną z mniejszych partii, niemniej był to jedynie epizod.

Niemal o naszych rodaków na Litwie i Ukrainie, a także przesiedleńców z tych ziem wchodzących w skład II RP, krytykował OSW za bezwarunkowe wspieranie polityki historycznej Wilna i Kijowa.

Nic bardziej mylnego. Wystarczy zapoznać się z raportami OSW, by zobaczyć, że wcale nie ma tam bezwarunkowego wsparcia dla polityki historycznej Wilna i Kijowa. Natomiast rzeczywiście istnieje napięcie między interesami państwa polskiego a interesami polskich mniejszości, czyli obywateli innych państw, którzy utożsamiają się z naszym dziedzictwem – jak to ma miejsce na obszarze ULB.

REKLAMA



Wrzesień 1939 w infografikach

**Unikatowe wizualne
kompedium wiedzy o jednym
z najbardziej dramatycznych
momentów
naszej historii**

212 GRAFIK • 334 ZDJĘCIA • 55 BIOGRAMÓW



**WRZESIEŃ 1939
W INFOGRAFIKACH**

NOWOŚĆ!

www.wydawnictwolira.pl

■ Niestety, nie zawsze daje się pogodzić obie rzeczy, choć chciałoby się, aby tak było. Polska musi dbać o relacje z Polakami za wschodnią granicą, ale nie może być zakładniczką ich sytuacji i postaw politycznych.

Tym bardziej że np. spora część, jeśli nie większość, Polaków na Litwie, gdy Litwini walczyli o niepodległość, była lojalna wobec Moskwy i zinfiltrowana przez KGB, o czym jakoś nie zawsze chcemy pamiętać. Mimo to jeszcze w połowie lat 90. XX w. niektórzy mieli pretensje do analityków Ośrodka, że sympatyzują właśnie z Polakami na Litwie, oceniając tamtejszą sytuację niemalże w duchu endeckim i krytykując rząd w Wilnie za nieprzyjazną wobec polskiej mniejszości politykę narodowościową.

W latach 90. XX w. OSW alarmował choćby, że sytuacja Polaków w Kazachstanie także wymaga interwencji. Nie zawsze zresztą polityka narodowościowa nowych państw była świadomie wymierzona w Polaków. Często chodziło o licznych tam Rosjan, których się obawiano, a Polacy „obrywali” niejako przy okazji, jako kolejna mniejszość. OSW także alarmował, że sytuacja weteranów AK, którzy stali się po 1991 r. obywatelami Białorusi, jest bardzo zła, bo państwo nie uważa ich za kombatanów.

OSW jest instytucją państwa polskiego i ma działać przede wszystkim w jego interesie. Dostarcza politykom i urzędnikom informacji, na podstawie których oni podejmują decyzje.

A jak to się stało, że bohater książki został ziemianinem?

Nawiązał do tradycji rodziny, pochodzącej z Litwy, a przede wszystkim nasiąkł lekturami opiewającymi świat ziemiański. Za pieniądze zarobione w Wielkiej Brytanii nabył pod koniec lat 80. ruiny dworu w Ludwinowie. Można było takie obiekty kupić po preferencyjnych cenach, pod warunkiem że remontowano je zgodnie z zaleceniami konserwatorów zabytków. Co okazało się kosztowną zabawą, wkrótce skończyły mu się pieniądze. Postanowił więc hodować krowy mleczne i sprzedawać mleko pobliskim mleczarniom.

Do interesów głowy nie miał...

Pomysł mógł być dobry, ale Karp faktycznie był naturszczykiem w tej branży.

Ponadto cechowały go wielki rozmach i nikłe wyniki. Co gorsza, aby hodować kilkakset krów i produkować dla nich paszę, a potem sprzedawać z sukcesem mleko, należało stale doglądać interesu. Tymczasem Ludwinów leży niemal 200 km od Warszawy, a Karp wciąż był dyrektorem OSW. O ile ukształtował się tam już zespół ludzi kompetentnych, sprawnie działających pod nieobecność szefa, o tyle w Ludwinowie nie miał właściwego człowieka, który by go wspomógł w mlecznym biznesie. Krótko mówiąc: hodowla krów zamiast zysków przynosiła tylko straty, a samemu Karpiowi stres.

Stracił dyrektorskie stanowisko z uwagi na zarzuty prokuratury?

Tak. Szukając źródła zysku, by utrzymać się na powierzchni jako biznesmen, zaangażował się w przedsięwzięcie, które – jak potem się okazało – nie było przeświadczeniem. Doradzał zaprzyjaźnionemu biznesmenowi, Mirosławowi Ciełuszeckiemu, handlującemu ze Wschodem. Co więcej, Karp lobbował w Warszawie w interesie Ciełuszeckiego. Chodziło o import z Białorusi soli potasowych. Zatem niewątpliwie będąc dyrektorem państwowej firmy, popełnił ten błąd, że pomieszał role. Było to niezręczne, pewnie niewłaściwe, choć niekoniecznie niezgodne z ówczesnym prawem. Gdy jednak Ciełuszecki wpadł w kłopoty, gdyż być może ktoś chciał go wyeliminować z interesów, Karp przy okazji znalazł się na widelcu prokuratury. Sprawa ciągnęła się 20 lat, co nie przynosi chwały polskiemu wymiarowi sprawiedliwości. Ostatecznie praktycznie wszystkim zarzutem wobec Ciełuszeckiego, w tym temacie dotyczącemu współpracy z Karpiem, sąd nie dał wiary. Wszystko to się jednak stało już po śmierci Karpi i oczywiście dawno po tym, gdy w obliczu oskarżeń musiał podać się do dymisji.

Uda się jeszcze wyjaśnić zagadkę jego zgonu?

Pytanie, czy mamy tu w ogóle do czynienia z zagadką. Karp padł ofiarą wypadku, gdy zmierzał samochodem do izby celnej w Białej Podlaskiej. Nie był pewien drogi, bo akurat był tam remont, korzystał z objazdu. Jechał obwodnicą miasta, szukając skrętu w lewo. Kiedy go znalazł, włączył kierunkowskaz i chciał przepuścić nadjeżdżającą z naprzeciwka ciężarówkę. W tym momencie kierowca

białoruskiego tira jadącego za Karpiem ewidentnie zagapił się, uderzając w jego auto i wypychając je pod nią. Biegli badający wypadek doszukali się śladów hamowania pojazdu z Białorusi na ułamek sekundy przed wypadkiem. Karp nie miał zapiętych pasów, co zdaniem biegłych też mogło przyczynić się do zwiększenia obrażeń. Nie wydaje się, by ktoś mógł tak precyzyjnie zaplanować zamach.

Były dyrektor OSW spędził miesiąc w szpitalu, niestety zmarł w wyniku zatoru. Prokuratura w Lublinie badającą sprawę wypadku i śmierci przedłużała śledztwo i – na ile mogło to ocenić – dość drobiazgowo podeszła do problemu. Ostatecznie ów białoruski kierowca został skazany za naruszenie zasady ostrożności. Zaraz po przesłuchaniu go zwolniono, bo wypadek nie był kolizją ze skutkiem śmiertelnym. Jedno, co może zastanawiać, to to, że o tym zwolnieniu i wydaniu Białorusinowi tira nie ma w dokumentach śladu. Spisywałbym to mimo wszystko na karb bałaganu w tamtejszej policji, chociaż niektórzy sugerowali nawet łapówkę, wątpię jednak w jakiś większy spisek czy rękę służb specjalnych. Karp nie był Aleksandrem Litwinienką, by go tak likwidować. Po jego śmierci różni dziennikarze szukali sensacji, ale większość tropów okazała się błędna albo do dziś nie udało się ich udowodnić, co oczywiście dla zwolenników spiskowych teorii stanowi tylko ich potwierdzenie... Nic na to nie poradzimy.

Większą zagadką wydają się przyczyny wspomnianych kłopotów prawnych Ciełuszeckiego i przy okazji Karpi, lecz nie mają one związku ze śmiercią tego drugiego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Andrzej Brzeziecki – historyk, i publicysta. Autor książek, m.in. „Armenia. Karawany śmierci”, „Łukaszenka. Niedoszły car Rosji” (obie wraz z Małgorzatą Nocui), „Czerniowski. Polak, który oszukał Hitlera”, „Ostróda '46. Jak Polacy Sowietów gromili”, „Betonowy umysł. Historia twardogłowych towarzyszy z PZPR” i najnowszej pt. „Zmierzyć arsyzmem. Marek Karp i Ośrodek Studiów Wschodnich”.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Ubeckie
apanaże

Jedną z najszybciej spełnionych obietnic przez KPP (Koalicję Piętnastego Października) jest przywracanie ubecko-esbeckich świadczeń. Jest to o tyle łatwe, że KPP wypłaca je nie ze swoich funduszy, ale z budżetu państwa, czyli z naszych zasobów. Ale o co w tym chodzi?

Przed kilku laty świadczona dla funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa publicznego (czyli głównie UB-SB i MO) została znacznie ograniczona, czyli sprowadzona do w miarę moralnych rozmiarów. Ale i tak nie objęły przecież bezpieki wojskowej (Informacji Wojskowej i Wojskowej Służby Wewnętrznej) z trudnych do wy tłumaczenia i zaakceptowania powodów. Objęci dezubekizacją funkcjonariusze byli w służbie opresyjnego państwa, mającymi bardzo wiele na sumieniu. Pamiętajmy, że po 1944 r. „władza ludowa” zamordowała w obławach, pacyfikacjach, aresztach itp. kilkadziesiąt tysięcy osób. Do tego należy doliczyć ofiary ubecko-wojskowych „band pozorowanych” i tzw. szwadronów śmierci oraz zabójstwa indywidualne w terenie. Sprawcy, poza bardzo nielicznymi wyjątkami, nigdy nie stanęli przed sądami.

A setki tysięcy więźniów politycznych oraz przepuszczonych przez areszty, nawet bez jakiegokolwiek sankcji, to również ofiary systemu i „bijącego serca Partii”, czyli

bezpieki i milicji. Aparat bezpieczeństwa (szeroko pojęty) to były przecież setki tysięcy funkcjonariuszy w służbie tzw. Polski Ludowej. Nic dziwnego, że po 1944 r. oczekiwaliśmy jakiegokolwiek, choćby nawet ułomnej sprawiedliwości. Czekać trzeba było aż kilkanaście lat, a jedyną karą było zmniejszenie świadczeń rentowych i emerytalnych. I to wszystko legło teraz w gruzach, bo przecież „prawa nabyte” czy szukanie indywidualnej winy. Argumentacja jest typowa dla obrony funkcjonariuszy, bo podczas popełnianych zbrodni stali akurat tyłem i nic nie widzieli – i do tego były to głównie sekretarki i sprzątaczk. I cóż one są komuś winne?

A przecież ten problem został już rozstrzygnięty przez Sąd Najwyższy w uchwale z 7 maja 1993 r. (II UZP 7/91). Wtedy nie było wątpliwości o zakresie odpowiedzialności! „Ci, co pracowali w aparacie represji, wiedzieli, co robią, i można to odnieść nawet do sprzątaczek, które sprzątały krew po brutalnie prowadzonym śledztwie [...]. Jeżeli ktoś godził się na pracę w organach bezpieczeństwa w latach 50., to nie był do tego zmuszany, wiedział, gdzie idzie pracować i co się tam robi”.

Państwo, które bardziej dba o dobro oprawców niż obywateli, poddawanych brutalnym represjom, jest państwem niesprawiedliwym, delikatnie rzecz nazywając. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Hołd inflancki

Gdy w 1525 r. pruscy Krzyżacy przegrali kolejną wojnę z Polską, doszło do likwidacji tamtejszej linii zakonu. Ostatni wielki mistrz, Albrecht von Hohenzollern, złożył hołd lenny Zygmuntowi Staremu, przeszedł na luteranizm i stał się świeckim księciem Prus. W tej sytuacji inflancka gałąź zgromadzenia po raz kolejny zaczęła używać nazwy Zakon Kawalerów Mieczowych.

Ich państwo stało się jednak pełnym anachronizmem, gdyż w ówczesnej Europie nie było już miejsca na rycerskie państwa zakonne. Stało się jasne, że Inflanty zostaną wchłonięte przez jedno z pobliskich mocarstw. Książę pruski Albrecht von Hohenzollern zaproponował Zygmuntowi Augustowi likwidację inflanckiej linii zakonu krzyżackiego z sobą samym jako polskim lennikiem, ale król odrzucił ten pomysł. Sama idea wydała mu się jednak atrakcyjna, gdyż oznaczałoby to zdobycie portów dla litewskiego handlu i osłonę północnej granicy Litwy przed zakusami Moskwy. Do tego miasta inflanckie uchodziły za bardzo zamożne, co znacznie wzmocniłoby gospodarkę Wielkiego Księstwa.

Podczas obrad zakonnej kapituły ścierały się różne koncepcje, ale najczęściej zwolenników miała opcja poddania się Rzeczypospolitej. Zdawano sobie

bowiem sprawę z tego, że sama Litwa jest zbyt słaba, by stawić skuteczny opór Moskwie, a do tego należało się też liczyć z ekspansją Szwedów i Duńczyków. Poza tym zakonników i szlachtę inflancką nęciły tolerancja i swobody, które panowały w Rzeczypospolitej.

28 listopada 1561 r. zawarto w Wilnie układ, na mocy którego ziemie kawalerów mieczowych poddały się Zygmuntowi Augustowi jako królowi polskiemu i wielkiemu księciu Litwy. Zakon miał ulec likwidacji, a wielki mistrz Gotard Kettler przejść na luteranizm i otrzymać w lenno Kurlandię i Semigalię. Pozostałe tereny stały się wspólną własnością Polski i Litwy, a ich mieszkańcom zagwarantowano wolność wyznania i dotychczasowe prawa.

Oddzielną rolę w układach odegrała Ryga, która miała uzyskać podobny status jak Gdańsk i właśnie w tym mieście w marcu 1562 r. Kettler złożył hołd lenny. Był to rodzaj uroczystości per procura, gdyż król był nieobecny, a zastępował go Mikołaj Radziwiłł, zwany Czarnym. Kettler był już wówczas luteraninem, a cztery lata później ożenił się z księżniczką meklemburską. Spełnił też swoje osobiste ambicje, gdyż założona przez niego dynastia miała panować w Kurlandii przez blisko dwa stulecia. A do tego zawsze była lojalna wobec Rzeczypospolitej. ©©



Rafał Łatka

„Lincz na Kardynale” ma za zadanie utrwalić w czytelnikach przekonanie, że kard. Gulbinowicz padł ofiarą spisku wielu „złych” sił, które doprowadziły do zniszczenia pamięci o tej „niezłomnej” postaci. Dziełko Sebastiana Karczewskiego to objaw typowego myślenia spiskowego oraz próby unieważnienia rzeczywistości

Wydawać by się mogło, że zainteresowanie tematem kard. Henryka Gulbinowicza w sferze publicznej stopniowo wygasa. Jednakże niewielka grupa jego obrońców pozostaje aktywna, wygłaszając wykłady i udzielając wywiadów, w których niemalże wprost sugerowany jest spisek „wielu różnych sił” przeciwko „niezłomnemu” hierarsze. I, co ciekawe, w tą znowę przeciwko byłemu metropolicie wrocławskiemu miałyby być zaangażowane już nie tylko media liberalne, kuria wrocławska na czele z abp. Józefem Kupnym czy piszący te słowa, lecz także Nuncjatura Apostolska i Stolica Apostolska... Oprócz części środowiska dawnego podziemia solidarnościowego we Wrocławiu (które kard. Gulbinowicz wspierał w latach 1981–1989 i później, już w III RP) w tego typu działania zaangażował się także miesięcznik „Non Possumus” związany z Radiem Maryja. Pierwszym etapem obronczej kampanii było wydanie w lipcu 2021 r. numeru pisma z tytułowym tekstem „Lincz na Kardynale”. Najwyraźniej oddziaływanie tego artykułu okazało się dość mizerne, dlatego Sebastian Karczewski, założyciel i redaktor naczelny pisma, postanowił wydać jesienią 2024 r. książeczkę pod tym samym tytułem.

Zanim przejdę do omówienia treści samej publikacji, warto poświęcić kilka słów jej autorowi (choć może raczej należałoby powiedzieć redaktorowi zestawienia treści napisanych przez innych). Karczewski jest osobą, która specjalizuje się w obro-

Myślenie spiskowe i manipulacje

Kardynał Henryk Gulbinowicz (1923–2020)

FOT. PAWEŁ KOZIOL/REPORTER

nie różnego rodzaju skompromitowanych publicznie duchownych. W 2013 r. zaangażował się w walkę o dobre imię dawnego tajnego współpracownika SB abp. Stanisława Wielgusa, wydając książkę „Zamach na Arcybiskupa”. Dwa lata później stanął mocno za o. Konradem Hejmą, który w latach 1975–1988 współpracował z komunistycznym aparatem bezpieczeństwa jako informator o pseudonimach Dominik i Hejnal, przekazując m.in. wiele ważnych informacji na temat otoczenia Jana Pawła II. Już sam tytuł książki Karczewskiego jest bardzo wymowny i sporo mówi o sposobie myślenia jej autora: „Kamienowanie Ojca Konrada. Za kulisami oszczerstw”.

Jednakże to nie obrona duchownych współpracujących z SB najbardziej kompromituje Karczewskiego, ale zaangażowanie w walkę „o dobre imię” kapłanów skazanych za przestępstwa seksualne, w tym również za molestowanie osób nieletnich. W 2019 r. ukazał się wywiad rzeka, który przeprowadził z tym autorem Michele Ceili, zatytułowany „Pedofilia w Kościeł. Oblicza kłamstwa”. Na tym bynajmniej Karczewski nie poprzestał,

gdyż w październiku 2022 r. zaangażował się w obronę jednego z najbardziej obrzydliwych predatorów seksualnych, czyli ks. Andrzeja Dymera – poświęcając mu niemal cały numer „Non Possumus”.

CEL UŚWIEĆA ŚRODKI

Recenzowana książeczka „Lincz na Kardynale” liczy 88 stron. Jej celem nie jest bynajmniej wyjaśnianie czegokolwiek czy też przedstawienie zobiektywizowanego obrazu życiorysu kard. Gulbinowicza lub przebiegu dyskusji medialnej z 2020 r. Zadaniem tego dzieła jest obrona za wszelką cenę „kryształowego” wizerunku hierarchy i przekonanie czytelnika, że przeciwko metropolicie wrocławskiemu zawiązano ogromny spisek, którego celem było pozbawienie czci i dobrego imienia. Do realizacji tak nakreślonego celu autor nie wahał się wykorzystywać: manipulacji, niedomówień czy celowo zniekształcanych wypowiedzi. Używał przy tym również języka brukowców, nie hamując się zupełnie w retorycznej przesadzie. Z tego względu ogłoszenie kar dla kard. Gulbinowicza przez Nuncjaturę Apostolską nazywa „judaszowym ogłoszeniem”;



Sulei, by sformułować wniosek, że teza o współpracy kardynała z SB jest „kłamliwym nonsensem”, a wszelkie inne zarzuty nie znajdują potwierdzenia.

Problem jest taki, że redaktorzy książki „Dialog należy kontynuować...” nigdzie takiej tezy nie stawiali – zatem Karczewski polemizuje ze stanowiskiem, które sam sobie wymyślił. Po drugie autor chce za wszelką cenę utrwalić przekonanie czytelnika, że 16 lat tajnych rozmów funkcjonariuszy SB z ks. Gulbinowiczem to fakt bez żadnego znaczenia.

Na tym jednak Karczewski nie poprzestaje i by unieważnić analizy z książki „Dialog należy kontynuować...” oraz treść wielu dokumentów aparatu bezpieczeństwa, posługuje się recenzją tej książki opublikowaną na łamach „Dziejów Najnowszych” przez prof. Włodzimierza Suleję i prof. Wojciecha Polaka, w której snuli oni (pozbawianą jakichkolwiek podstaw) teorię, że ks. Gulbinowicz prowadził rozmowy z SB, żeby „maskować” swoją działalność na rzecz Kościoła na Wschodzie, a hierarcha miał wcale nie ukrywać swoich kontaktów z funkcjonariuszami przed Episkopatem Polski i kard. Wyszyńskim.

Problem jest jednak taki, że na te teorie obaj autorzy tego tekstu nie mają żadnego dowodu źródłowego, a są one efektem jedynie ich wyobraźni. Karczewski zaś zupełnie nie wspomina, że Filip Musiał i piszący te słowa opublikowali na łamach „Dziejów Najnowszych” replikę, w której stanowczo wykazali wiele błędów i nadużyć interpretacyjnych sformułowanych przez Polaka i Suleję. Nasz tekst wieńczy takie oto podsumowanie: „Recenzenci bagatelizują kontakty ks. Gulbinowicza z SB, trwające 16 lat (w latach 1969–1985), uważając, że dialog, jaki ten hierarcha prowadził z aparatem bezpieczeństwa, niewiele wnosi do oceny biografii i ks. Gulbinowicza, a wcześniejsze prace dotyczące jego osoby mają wyczerpujący charakter. Replika wskazuje, że takie podejście jest nieuzasadnione, a dialog operacyjny ma istotne znaczenie dla oceny życiorysu hierarchy. Recenzenci stawiają tezę, że spotkania z SB mogły „maskować” działalność kapłana wobec Kościoła na Wschodzie oraz iż kard. Wyszyński mógł o nich wiedzieć. Replika,



SEBASTIAN KARCZEWSKI
„LINCZ NA KARDYNALE
– RAPORT
SPECJALNY »NON POSSUMUS.
IMPERATYW«
GM VERITATIS
SPLENDOR 2024

w oparciu o dowodzenie logiczne oraz znane źródła, wskazuje, że są to twierdzenia nieuzasadnione, stanowiące efekt subiektywnych przekonań wynikających – jak się wydaje – z projekcji na lata wcześniejsze postawy, która cechowała kard. Gulbinowicza w latach osiemdziesiątych. Kluczowe w tym kontekście wydają się odpowiedzi na dwa pytania, których Recenzenci sobie nie zadali. Dlaczego Prymas miałby pozwalać, by dialog z SB prowadził nieznany szerzej duchowny, jakim był w momencie rozpoczęcia rozmów ks. Gulbinowicz?

Dlaczego w przypadku ks. Gulbinowicza miałby uczynić wyjątek i zgodzić się na prowadzenie przez niego rozmów, chociaż – co do zasady – duchownych i hierarchów obowiązywał, wydany przez Episkopat Polski, jednoznaczny zakaz tego rodzaju kontaktów?”

MYŚLENIE SPIKOWE

Generalnie dziełko „Lincz na Kardynale” ma za zadanie utrwalić w czytelnikach przekonanie, że kard. Gulbinowicz padł ofiarą spisku wielu „złych” sił, które doprowadziły do zniszczenia pamięci o tej „niezłomnej” postaci. W podsumowaniu książeczki jej autor pisze o „syndromie Piłata” i stwierdza: „W działaniu instytucji kościelnych w tej sprawie trudno doszukiwać się autentycznej troski o prawdę i dobro Kościoła. Zbyt wiele oznak wskazuje, że ogłoszenie komunikatu Nuncjatury Apostolskiej w Warszawie, dotyczącego kard. Henryka Gulbinowicza, było celowym działaniem na szkodę Kościoła, który jest w Polsce”.

Odnosząc się do treści książeczki i jej kuriozalnej konkluzji, stwierdzić należy, że dziełko Karczewskiego to objaw typowego myślenia spiskowego oraz próby unieważnienia rzeczywistości z 2020 r., w której dokonana się istotna korekta biografii ks. Gulbinowicza. Łatwe do wychwytenia manipulacje, których dokonał autor dziełka „Lincz na Kardynale”, i retoryczna przesada powodują, że Karczewski nie przekona nikogo z grona wcześniej już przekonanych zwolenników „niezłomności” opisywanego hierarchy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem UKSW, pracownikiem BBH IPN.

wszystkie zarzuty postawione byłemu metropolicie to „mystyfikacja”, a hierarcha był człowiekiem „niezłomnym”.

Szczególną uwagę warto zwrócić na to, jak Karczewski zestawia informacje dotyczące postawy ks. Gulbinowicza wobec aparatu bezpieczeństwa i systemu komunistycznego oraz jak odnosi się do książki „Dialog należy kontynuować...». Rozmowy operacyjne Służby Bezpieczeństwa z ks. Henrykiem Gulbinowiczem 1969–1985. Studium przypadku” w opracowaniu Filipa Musiała i moim. Nie znajdziemy w jego opisie żadnych informacji dotyczących życiorysu bohatera tej książki sprzed objęcia funkcji metropolity wrocławskiego. Nie ma więc ani słowa o tym, dlaczego SB rozpoczęła rozmowy z duchownym i jaką postawę (odległą mocno od antykomunizmu) wówczas prezentował. Nie ma także ani słowa o kulisach wyboru bp. Gulbinowicza na metropolitę wrocławskiego. Autor książeczki tak prezentuje fragmenty książki, cytaty z artykułu Agnieszki Bugały (z której czerpie zresztą większość argumentacji w tym zakresie) oraz wypowiedzi medialnych prof. Włodzimierza

Jest to poniekąd zrozumiałe – ludzie ci, poczynawszy od 20 stycznia, przejmą stery państwa w ramach nowego rządu USA, z zadaniem realizacji polityki wytyczonej przez nowego prezydenta, który zdążył już podkreślić, że nie zamierza w kwestii personaliów popełnić błędów swej pierwszej prezydentury, kiedy dobierał polecane mu osoby, a które nie zawsze okazały się wobec niego lojalne. Po części zatem to medialne szczucie wykazuje w pierwszej mierze wartość wskazanych przez Trumpa nominatów i ich potencjalną bezkompromisowość w realizowaniu agendy Trumpa „Najpierw Ameryka!”, na przekór tzw. deep state, głębokiego państwa, czyli sieci powiązań niewybieranych przez nikogo urzędników, mediów i wszelakich koncernów, realizujących od dekad własną politykę, z oczywistymi dlań korzyściami finansowymi, z szatańską wręcz pychą rzekomej wyższości nad przeciętnym nieoświeconym Smithem, który właśnie, przy urnie wyborczej, pokazał całemu temu establishmentowi czerwoną kartkę. Większość nominatów Trumpa będzie przy tym musiała przejść przez swoistą ścieżkę zdrowia przesłuchań senackich, aby uzyskać placet wyższej izby Kongresu, nad którą, mimo większości republikanów w obu izbach, Trump nie ma pełnej sterowności. Niektórzy z tych senatorów, zwani przez trumpistów Rino (republikanami tylko z nazwy), mogą droczyć się z Trumpem o każdą z nominacji, dokonując przy tym politycznych transakcji bądź po prostu sabotując akceptację niektórych kandydatów. Na tym etapie medialna wrzawa wokół tych kandydatur zapowiada więc możliwą w Senacie bitwę o rząd nowego prezydenta mimo zapewnień o sprawnej współpracy ze strony nowego lidera republikańskiej większości senackiej, Johna Thune’a.

PO PIERWSZE, LOJALNOŚĆ

Donald Trump dał jasno do zrozumienia, że klucz, którym będzie się kierował przy tworzeniu nowej administracji, to przede wszystkim bezwzględna lojalność wobec jego polityki. Czas pokaże, na ile te założenia będą urzeczywistnione, a trzeba zaznaczyć, że jego nominacje dokonywane są przy podwójnej presji – dotychczasowego establishmentu, który

Ludzie Trumpa na wojnie o Amerykę



Wojciech Golonka

Wrzawa po brutalnej kampanii wyborczej w USA ustała jedynie na chwilę. Wprawdzie po historycznym zwycięstwie Donald Trump przestał na razie być przedmiotem ataków ze strony liberalnych mediów, które po zwyzywaniu go od wszelkich maści Hitlerów i dyktatorów łaszą się, by dostąpić z nim rozmowy, ale to zawieszenie broni nie obejmuje bynajmniej jego nominatów do administracji prezydenckiej



Pierwszą nominacją Trumpa było obsadzenie Susie Wiles w roli szefa personelu Białego Domu

OT: CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES

po części, z racji arytmetyki senackiej, będzie potrzebny do walidacji tych nominacji, oraz żelaznego elektoratu, który oczekuje radykalnych zmian i ostatecznej rozprawy z deep state; to ważne tło dla przeglądu powstającego rządu USA i towarzyszących temu tarć.

Pierwszą nominacją było obsadzenie Susie Wiles w roli szefa personelu Białego Domu, pierwszej kobiety na tym stanowisku. Sześćdziesięciosiedmioletnia Wiles, weteranka kampanii Reagana z 1980 r., współkierowała, wraz z Chrisem LaCivita, tegoroczną kampanią prezydencką, co stanowi bez wątpienia jej życiowy sukces zwieńczający wypromowanie przez nią różnych republikanów, w tym Rona DeSantis, gubernatora Florydy. Wiles stanie teraz przed trudnym zadaniem scalenia niepospolitych postaci z otoczenia Trumpa w jeden skuteczny zespół pod jego komendą i będzie de facto jego najbliższym codziennym współpracownikiem.

Wczesną głośną nominacją było wskazanie Toma Homana, byłego nowojorskiego policjanta, na „cara granicy”, czyli urzędnika odpowiedzialnego za jej uszczelnienie i masową deportację nielegalnych imigrantów w skali miliona osób rocznie, wedle obietnicy z kampanii wyborczej. Z jednej strony Homan, który sprawował już to stanowisko za pierwszej prezydentury Trumpa, ma wolną rękę do twardej, bezwzględnej polityki migracyjnej, oczekiwanej przez wyborców. Z drugiej będzie celem dla liberalnych mediów pod pretekstem braku humanitaryzmu oraz spotka się z brakiem współpracy ze strony części władz samorządowych w rękach demokratów w kwestii wynajdywania ludzi nielegalnie przebywających w USA. Homan ma jednak po swojej stronie prawo i brak kompleksów – na pytanie, czy będzie rozdzielał rodziny przy deportacjach, odpowiedział, że przecież rodziny można deportować razem, a amerykańskie rodziny również są rozdzielane w przypadku popełnienia przestępstwa przez dorosłych. Wisienka na torcie: Homan zapowiada bezwzględną rozprawę z kartelami narkotykowymi, które mogą zostać uznane przez Trumpa za organizacje terrorystyczne, co oznaczałoby prawdziwą wojnę w kraju i poza jego granicami.

Wśród ludzi Trumpa pod dużym ostrzałem znalazł się Pete Hegseth, nominat do Departamentu Obrony, pod który podlegać będą zatem Pentagon i kontrakty zbrojeniowe dla amerykańskiej armii. Hegseth, weteran nagrodzony dwukrotnie Orderem Brązowej Gwiazdy, z powodzeniem przekonwował się na publicystę telewizji Fox News w kwestiach wojskowości, obronności i bezpieczeństwa. Krytycy zarzucają mu jednak brak doświadczenia na tak poważne stanowisko oraz ekstremizm z racji jego tatuaży Krzyża Jerozolimskiego oraz zawołania krzyżowców: „Deus vult” – „Bóg tak chce!” (zaznaczmy, że Hegseth nie jest katolikiem), zapominając przy tym dodać, że ukończył on dwie prestiżowe amerykańskie uczelnie, Princeton i Harvard. W rzeczywistości Hegseth zamierza posprzątać w amerykańskim wojsku po szaleństwach rewolucji woke, przywracając standardy

Pod dużym ostrzałem znalazł się Pete Hegseth, nominat do Departamentu Obrony

z lat 90. i zaufanie do armii, która z racji jego utraty boryka się z poważnymi brakami rekrutacyjnymi. Jego „szokujący” liberałów sceptycyzm wobec NATO czy niejednoznaczne stanowisko w kwestii wspierania Ukrainy odzwierciedlają w dużej mierze poglądy Trumpa, który nie ma zamiaru odgrywać roli parasola bezpieczeństwa dla Zachodu bez kompensacji finansowej czy bezcelowo i bez realizmu partycypować w wojnie na Ukrainie przy innych priorytetach dla bezpieczeństwa USA, poczynwszy od skutecznego zabezpieczenia południowej granicy. Za Hegsethem ciągnie się sprawa obyczajowa z 2017 r., za którą jednak nigdy nie był ścigany, domniemana ofiara jego gwałtu zaś zawarła z nim w przeszłości ugodę prawną i obecnie milczy mimo nagłośnienia sprawy przez media.

Jeszcze bardziej rozgrzać przesłuchania senackie mogły kwestie obyczajowe dotyczące 42-letniego Matta Gaetz, błyskotliwego kongresmana z Florydy,

należącego do najbardziej lojalnych wobec Trumpa polityków. Wprawdzie trzyletnie postępowanie wymiaru sprawiedliwości zakończyło się umorzeniem sprawy, z racji braku dowodów, jednak za Gaetzem ciągnie się smród (nieudowodnionych) zarzutów o odpłatne stosunki z nieletnimi prostytutkami i zażywanie narkotyków. Zupełnie nietuzinkowy i politycznie bezkompromisowy Gaetz był nominatem Trumpa na prokuratora generalnego i zamierzał bezwzględnie pociągnąć do odpowiedzialności wszystkich tych, którzy nadużywając prawa, prześladowali swych oponentów politycznych, z Trumpem i jego małżonką na czele, oraz inwigilowali i gnębili w ostatnich latach różne konserwatywne grupy społeczne (patriotów manifestujących 6 stycznia 2020 r. w Waszyngtonie, pro-liferów, tradycyjnych katolików, konserwatywnych rodziców...). Gaetz, wokół którego nominacji było w ostatnich dniach naprawdę wiele wrzawy, zrezygnował jednak ze swej nominacji po spotkaniu z republikańskimi senatorami, najwyraźniej nie osiągając koniecznego do ich akceptacji konsensu. Po jego rezygnacji nominację tę błyskawicznie uzyskała była prokurator generalna Florydy, 59-letnia Pam Bondi, znana ze zwalczania coraz bardziej destruktywnego dla amerykańskiej populacji zalewu uzależniających opioidów, członek zespołu prawnego broniącego Trumpa podczas pierwszej próby usunięcia go z urzędu przez demokratów (impeachmentu). Polityka kadrowa Donalda Trumpa uniknie w ten sposób paraliżu, ale jednocześnie ma, jak widać, swe granice akceptacji w samym obozie republikańskim.

Największą osobliwość wśród nominacji Trumpa tworzy natomiast nowo powstający departament do spraw wydajności rządu (DOGE), na czele z Elonem Muskem i Vivekiem Ramaswamym. Obaj panowie, którzy wielce przyczynili się do zwycięstwa Trumpa, pojawiając się często na spotkaniach wyborczych, stawiają sobie za ambitny cel zredukowanie budżetu USA, sięgającego przeszło 8 bln dol., o kwotę 2 bln! Prawdą jest, że obsługa odsetek długu publicznego wynoszącego już 36 bln dol. wynosi obecnie aż 25 proc. przychodów do budżetu. Na portalu X Muska funkcjonuje już nawet oficjalne konto DOGE i publikuje zwiastuny swej

planowanej bezlitosnej działalności w dość prześmiewczym tonie, choć jak najbardziej na serio. Nawiasem mówiąc, dla przykładu, w ostatnich dniach okazało się, że Pentagon po raz siódmy z rzędu oblał audyt wydatków, niezdolny w pełni uzasadnić aż 824 mld wydanych dolarów. Sam Musk urósł zresztą do rangi jednego z najbliższych doradców Trumpa i choć niepotwierdzone źródła mówią, że chce mieć wpływ w zasadzie na wszystko, irtując tym nawet samego prezydenta, to nagrania ich notorycznych w ostatnim czasie wspólnych wystąpień raczej świadczą o wzajemnym zaufaniu i owocnej współpracy tych dwóch miliarderów, którzy bezinteresownie poświęcili się służbie publicznej (co nie znaczy, że bez zysku...).

Ku ucieście żelaznych wyborców Trumpa i zgryzocie liberalnych mediów tekę głowy wywiadu krajowego, nadzorującego aż 18 agencji wywiadowczych, dostała była demokratka, Tulsi Gabbard, nonsensownie ostemplowana jako „prorosyjska”

Ku wielkiej ucieście żelaznych wyborców Trumpa i zgryzocie liberalnych mediów tekę głowy wywiadu krajowego, nadzorującego 18 agencji wywiadowczych, dostała była demokratka, Tulsi Gabbard, okrzyknięta „rosyjską agentką”, a przynajmniej nonsensownie ostemplowana jako „prorosyjska”. W rzeczywistości pochodząca z Samoa Amerykańskiego popularna podpułkownik rezerwy sił zbrojnych słynie ze swej krytyki trzech dekad neokońskich wojen USA, co siłą rzeczy w ostatnich latach zbliżyło ją do trumpowej linii „Najpierw Ameryka”. Co istotne, to Gabbard będzie dostarczała prezydentowi codziennych informacji wywiadowczych, w oparciu o które Donald Trump będzie wyznaczał swoją politykę zagraniczną, do wykonania przez swego innego nominata, Marca Rubia. Gabbard będzie mogła więc w załączku ucinąć interwencjonistyczne zapędy w oparciu o źródłowe informacje pozbawione neokońskiego zabarwienia.

Samego Rubia trudno jednoznacznie określić, co niekoniecznie jest atutem przyszłego sekretarza stanu USA. Z jednej strony wydawać się może aparatchykiem

partii republikańskiej tudzież establishmentu w ogóle, z drugiej jest zdolny do wykazania samodzielności i oryginalności. Ma zapędy jastrzębia – jest objęty sankcjami wjazdu do Rosji – ale jednocześnie podkreśla się, że jest to dość zmiekczony neokonserwatysta na skutek obcowania i popierania Trumpa. To tu akurat leży główna zaleta Rubia, który od czasu wycofania się z prawyborów republikanów w 2016 r., w których bardzo ostro atakował Trumpa (z wzajemnością), stał się jednym z najbardziej lojalnych wobec Trumpa republikanów i zapewne będzie implementował wyznaczoną mu przez prezydenta politykę zagraniczną, co najwyżej dodając jej własną nutę. Pytaniem otwartym pozostaje, na ile poradzi sobie z wytrawnymi tuzami polityki zagranicznej obcych

mocarstw, choć trudniej bardziej uosabiać miałość, niż robił to przez ostatnie cztery lata Antony Blinken.

Nie sposób pominąć tu Roberta Kennedy’ego Jr., byłego demokrata, jednego z największych zwycięzców tych wyborów. Dostał on od Trumpa tekę Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej, z zapowiedzią zupełnie wolnej ręki do działania. Jeśli w nieprzyjaznych mediach przykleja mu się przede wszystkim etykietę antyszczepionkowca i zwolennika spiskowych teorii, to w rzeczywistości Kennedy jest prawnikiem, który praktycznie całą swoją karierę poświęcił na zwalczanie koligacji między koncernami w różnych branżach, w tym farmaceutycznej, a agencjami rządowymi mającymi bezpiecznie dopuszczać do użytku wytwarzane przez nie produkty.

Zwolennik zielonej planety, bratanek prezydenta Kennedy’ego, ma natomiast nie mieszać się do kwestii energetyki, gdzie Chris Wright, całkowicie odporny na dotychczas modną histerię klimatyczną, ma rozkręcić na całego obszar wydobywania paliw kopalnych, aby zapewnić Amerykanom tanią energię i pobić w konsekwencji

inflację. Mike’owi Waltzowi, udekorowanemu odznaczeniami pułkownikowi i byłemu komandosowi, kongresmanowi z Florydy nominowanemu na doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego, z pewnością można przypisać bardzo silny kurs antychiński, dostrzegający w Pekinie główne zagrożenie dla globalnych interesów USA. Jego opinię podziela nominat na dyrektora CIA, John Ratcliffe z Teksasu, dyrektor krajowego wywiadu za pierwszej prezydentury Trumpa, w przeszłości jeden z najbardziej konserwatywnych kongresmanów.

Wielkim przegranym tych wyborów, co było do przewidzenia, ale niekoniecznie w takim stopniu, są Palestyńczycy. Desygnowany na ambasadora USA przy Izraelu Mike Huckabee to nie tylko syjonista do szpiku kości, lecz także wręcz protestancki wyznawca mesjańskiej misji państwa Izrael, niedostrzegającego prawa Palestyńczyków do ziemi tam, gdzie Izrael ma cieszyć się swoją biblijną „ziemią obiecaną”. Nie znaczy to, że Trump chce wojny na Bliskim Wschodzie ani konfrontacji z Iranem. W rzeczywistości wyznacznikiem jego polityki zagranicznej ma być hasło „Pokój przez siłę”, siłę odstraszającą, choć już na pierwszy rzut oka widać, że priorytetem nowej administracji Stanów Zjednoczonych, zgodnie z obietnicami złożonymi wyborcom, będzie pochylenie się nad problemami Ameryki, jej gospodarką i ogólnym bezpieczeństwem wewnętrznym, regulacjami i deficytem oraz do pewnego stopnia – do jakiego, nie wiadomo – starcie z deep state i rozliczenie go. Jeśli ten eklektyczny zespół zapewne w dużej mierze uzyska senackie akceptacje, to dopiero czas i praktyka pokażą, czy ci poszczególni nominaci okażą się rzeczywiście kompetentni na swoich stanowiskach. Trump jest jednak w zupełnie innej sytuacji niż w 2017 r., mając znaczną ławkę rezerwową lojalnych mu ludzi, dlatego też, w porównaniu z pierwszą prezydenturą, obecne nominacje padają w ekspresowym wręcz tempie. Ma on obecnie o wiele większe możliwości realizować swój program wyborczy i znacznie więcej powodów do rozliczenia się ze swoimi politycznymi prześladowcami, co oznacza, że niezależnie od dokładnego składu osobowego jego administracji 20 stycznia Ameryka rzeczywiście wkroczy w erę właściwego trumpizmu.



Witold Repetowicz

Saudyjski następca tronu Mohammed bin Salman z pewnością hucznie świętował powrót Donalda Trumpa do Białego Domu. To on będzie głównym partnerem USA na Bliskim Wschodzie, a jego marzenie, by być równym najpotężniejszym przywódcą, staje się realne, choć Joe Biden zapowiadał, że zrobi z niego pariasa

Cztery lata temu wydawało się, że nad przyszłością saudyjskiego księcia, zwanego popularnie MBS-em, zawisły czarne chmury. Na świecie kojarzony był głównie z piłą mechaniczną, którą pocięto Dżamala Chaszukdźiego, saudyjskiego dysydenta i jednocześnie dziennikarza „Washington Post”. To z tego powodu Joe Biden zapowiadał, że zrobi z Arabii Saudyjskiej pod przywództwem Mohammeda bin Salmana „międzynarodowego pariasa”. Jednak Biden nie był jedynym wpływowym amerykańskim politykiem z niechęcią spoglądającym na naftowo-pustynną monarchię. Ówczesny szef senackiej komisji spraw zagranicznych Bob Menendez forsował ustawy ograniczające możliwość sprzedaży amerykańskiej broni do Arabii Saudyjskiej, a także nakładające na nią sankcje za zabicie Chaszukdźiego oraz porozumienia z Putinem w sprawie limitów wydobycia ropy.

Kariera wpływowego senatora została przerwana na początku 2023 r., gdy jemu i jego poślubionej w 2020 r. małżonce postawiono zarzuty korupcyjne. Teraz Menendez jest już skazany i czeka na wyrok, a Biden odchodzi z urzędu jako przegrany. Saudyjski książę musi z tego powodu czuć niezłą satysfakcję. Nie ma też wątpliwości, że MBS ma swoją cegiełkę w wyborczym triumfie Trumpa. Już w 2016 r. mówiło się o tym, że MBS i jego starszy kolega, ówczesny następca tronu Zjednoczonych Emiratów Arabskich,

Mohammed bin Zajed (obecnie władca ZEA), wspierali kampanię Trumpa.

SUDAJRYCKA SIÓDEMKA

Mohammed bin Salman nie zawdzięcza swej pozycji urodzeniu. Jest jednym z ponad setki wnuków założyciela Arabii Saudyjskiej króla Abdulaziza. Do 2012 r. nic nie zapowiadało, by mógł w ogóle zbliżyć się do tronu. Po śmierci Abdulaziza korona nie przechodziła z ojca na najstarszego syna, lecz z brata na brata, w obrębie synów twórcy dynastii. O tym, który z braci ma być kolejnym władcą, decydowała Rada Wierności złożona z wszystkich synów, a później również niektórych wnuków Abdulaziza. W 2005 r., gdy MBS miał 20 lat i nic nie znaczył, królem został kolejny z synów Abdulaziza – Abdullah. MBS był natomiast szóstym w kolejności synem księcia Salmana, wówczas jedynie gubernatora stołecznego Rijadu. W dzieciństwie był rozpieszczany przez ojca, nie rwał się

swoim ojcu mieli też synowie Abdulla, którzy głowili się, jak obejść zasadę dziedziczenia przez braci i zastąpić ją dziedziczeniem przez synów.

Nic z tego głowienia się jednak nie wyszło i gdy 23 stycznia 2015 r. Abdulla wezwał do siebie Allah, na tronie zasiadł książę Salman. Następcą tronu został natomiast jego brat książę Mukrin. Tyle że wśród synów Abdulaziza od dawna istniał układ zwany „sudajrycką siódemką” łączący książąt zrodzonych przez Huszę z plemienia Sudajrytów. Mukrin do niego nie należał, więc po trzech miesiącach został nakłoniony do abdykacji na rzecz Muhammeda bin Najefa, syna poprzedniego, sudajryckiego, następcy tronu. Po raz pierwszy następcą tronu został zatem wnuk Abdulaziza, a inny wnuk, czyli MBS, wskoczył na pozycję zastępcy następcy tronu. MBS przyznał się kiedyś, że jego ulubioną książką jest „Książę” Niccolò Machiavellego, ale sposób jego dochodzenia do tronu ma

Czas MBS-a

do nauki, obżerał fast foodami i oglądał telewizję lub grał na komputerze w „Age of Empires”. Gdy miał nieco ponad 20 lat, postanowił zająć się biznesem – ze zmiennymi wynikami. Tymczasem w latach 2011 i 2012 zmarli kolejni następcy tronu, Sultan i Najef, i w ten sposób Salman przesunął się na to stanowisko, a Mohammed w wieku 27 lat został marszałkiem dworu swego ojca w randze ministra. To wciąż nie przybliżało go zbyt do tronu, gdyż żyło jeszcze kilku braci Salmana, a chrapkę na schedę po

w sobie coś szekspirowskiego, zwłaszcza może przypominać historię Ryszarda III, opisaną w jednym z dramatów angielskiego mistrza pióra. Krok po kroku, przez usuwanie kolejnych pretendentów, wreszcie 21 czerwca 2017 r. przejął pozycję następcy tronu. Bin Najef tego dnia został wezwany do siedziby MBS-a, pobity, następnie zmuszony do abdykacji i odwieziony do aresztu domowego. Nie był to koniec jego poniżenia, bo w 2020 r. został znów aresztowany i wtrącony do „więzienia w Ritzu”.

■ Zanim MBS zdobył następstwo tronu, przejął w styczniu 2015 r. stanowisko ministra obrony i dwa miesiące później postanowił dać nauczkę prymitywnym rebeliantom jemeńskim, wspieranym przez Iran i znanym jako Huti. We wrześniu 2014 r. zajęli oni stolicę, ale oficjalny prezydent tego kraju zdołał uciec do Arabii Saudyjskiej i poprosił o pomoc. MBS postanowił więc zyskać sławę jako pogromca proirańskich terrorystów i zorganizował arabską koalicję pod saudyjsko-emirackim przywództwem. Kampania, która miała potrwać kilka tygodni, nosiła nazwę „Decydująca Burza” i zakończyła się całkowitą kląpą. Huti byli zdolni razić cele w Arabii Saudyjskiej, w tym rafinerię Saudi Aramco, a brutalność saudyjskich nalotów doprowadziła do tego, że w czerwcu 2019 r. amerykański Senat, zdominowany przez demokratów, uchwalił embargo na sprzedaż broni Arabii Saudyjskiej. Chociaż Trump ustawę tę zawetował, to po przejściu władzy przez Bidena USA przestały wspierać Saudów i ci musieli po cichu wycofać się, nie osiągając niczego. Znamienne było to, że w 2024 r., gdy w związku z wojną w Strefie Gazy Huti zaczęli blokować żeglugę na Morzu Czerwonym, MBS odrzucił amerykańsko-brytyjskie sugestie włączenia się do działań przeciwko temu ugrupowaniu.

Kolejną, niezbyt udaną akcją MBS-a był pomysł blokady Kataru. Nie była to wprawdzie inicjatywa saudyjskiego księcia, lecz jego emirackiego przyjaciela Mohammeda bin Zajeda, ale Arabia Saudyjska weszła w to pełną parą na początku czerwca 2017 r. Celem było usunięcie emira Tamima bin Hamida, który zdaniem władców ZEA i Arabii Saudyjskiej za dużo sobie pozwalał na arenie międzynarodowej. MBS nie zdołał jednak zdobyć poparcia Donalda Trumpa dla tej polityki, z którym dopiero wchodził w bliższą relację. A w styczniu 2021 r. zaniepokojenie objęciem władzy przez Bidena spowodowało wycofanie się z tej polityki bez osiągnięcia czegokolwiek. Trzy lata później Muhammed przybył na mundial do katarskiej Dohy i jak gdyby nic się nie stało, demonstracyjnie okazywał przyjacielskie stosunki z Tamimem.

BEZ LITOŚCI DLA WROGÓW

Donald Trump przed swą pierwszą wygraną prezydencką nie uchodził za

przyjaciela Arabii Saudyjskiej. Krytykował nawet utajnienie dokumentów dotyczących domniemanej roli tej monarchii w zamachach 11 września. Do pierwszego spotkania MBS-a z Donaldem Trumpem doszło w marcu 2017 r. Formalnie był on wciąż trzecią osobą w królestwie, więc było to trochę na bakier z protokołem, ale otoczenie Trumpa wiedziało już, na kogo trzeba stawiać, a MBS składał hojne oferty biznesowo-polityczne. Dlatego, choć miało być krótkie, to trwało kilka godzin. Nie była to zresztą pierwsza wizyta MBS-a w USA. Wcześniej zawiązał tam w czerwcu 2016 r., a głównym celem jego podróży była wówczas Dolina Krzemowa, gdzie postanowił oczarować takich gigantów Big Tech jak Mark Zuckerberg, John Doerr czy Peter Thiel. Warto wspomnieć, że jednym z pracowników Thiela był wówczas obecny wiceprezydent J.D. Vance. MBS przedstawiał wówczas śmiałe wizje inwestycyjne o wartości aż 2 bln dol., co musiało robić wrażenie. Wiązało się to z jego śmiałą Wizją 2030, czyli planem modernizacji Arabii Saudyjskiej i odejścia od rentierskiego charakteru jej gospodarki, opartej dotąd wyłącznie na wpływach z ropy.

MBS rozumiał jednak, że relacje z magnatami Big Tech nie wystarczą, i krótko po wyborach w 2016 r. jego ludzie nawiązali kontakt z Jaredem Kushnerem oraz Steve'em Bannonem. Prezydenci żęć przy pierwszych kontaktach sugerował, że jeśli Arabia Saudyjska chce dobrych relacji z Trumpem, to powinna pomyśleć nad normalizacją relacji z Izraelem i wprowadzić pewne reformy, np. dać więcej praw kobietom. Tymczasem król Salman był znany raczej z bardzo konserwatywno-religijnego podejścia, uznawał wagę tradycyjnych związków między saudyjskim tronem a fundamentalistycznym nurtem wahabickim, a USA postrzegał nie jako przyjaciela, lecz tylko partnera w biznesie. Ale szybko okazało się, że to nie stary, schorowany król podejmować będzie decyzje. Reformy przyszły, kobiety zasiadły za kierownicami samochodów, a królestwo otworzyło się na turystykę.

Przeciwnicy MBS-a na litość nie mogli jednak raczej liczyć. Książę zasłynął ze swojej bezwzględności. W styczniu 2016 r. powieszony został przywódca saudyjskich szyitów Nimr al-Nimr za or-

Saudyjski następca tronu Mohammed bin Salman przez ostatnie lata zacieśniał relacje z otoczeniem Donalda Trumpa oraz z magnatami Big Tech

FOT. SIMON DAWSON/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

ganizowanie protestów w ramach Arabskiej Wiosny. O ile jednak USA popierała protesty sunnickich islamistów, o tyle inaczej było z szyitami, gdyż postrzegani byli jako sojusznicy Iranu. Egzekucja ta nie wzbudziła więc zastrzeżeń ze strony ekipy nowego prezydenta USA (a nawet wręcz przeciwnie), natomiast doprowadziła do zerwania stosunków dyplomatycznych z Iranem. Ale kontynuowano też przesładowania osób o nastawieniu liberalnym, takich jak aresztowany jeszcze w 2012 r. Raif Badawi, którego w styczniu 2015 r. publicznie wychłostał. W latach 2018 i 2019 do więzienia wtrącono także kilka saudyjskich feministek. Trzeba jednak przyznać, że Badawi, który w październiku 2015 r. dostał Nagrodę Sacharowa, ostatecznie w 2022 r. został wypuszczony z więzienia. Ponadto w 2020 r. zniesiono karę śmierci dla młodocianych skazańców.

Największy rozgłos zyskały jednak trzy inne rozprawy z przeciwnikami, rywalami lub krnąbrnymi wasalami MBS-a. 4 listopada 2017 ok. 500 saudyjskich książąt, biznesmenów, polityków i duchownych pojawiło się w luksusowym



hotelu Ritz-Carlton. Nie zjechali się jednak na konferencję, lecz zostali zwięzieni do więzienia, w które zamienił się ten hotel, w ramach operacji antykorupcyjnej. Część, np. książę Talal bin Walid, siódmy najbogatszy człowiek na świecie, wrócił potem do łask, ale musiała się podzielić majątkiem. Wydarzenie to przyćmiło inne, które miało miejsce w tym samym czasie. Libański premier Saad Hariri, w którego Arabia Saudyjska władowała dużo pieniędzy, by zniszczył Hezbollah (a on je zdefraudował i z Hezbollahem nic nie zrobił), złożył oficjalną wizytę w Arabii Saudyjskiej, w trakcie której został uwięziony, pobity i zmuszony do rezygnacji. W końcu uratował go Macron, który ściągnął Haririego do Francji.

MIÓD NA USZY TRUMPA

Wydaje się, że MBS stopniowo dojrzeć politycznie i staje się mniej brutalny oraz bardziej racjonalny. Ponadto trzeba przyznać, że Arabia Saudyjska naprawdę radykalnie, i to pozytywnie, zmieniła się pod jego rządami. Zamknięta, plemienna i zdominowana przez fanatyczną ideologię wahabizmu monarchia wyszła

ze średniowiecza prosto w XXI w. MBS przyczynił się do stworzenia saudyjskiej tożsamości narodowej, a jego śmiałe plany, takie jak budowa inteligentnego miasta NEOM, opartego na energii odnawialnej, są realizowane.

Kluczowe znaczenie dla MBS-a mają jego związki z Trumpem, umocnione przyjaznymi relacjami z Jaredem Kushnerem. Amerykański prezydent złożył wizytę w Arabii Saudyjskiej w maju 2017 r. i usłyszał w jej trakcie, że Arabia Saudyjska wyda w ciągu najbliższych 10 lat 200 mld dol. na współpracę biznesową i 110 mld na zakup amerykańskiej broni, co było miodem na jego uszy. Dlatego gdy w marcu 2018 r. MBS znów zawitał w Białym Domu, Trump stwierdził, że w bardzo krótkim czasie stali się „dobrymi przyjaciółmi”, po czym wyjął plansze z saudyjskimi planami zakupów zbrojeniowych, rzucił kilka sumek o łącznej wartości 12,5 mld dol., dodając pod adresem MBS-a: „To dla ciebie orzeszki”. Książę się uśmiechnął.

Strategia przez portfel do serca okazała się sukcesem. Jednocześnie MBS zacieśniał swoje relacje z magnatami Big

Techu, zwłaszcza z Jeffem Bezosem, choć później wyszło, że jednocześnie go inwigilował, by dotrzeć do Chaszukdzkiego. Do Bezosa należy bowiem „Washington Post”. Wszystko jednak wskazuje na to, że gdy z obracania MBS-a w pariasa wyszły nici, Dolina Krzemowa też mu wybaczyła „drobne wpadki”. I to też będzie teraz procentować, bo Musk, Bezos i Thiel wspierali w wyborach Trumpa. Tymczasem 3 proc. udziałów w dawnym Twitterze ma książę Walid bin Talal, który od czasu swojego uwięzienia jest lojalny wobec MBS-a.

Do pełni szczęścia pozostaje jeszcze normalizacja z Izraelem. Benjamin Netanjahu od dawna przymila się do saudyjskiego królestwa w sposób często wręcz żenujący, jednakże robi to w stylu słonia w składzie z porcelaną. Dlatego szczyt arabsko-izraelski, który Amerykanie zorganizowali w lutym 2019 r. w Warszawie, okazał się klapą, a potem Saudowie nie dołączyli do Porozumień Abrahamowych, normalizujących stosunki niektórych państw arabskich z Izraelem. Odejście Trumpa z Białego Domu przerwało ten okres szybko rozwijającej się współpracy i choć w lipcu 2022 r. Biden musiał się jednak spotkać z MBS-em, to ten zaczął się stawiać Amerykanom i równocześnie grać z Putinem oraz Chinami.

Z całą pewnością księciu nie podobały się plany ekipy Bidena, by odejść od polityki „maksymalnej presji wobec Iranu” i próbować reaktywować porozumienie w sprawie irańskiego programu nuklearnego. W marcu 2023 r. ogłoszono, że dzięki „chińskiej mediacji” doszło do normalizacji relacji saudyjsko-irańskich, a kilka miesięcy później, po szczycie BRICS, Arabia Saudyjska wyraziła zainteresowanie przystąpieniem do tego formatu. Tak naprawdę jednak była to część strategii MBS-a, obliczonej na podwyższenie własnej wartości i osłabianie Bidena. Tegoroczny szczyt BRICS MBS już w sposób wręcz ostentacyjny zbojkotował, a powrót Trumpa do Białego Domu, w dodatku z Vance’em jako vice, wszystko zmienia. MBS będzie teraz głównym partnerem USA na Bliskim Wschodzie, a kwestia normalizacji relacji saudyjsko-izraelskiej stanie się priorytetem. Pozycji MBS-a nic już nie zagrazi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Maciej Pieczyński

Narzekają, że Kreml pozostawił ich bez pomocy. Apelują, by Putin „zakończył tę przekłętą wojnę”. Ale obalać go nie zamierzają. Kim są, jak żyją i czego potrzebują mieszkańcy obwodu kurskiego z obu stron frontu?

Wniedzielę 10 listopada na placu Czerwonym, pod budynkiem administracji obwodowej w Kursku, zebrało się kilkudziesięciu uchodźców z zajętej przez Ukraińców Sudży. Przesiedleńcy domagali się pomocy od państwa. Zażądali albo nowych mieszkań, albo wydania tzw. certyfikatów mieszkaniowych, pozwalających na zakup lub budowę nowego domu czy też mieszkania. Do zebranych wyszedł przedstawiciel administracji obwodowej do spraw polityki wewnętrznej Anatolij Drogan. Oskarżył protestujących o zorganizowanie „nielegalnej demonstracji” i domagał się wskazania „inicjatorów”. „Rozejść się!” – żądał. Uchodźcy nie dali się zastraszyć. „Nam wszystko jedno, gdzie zamarzniemy. Możemy zamarznąć na ulicy. Co za różnica, skoro i tak nie mamy domu?” – odpowiadali. Zakrzyczeli urzędnika, a jeden z demonstrantów rzucił w jego stronę: „A władze nie naruszają konstytucji?! Proszę odpowiedzieć!”.

Drogan tłumaczył, że w obwodzie panuje „reżim operacji kontrterrorystycznej”, który nie zezwala na masowe protesty. Jednocześnie argumentował, że przecież „trwa wojna”, a Rosja nie zapraszała wroga w swoje granice. „Gdzie wojna?! To ogłoście wojnę!” – odpowiadała wzburzony tłum, rzecz jasna w nawiązaniu do tego, że Moskwa ukrywa prawdziwą sytuację za eufemizmem „specjalnej operacji wojskowej”. Drogan bronił władz, przekonywał, że Ukraińcy po prostu przedarli się przez granicę, w obronie której ginęli rosyjscy żołnierze. Taka argumentacja tylko jeszcze bardziej rozżłościła uchodźców. Bowiem, jak odpowiadali urzędnikowi, granicy bronili niedoświadczeni poborowi, a za sytuację w obwodzie trzeba „ukarać



Kurskie życie Rosjan

generałów”. Jeden z uczestników protestu skrytykował też władze za nieudolne przeprowadzenie ewakuacji.

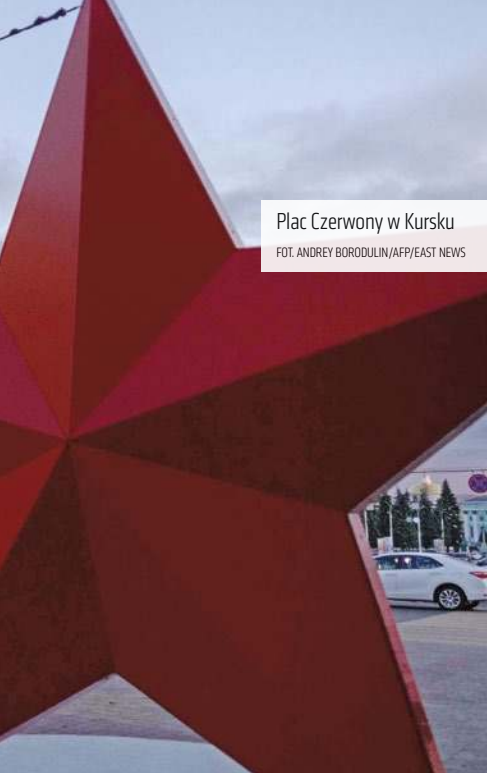
Nastroje nieco się uspokoiły, gdy do tłumu wyszła urzędniczka i zaprosiła protestujących na spotkanie w siedzibie administracji obwodowej. Przybyły tłum uchodźców żywo zainteresowanych swoją sytuacją. Władze obwodu znalazły kozła ofiarnego. Na oczach zebranych gubernator Aleksiej Smirnow zwolnił szefa rejonu (jednostki administracyjnej) sudżańskiego Aleksandra Bogaczowa, który jego zdaniem nie potrafił rozmawiać z mieszkańcami i nie informował ich o wszystkich możliwościach wsparcia. Dymisja była fetowana oklaskami.

Dwa dni po dymisji Bogaczowa w podobnych okolicznościach stanowisko straciła szefowa korieniewskiego rejonu – Marina Diegtiarowa. Ponadto podczas pokazowego spotkania władze

uroczyście wręczyły dwa certyfikaty mieszkaniowe. Gubernator uściślił, że w pierwszej kolejności certyfikaty trafiają do rodzin uczestników „specoperacji”, następnie do wielodzietnych rodzin, weteranów i inwalidów, a potem do wszystkich pozostałych. Dodatkowo za dom zniszczony przez ostrzał ukraiński miały przysługiwać środki na remont kapitalny, a ponadto pieniądze na tymczasowy wynajem mieszkania.

ULICE PŁONĄ, WOJNY NIE MA

Pewien obraz sytuacji dają anonimowe wypowiedzi uchodźców udzielane opozycyjnym mediom. Marina z Sudży w rozmowie z Radiem Swoboda wspomina, że gdy uciekała z miasta wraz z rodziną, w uszach dudniło od ukraińskiego ostrzału, natomiast odpowiedzi Rosjan nie było słychać. – Jeśli władze w ciągu jednej doby podały (Ukraińcom) cały



Plac Czerwony w Kursku

FOT. ANDREY BORODULIN/AFP/EAST NEWS

rejon wraz z ludźmi, to niech przynajmniej dadzą nam mieszkanie, nie mówiąc już o ziemi, gospodarstwach i samochodach pozostawionych w Sudży – żali się w rozmowie z dziennikarzem. Wracać do rodzinnego miasta nie zamierza, bo nawet jeśli Rosjanie odbiją okupowane tereny, to dalej będzie to niebezpieczna dla mieszkańców strefa przyfrontowa. I nikt nie da gwarancji, że następnym razem uda się uciec przed bombami...

Inaczej rzeczywistość przedstawiają lokalne prokremlowskie media społecznościowe. Kanał „Sudża rodnaja” (ros. „Rodzinne miasto Sudża”) informuje o konkretnych działaniach władz obwodu. A to obiecano rekompensaty dla przedsiębiorców, którzy utracili część lub całość majątku w wyniku wojny, a to zakupiono 470 burżujek, które „pomogą przetrwać zimę”. „Sudża rodnaja” publikuje też listy uchodźców z pogranicza. Takie jak ten: „Szanowni mieszkańcy Kurska i obwodu! Chcemy ostrzec, że pojawili się oszuści, którzy chodzą po mieszkaniach, podając się za przesiedleńców z rejonu sudżańskiego, i proszą o pomoc. Dzisiaj do naszego mieszkania pukała kobieta, jakoby pochodząca z okolic Sudży, ale nie potrafiła powiedzieć, z której konkretnie miejscowości (a my sami pochodzimy z Sudży). MIESZKAŃCY SUDŻY I REJONU SUDŻAŃSKIEGO NIE CHODZĄ PO MIESZKANIACH I NIE PROSZĄ O POMOC!”. Ponadto kanał orga-

nizuje też zbiórki pieniędzy dla żołnierzy pochodzących z regionu.

Demonstracja z 10 listopada nie była pierwszym – i zapewne nie będzie ostatnim – aktem protestu mieszkańców obwodu kurskiego przeciwko opieszałości władz. Cztery dni wcześniej na tym samym placu Czerwonym zebrali się uchodźcy z rejonu bolszeośdatskiego. W kilku tamtejszych miejscowościach w rezultacie walk z Ukraińcami spłonęły całe ulice. Jednak, jak twierdzili pogorzelnicy, władze odmawiają uznania rejonu za strefę działań wojennych. Dlatego też uchodźcy stamtąd nie mają nawet prawa do korzystania z PWR, czyli z obozów dla uchodźców. Żeby nie trafić na ulicę, muszą więc wynajmować mieszkania z własnych pieniędzy. Tymczasem – jak zauważa opozycyjny bloger Maksim Kac – masowy napływ uchodźców doprowadził do wzrostu cen na rynku mieszkaniowym. Właściciele niechętnie wynajmują mieszkania rodzinom wielodzietnym, nawet jeśli je stać na wynajem.

Uciekinierzy z rejonu bolszeośdatskiego przyszli na demonstrację z wydrukowanymi zdjęciami swoich spalonych domów. Nikt na plac nie wyszedł, ale na drugi dzień protestujący zostali zaproszeni na spotkanie. Choć aż 472 mieszkańców oświadczyło, że ich mieszkania zostały zniszczone w rezultacie działań wojennych, to urzędnicy wyliczyli, że tylko 191 z nich uległo całkowitemu zniszczeniu. Logika władzy jest jasna – liczyć szkody tak, by jak najmniej za nie zapłacić.

BŁAGANIA O POMOC

Na początku listopada ponad 500 mieszkańców rejonu głuśzkowskiego wystosowało list otwarty do Putina z prośbą o objęcie ich programem pomocowym. Chcą mieć możliwość ubiegania się o certyfikaty mieszkaniowe, bo choć ich miejscowości położone są poza pięciokilometrową strefą przygraniczną, to jednak podczas ukraińskiej agresji znalazły się w strefie walk. Ich domy są zniszczone, a na ulicach i w przydomowych ogródkach walają się pociski, miny i odłamki. 8 listopada gubernator Smirnow obiecał zrehabilitować wynajem mieszkania wszystkim mieszkańcom obwodu, którzy byli zmuszeni uciec przed ukraińską ofensywą.

Media społecznościowe pękają w szwach od wideoapeli zaniepokojonych kurszczan proszących Putina o pomoc. Na wKontakcie między 3 a 11 listopada pojawiło się aż 38 takich filmów. Wszystkie pochodziły z jednej wsi – Szeptuchowka w rejonie korieniewskim. Jak podaje konto „Agiensstwo nowostiej” („Agencja informacyjna”) na Telegramie, w nagraniach wzięło udział ok. 130 osób. Mieszkańcy proszą o certyfikaty, uskarżają się na fatalne warunki w PWR, żalą się, że muszą „pracować za grosze”. Co znamienne, wspominają też o szabrownikach i maruderach – w tym rosyjskich żołnierzach. Pracownik szpitala w Korieniewie pisał anonimowo do korespondenta rosyjskiej filii BBC: „Tutaj są cywilni, wojskowi i przyjezdni maruderzy. [Żołnierzom] kupowaliśmy wszystko, od skarpet i majtek, po drony i quady, a w ramach wyrazów wdzięczności okradli nam domy”. Sam minister transportu Roman Starowojt, były gubernator obwodu kurskiego, przyznał publicznie, że dochodziło do przypadków szabrownictwa ze strony żołnierzy rosyjskich. Wcześniej kremłowska agencja TASS informowała o podobnych przypadkach, ale ze strony ukraińskich okupantów.

Największy rozgłos zyskał apel wystosowany przez uchodźców ze wsi Olgowka w rejonie korieniewskim. Na nagraniu widać ok. 40 osób, głównie w podeszłym wieku. Treść czyta z kartki starszy mężczyzna. Do Putina zwraca się bez jakiegokolwiek ironii jako do „szanownego pana prezydenta naszego wielkiego i potężnego kraju”. Jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, władca jest adresem prośby o rozwiązanie konkretnego problemu, a nie krytyki. W apelu padają odważne słowa: „Prosimy zakończyć tę przekłętą wojnę, która zabrała wiele niewinnych istnień”.

Myliłby się jednak ten, kto uznałby, że uchodźcy z obwodu kurskiego opowiedzieli się po stronie Ukrainy. Postawa antywojenna tych raczej prostych ludzi jest efektem kremłowskiej propagandy, która od pokoleń przekonuje własnych obywateli, że Rosja nigdy na nikogo nie napadała, a jeśli zdarza się jej brać udział w działaniach zbrojnych, to w obrobie własnej, a jej głównym celem jest zaprowadzanie pokoju. Nawołując do zakończenia wojny, kurszczanie nie

■ sprzeciwiają się agresji Rosji na Ukrainę, tylko „agresji” Ukrainy na Rosję.

I chcą, by właśnie tę „wojnę” zakończył Putin. Dla kurszczan wojna wybuchła nie 24 lutego 2022 r., tylko 6 sierpnia 2024 r. „Już od trzech miesięcy jesteśmy jakby w piekle” – mówi uchodźca, załamując ręce. I dodaje: „Chcemy, żeby nasze dzieci widziały spokojne niebo, a nie słuchały alarmu przeciwrakietowego”. „Nie ze swojej woli cierpimy” – mówią mieszkańcy.

Uchodźcy, którzy uciekają na stronę rosyjską, narzekają na niewystarczającą pomoc ze strony państwa. Jednak nawet w anonimowych rozmowach z opozycyjnymi mediami nie kwestionują samej polityki Putina wobec Ukrainy. Nie protestują przeciwko wojnie, tylko przeciwko pogorszeniu własnej sytuacji wskutek wojny. A nawet nie tyle wskutek wojny jako takiej, ile wskutek inwazji Ukrainy na Rosję. Paradoksalnie bardzo podobna jest postawa tych, którzy zostali na terenach okupowanych. Już w pierwszych dniach operacji kurskiej Kijów chętnie nagłaśniał przypadki, w których zwykli Rosjanie z pogranicza z uśmiechem popisywali się przed żołnierzami SZU znajomością języka ukraińskiego. Nie szli do partyzantki, nie wychodzili na spontaniczne akcje protestu, jak choćby mieszkańcy Chersonia w okresie rosyjskiej okupacji. Dają się też wykorzystywać ukraińskiej propagandzie wojennej, nagrywając wideoapele pod hasłem „Niepotrzebni Putinowi”, narzekając przed kamerą na to, że ich ojczyzna ich porzuciła na pastwę Kijowa. Niektórzy też odmawiają ewakuacji na Ukrainę ze strachu przed „banderowcami”.

To jednak bynajmniej nie oznacza, że kurszczanie cierpieli katusze pod władzą putinowskiej dyktatury i tylko czekali, aż ich wyzwolą bracia Ukraińcy. Wszelkie objawy buntu kurszczan po stronie rosyjskiej nie świadczą o rewolucyjnych nastrojach. Rosjanie w swej masie albo są gorącymi zwolennikami Putina i jego polityki, albo pasywnymi koniunkturalistami wyznającymi filozofię „moja chata z kraja”. Politykę Kremla popierają, ale raczej biernie, siedząc przed telewizorem. I buntują się wtedy, gdy wojna, której kibicują, wchodzi z butami w ich życie, burząc dotychczasowy komfort. Przy czym protestują w sposób bez-



Protest pod budynkiem administracji obwodowej w Kursku FOT. XXXXXXXXXX/XXXXXXXXXXXXXXX

pieczny, ponieważ domagają się jedynie podstawowego wsparcia, nie kwestionując przy tym linii Moskwy.

NIE CHCĘ UMIERAĆ ZA PUTINA

Tuż po rozpoczęciu ukraińskiej operacji tysiące mieszkańców rzuciły się do ucieczki. Teoretycznie władze przeprowadziły ewakuację, która jednak w praktyce objęła niewielki odsetek ludności. We wrześniu gubernator Smirnow podał liczbę 150 tys. osób przesiedlonych w bezpieczne rejony. Jednocześnie tylko 7,5 tys. z nich ewakuowano autobusami. Ogromna większość uchodźców uciekła przed bombami na własną rękę. Nie czekali, aż państwo wyciągnie po nich pomocną dłoń. Dlaczego? Według Maksima Kaca dlatego, że wbrew pozorom zwykli Rosjanie nie ufają własnemu państwu. Doskonale rozumieją, że Moskwa, wyzwalając utracone tereny, nie będzie przejmować się pozostałymi tam obywatelami, tylko bombardować wroga na oślep. W Rosji bowiem interes państwa zawsze jest ważniejszy niż dobro jednostki. Dlatego lepiej liczyć na siebie. Rosjanie wiedzą, że w ich kraju trzeba oficjalnie popierać władzę i na nią głosować, niezależnie od tego, co się naprawdę myśli.

Z drugiej jednak strony, gdy tylko owej władzy powinno się noga, lepiej uciekać gdzie pieprz rośnie. Nie umierać za nią. Dlatego kurszczanie pod okupacją ukraińską nie będą umierać za Putina (ani za Zełenskigo, co ważne), a na terenach kontrolowanych przez Moskwę będą domagać się wsparcia od państwa, ale nie

będą ryzykować walki z tym państwem na śmierć i życie. I każdej (rosyjskiej czy ukraińskiej) władzy będą mówić to, co ta władza chce usłyszeć. Dopóki ich osobisty komfort nie jest naruszony.

A przy tym rozgrywają się prawdziwe dramaty. Mieszkańcy obwodu w pewnym momencie bezskutecznie apelowali do Putina i Zełenskigo o otwarcie korytarza humanitarnego. Jak gorzko stwierdził mieszkaniak Sudży Michaił (imię zmienione przez redakcję) w rozmowie z portalem Nowaja Gazieta Jewropa, ewakuacja jest niewygodna zarówno dla Moskwy, jak i dla Kijowa. Szczególnie dla Kijowa, bo mieszkańcy uciekaliby do Rosji. Stacjonujący w mieście ukraińscy żołnierze mieli zapewniać sudżan, że ich nie wypuszczą.

Ponadto, jak zapewnia Michaił, przekaz rosyjskich mediów o egzekucjach dokonywanych przez SZU na mieszkańcach to bzdura. Większym zagrożeniem jest rosyjski ostrzał Sudży, przed którym jedynym skutecznym schronieniem jest piwnica miejscowego internatu. Nie oznacza to jednak, że opowieść Michaiła może się spodobać opinii publicznej nad Dnieprem. Mieszkaniak opisuje liczne przypadki szabrownictwa ze strony żołnierzy ukraińskich, którzy okradali opuszczone domy, zabierali z nich meble i pozostawiony sprzęt elektroniczny. „We wrześniu sam widziałem, jak wynosili ze szpitala sprzęt i ładowali go do samochodów” – zapewnia Michaił.

Wśród mieszkańców słychać też wiele plotek, które trudno potwierdzić. Na przykład o tym, że „pewien facet postanowił uciec z okupowanego miasta, dotarł do rosyjskich pozycji, ale tam go oskarżyli o współpracę z SZU i aresztowali”. Michaił, który zdaje się dość trzeźwo oceniać sytuację, podejrzewa, że tę plotkę rozpuścili sami Ukraińcy, żeby zniechęcić miejscowych do współpracy z armią rosyjską. Niezależnie od tego, czy to prawda czy nie, efekt jest dokładnie taki. Sudżanie coraz częściej zastanawiają się, co im przyniesie wyzwolenie spod ukraińskiej okupacji. Czy aby swoi nie uznają ich za zdrajców? I tu znów widać, że mieszkający na pograniczu Rosjanie z reguły nie kierują się poglądami, patriotyzmem czy też antypatriotyzmem. Po prostu chcą przetrwać...

© Wszelkie prawa zastrzeżone

NIEMCY I CZESKIE KURY W POLSCE

Awantura w czeskim Lidlu. Jeden z klientów niemieckiego marketu zauważył, że jaja „od czeskich kur” sprzedawane są z nadrukiem polskiego kodu. W kraju rozpętała się poważna awantura. „To czeskie kury, które są w Polsce, gdzie mają lepsze warunki” – tłumaczył oficjalnie Lidl.

ZŁOTY STRZAŁ HYDRAULIKA

Ekipa remontowa kuła ściany w jednej z kamienic w Penzing w Wiedniu. Podczas tych prac hydraulik zauważył linę. Kosztowało go wiele wysiłku, by wyciągnąć to, co było na jej końcu – ciężką skrzynię. W środku było 30 kg złotych monet, które najprawdopodobniej podczas drugiej wojny światowej ukryli poprzedni właściciele nieruchomości. Zgodnie z austriackim prawem znalazca i właściciel gruntu muszą podzielić się znaleziskiem po połowie. Według austriackich mediów skarb wart jest ok. 2,3 mln euro.

MAKARONOWY STRAJK W BARI

Włoskie miasteczko Bari słynie z makaronu orecchiette. Wyrabiające go ręcznie kobiety sprzedają go na straganach przy swoich domach i stanowi to pewnego rodzaju atrakcję turystyczną. W mediach gospodyniom zarzucono, że sprzedają fabryczny makaron jako wyrabiany ręcznie. Panie zaczęły strajkować. Wsparł je burmistrz miasta.

ATAK UDAWANEGO NIEDŹWIEDZIA

Czterech mężczyzn z Los Angeles zgłosiło do ubezpieczalni nietypową szkodę. Twierdzili, że do ich rolls-royce'a nad jeziorem Arrowhead w górach San Bernardino wdarł się niedźwiedź. Auto zostało zdemolowane. Na dowód przekazali nagranie z monitoringu. Potem dokonali zgłoszenia z kolejnymi zniszczonymi autami. Departament Ubezpieczeń Kalifornii przeprowadził śledztwo i udowodnił, że na nagraniu był człowiek w kostiumie misia. ©©

Łukasz Zboralski

BANANOWA FOBIA MINISTER

Szwedzka minister do spraw równości, Paulina Brandenberg, przyjeżdża na spotkania, podczas których nie może w jej pobliżu być bananów. Jej współpracownicy uprzedzają o tym każdego organizatora konferencji. Oficjalnie Brandenberg ma silną alergię na te owoce. Jednak w 2020 r. sama na portalu X wyznała, że cierpi na „najdziwniejszą fobię na świecie”, bo odczuwa lęk przed bananami. Wpisy z tym wyznaniem zostały potem usunięte.

FOT. PATRIK ÖSTERBERG/IDP IMAGES/FOURIM

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Skandalista Donald Trump



JACEK PRZYBYLSKI

Donald Trump uzyskał w listopadowych wyborach bardzo silny mandat. Rządzenie ułatwi mu to, że Partia Republikańska ma większość w Izbie Reprezentantów i w Senacie. Co do tego nikt, łącznie z przedstawicielami lewicy i liberałów, nie może mieć żadnych złudzeń.

Donald Trump wie, że rzeczywistość władza to zdolność wzbudzania strachu. I jeszcze przed zaprzysiężeniem z tej władzy korzysta. Przeciwni mu politycy i publicyści są zaś najbardziej przerażeni nie tym, że władzę przejęły opozycyjnie siły, ale tym, że prezydent elekt jest

na tle wielu polityków – zarówno z Partii Demokratycznej, jak i Partii Republikańskiej – bardzo nietypowy. I nie chodzi tu o jego poglądy, ale o to, że wiele wskazuje na to, iż w przeciwieństwie do większości polityków nie tylko w Ameryce, lecz także w Europie Donald Trump po objęciu władzy 20 stycznia rzeczywiście zamierza robić dokładnie to, co obiecywał swym wyborcom podczas kampanii przedwyborczej.

W USA widziano już wiele, ale polityk chcący spełnić szybko większość przedwyborczych obietnic (jeśli nie wszystkie) to już precedens. „Nie sądziłem, że Trump reze-

czywiście zrobi te szalone rzeczy, które zapowiedział. Co do cholery?” – pyta publicysta „USA Today”. „Jestem w szoku, widząc, że Trump już robi dokładnie to, co powiedział ludziom, że zrobi” – dodał.

Peter Baker na łamach „NYT” palarnuje, że Trump szykuje „przewrót” i „rewolucję”, jakiej nie zrobił dotąd żaden prezydent w historii. Baker pisze o „szoku w waszyngtońskim establishmencie”. A przecież Trump od dekady mówi o likwidacji „waszyngtońskiego bagna”. Ludzie go wybrali, by niczym Al Capone uderzył w system. I oddał im wolność... ©©

Szczyt klimatyczny w Baku nie odbywa się pod dobrymi auspicjami. Tydzień przed jego rozpoczęciem prezydent Stanów Zjednoczonych został Donald Trump, który najprawdopodobniej wycofa swój kraj z porozumień klimatycznych, jak to uczynił w czasie pierwszej kadencji.

Z kolei prezydent Azerbejdżanu w otwierającym obrady przemówieniu nazwał paliwa kopalne „darem od Boga”, co wzbudziło wściekłość wszystkich aktywistów i „przyklejaczy”.

Jakby tego było mało, organizatorem szczytu został mianowany tamtejszy minister energetyki, który oczywiście natychmiast wykorzystał swoją pozycję, żeby zająć się poszukiwaniem inwestorów do wydobywania ropy i gazu, a czynił to tak ostentacyjnie, że od razu o tym napisały media.

Na dodatek na obrady nie przyjechała Greta Thunberg, która zatrzymała się w sąsiedniej Armenii, demonstrując przeciwko używaniu ochrony klimatu do celów politycznych przez Azerbejdżan i nazywając szczyt w Baku jedną wielką ściemą.

Ba! Nawet panna Licyprya Kangujam nie zdecydowała się przyjechać do Azerbejdżanu, wybierając bardziej atrakcyjne Rio de Janeiro i wystąpienie do liderów G20, którzy nieuprzejmie postanowili się tam spotkać w trakcie trwania szczytu klimatycznego, jakby dyskretnie dając do zrozumienia światu, co jest tak naprawdę ważne. Nie wiedzą państwo, kim jest panna Licyprya? Warto się z nią zapoznać. To młodsza i sympatyczniejsza wersja Greta Thunberg. Trzydziestolatka z Indii, która już w wieku ośmiu lat na przemian protestowała i przemawiała na rozmaitych zgromadzeniach mających ratować planetę. Wyglądało to zresztą dość zabawnie: na poprzednim szczycie, odbywającym się w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, wskoczyła na scenę w czasie przemówienia sułtana tego kraju z transparentem przeciwko ropie naftowej. Po krótkiej chwili, gdy już się nakrzyżczała, została delikatnie zgarnięta przez ochroniarzy i zatrzymana na całe pół godziny, czym nie omieszkala się pochwalić publicznie. Nieco męczeństwa zawsze się przyda do budowania wizerunku. Oczywiście tylko najbardziej wzmoczeni aktywiści uwierzyli, że ochroniarze tak po prostu pozwolili ko-



Szczyt klimatyczny w Baku, 12 listopada 2024 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE COP29

Ostatni szczyt?



Robert Bogdański

Coraz jaśniej widoczny będzie na świecie bezsens organizowania szczytów klimatycznych

musz wejść na scenę w trakcie wystąpienia swojego sułtana. Wolno sądzić, że raczej dowieźli limuzyną, a potem podsadzili ją, żeby się przypadkiem nie potłukła. Dzięki temu sułtan mógł pochwalić jej entuzjazm i pokazać światu, że nie jest prawdą, jak powiadają złe języki, że w jego kraju nie wolno protestować, zwłaszcza kobietom.

W tym roku menedżerowie prowadzący biuro (sic!) panny Licypryi uznali, że szkoda czasu pokazywać się w Baku, kiedy lepsza ekspozycja medialna będzie w Rio. Można sobie wyobrazić, z jakim entuzjazmem panowie Joe Biden czy Olaf Scholz będą słuchali sympatycznej śniadziej dziewczynki, kiwając głowami i odpoczywając od tych strasznych problemów, którymi dręczy ich wielka polityka.

A panna Licyprya musi być naprawdę dobra, skoro – jak podano oficjalnie – będzie jedyną młodą aktywistką dopuszczoną do głosu w czasie obrad. Minęły już bowiem dawno czasy, gdy aktywiści musieli mylić pogonie i wskakiwać na scenę nielegalnie. Teraz zaprasza się ich oficjalnie, rzecz jasna – po starannej selekcji.

PIENIĘDZY CORAZ MNIEJ

Baku tymczasem musiało się zadowolić innym importem z Indii, panem Sadh-

guru, pięknym jowialnie wyglądającym joginem z długą siwą brodą, mówiącym zresztą doskonale po angielsku, który kroczył godnie po korytarzach, budząc entuzjazm młodszych i starszych kobiet i załatwiając kontrakty dla swojej fundacji, która nie zajmuje się całą planetą, ale dość skromnie ratuje ziemię uprawną przed degradacją. To bardzo rozsądne w dobie powszechnych kontrowersji, które budzą kwestie klimatyczne. Po co wdawać się w polemiki dotyczące elektryfikacji planety, skoro można po prostu ratować uprawną ziemię przed degradacją, oczywiście pobierając za to odpowiednią prowizję.

Decyzja pana Guru wydaje się tym rozsądniejsza, że pieniędzy na ratowanie planety jest raczej mniej niż więcej i trzeba się dobrze ustawić, aby się podłączyć. Przed 15 laty entuzjastycznie nastawieni delegaci na COP uchwalili, że kraje bogate utworzą fundusz w rocznej wysokości 100 mld dol. i dzięki temu kraje biedniejsze będą miały z czego czerpać na transformację swojej energetyki. Od tego czasu do mitycznej kwoty 100 mld wracano co roku, co roku entuzjastycznie zapewniano, że tylko to może nas wszystkich uratować i pieniądze pojawiają się już zaraz, ale – jak przychodziło co do



czego – wpłaty na fundusz były dalekie od oczekiwań, a potem pojawiał się problem, który znamy już z czasów realnego socjalizmu: Jak dzielić? Jedyne pieniądze, które się materializowały, to była zwykła pomoc rozwojowa udzielana pod inną nazwą, nigdy zresztą nie sięgnęła ona w ciągu roku aż 100 mld.

Doszło do tego, że pewien klimatyczny think tank z Maroka o nazwie IMAL Initiative opublikował latem tego roku specjalny raport poświęcony „Odbudowie zaufania po 100 miliardach”. W ten sposób składane wielokrotnie obietnice finansowe stały się – jak widać – powodem traumy potencjalnych biorców, do których nie dotarły pieniądze. Co oczywiście nie znaczy, że stracili oni rezon: w tym samym raporcie oceniono, że do roku 2030 kraje bogate powinny wpłacać przynajmniej bilion dolarów rocznie, aby kraje nierozwinięte mogły osiągnąć założone cele klimatyczne. Same Indie, które notabene nie znajdują się na ONZ-owskiej liście krajów najmniej rozwiniętych, ale do pomocy aspirują zawiadomiły, że tylko one potrzebują rocznie tych 100 mld.

Realne chęci i możliwości Zachodu do finansowania transformacji energetycznej krajów Globalnego Południa najlepiej sprawdzić na przykładzie utworzonego w tym roku funduszu odszkodowawczego. Był o to wielki spór rok temu, bo pomysł, że za powódź w Pakistanie odpowiadają prawnie kraje zachodnie i dlatego powinny one utworzyć fundusz na wypłatę „reparacji klimatycznych”, był jednak dość karkołomny i wielu nawet przekonanych klimatystów nie chciało się na to zgodzić, ale w końcu fundusz powstał i został afiliowany przy Banku Światowym.

Otóż dotychczasowe deklaracje wpłat na ten fundusz (bo nie realne wpłaty) opiewają na nieco ponad 700 mln dol.

Najwięcej, po 100 mln, zadeklarowały Francja, Niemcy, Włochy i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Stany Zjednoczone rządzone przez szczodrego dla klimatu Joe Bidena zapowiedziały 17,5 mln. Być może wpłaty dojdą do miliarda, może półtora, ale o żadnym bilionie nie ma mowy. Bogaty Zachód stoi przed koniecznością forsownych zbrojeń i zastanawia się, skąd wziąć pieniądze na własną transformację energetyczną. Jest to wyraźnie widoczne zwłaszcza w odniesieniu do Europy, bo jest więcej niż pewne, że administracja Trumpa zmusi ją do samodzielnego regulowania rachunków za bezpieczeństwo militarne i za pomoc Ukrainie.

Największe gospodarki europejskie, jak francuska, hiszpańska czy włoska, są poważnie zadłużone, a gospodarkę niemiecką czeka to samo, bo koalicja rządowa Scholza rozpadła się właśnie z tego powodu: liberałowie nie chcieli się zgodzić na odblokowanie wbudowanego w konstytucję hamulca długu publicznego. CDU, które zapewne będzie kierowało następnym rządem, raczej się na to zgodzi, zresztą jeżeli się nie zgodzi, nie będzie miało skąd wziąć pieniędzy na zbrojenia, socjał i – o horrorze! – na Green Deal.

Tymczasem w Europie pojawiają się głosy, na razie nieśmiałe i pochodzące z mniejszych krajów, że tempo tej transformacji jest zdecydowanie za wysokie: premier Czech Petr Fiala powiedział w Baku, że należy się zgodzić na osiągnięcie celów realistycznych, bo w przeszłości zbyt wiele było celów ambitnych, których nie udawało się osiągnąć, a realizm jest istotniejszy niż „bombastyczne deklaracje”. Podobnie wypowiedział się prezydent Cypru.

ZNAK ZMIANY?

Jak zwykle najlepiej na trendy reaguje wielki biznes. W połowie trwania COP29 ukazały się informacje, że wielkie koncerny energetyczne BP, Shell i Equinor zmniejszają swoje zaangażowanie w energię odnawialną, a Shell wręcz chce sprzedać swoje operacje wiatrowe i solarne, szuka także kupca na firmę zajmującą się odzyskiwaniem CO₂ z atmosfery. Znak zmiany?

To oczywiście nie jest ostatni szczyt COP i jestem przekonany, że czytelnicy

SPOTKANIE W BAKU

nie wzięli tego tytułu dosłownie. Będzie ich jeszcze wiele, bo wszelkie biurowe pomysły są trwałe i zawsze znajdują się pieniądze na kontynuację wszelkich zjazdów, konferencji, opracowań i memorandumów. Poza tym w ciągu ostatnich 30 lat od pierwszego szczytu klimatycznego w Rio rozwinął się w świecie poważny biznes klimatyczny. Jego uczestnikami są tak zabawne podmioty, jak panna Licyprya ze swoim biurem czy pan Guru ze swoją fundacją, a także gracze o wiele więksi i poważniejsi, jak firmy finansowe i konsultingowe oferujące „inkluzywne finansowanie” projektów klimatycznych. Można sobie wyobrazić wysokość inkluzywnych prowizji od takich projektów. Uczestnikami są także instytucje rządowe krajów nierozwiniętych, które – tak się dziwnie składa – jakoś nie słyną z walki z korupcją i słowo „prowizja” też jest tam mile widziane. Patronem tego układu jest Organizacja Narodów Zjednoczonych, która zawsze chętnie dostarczy wielkich słów, a jej racja istnienia nie polega na tym, aby problemy były rozwiązywane, tylko by je nieustannie rozwiązywać.

**Na obrady do Baku nie
przyjechała Greta Thunberg.
Nie pojawiła się tam
nawet 13-letnia
gwiazda aktywizmu z Indii**

W najbliższym czasie można się spodziewać wycofania finansowego poparcia Stanów Zjednoczonych dla światowej transformacji energetycznej i dla ONZ. Jednocześnie Unia Europejska będzie miała poważne trudności z ogarnięciem wszystkich finansowych wyzwań. Dlatego pieniędzy na osiągnięcie tzw. ambitnych celów klimatycznych będzie mniej. Coraz jaśniej będzie także widoczny bezsens tych zgromadzeń. Więc pewnie za kilkanaście lat na szczycie COP45 sędziwy Al Gore, wzywając do wypełnienia złożonego przed laty zobowiązania przeznaczenia 100 mld dol. rocznie na osiągnięcie zerowej emisji, westchnie w kuluarach: „Nie takie to szczyty drzewiej były...”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

JACEK PRZYBYLSKI: Z opublikowanego w tym roku badania firmy Deloitte wynika, że smartfony ma już 97 proc. Polaków. Jakie smartfony lubią Polacy według waszych badań? I czy jest coś, co nas w tej kwestii wyróżnia na tle innych nacji?

AGNIESZKA FRĄCKOWIAK: Podobnie jak użytkownicy Europy Zachodniej coraz bardziej lubimy konkretne marki. Ale szukamy czegoś więcej niż tylko brandu. Cenimy nowoczesne technologie, jakość oraz produkty ładne, które wyróżniają się dopracowanym designem.

W naszym przypadku najlepszym dowodem na to są świetne wyniki sprzedażowe serii, które były tworzone przez osoby znane wcześniej z projektowania luksusowych zegarków. Doceniamy też te produkty, które mają najlepszy stosunek jakości do ceny.

Przed przyjściem do realme pracowała pani dla LG. Jak te wymagania Polaków wobec smartfonów zmieniały się na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat?

Tak. Rzeczywiście był taki moment, kiedy dla polskiego konsumenta kluczowa była cena smartfona. Wówczas mieliśmy bardziej ograniczony budżet, więc kupowało się to, co po prostu dzwoniło. Dziś jest zupełnie inaczej.

Z przeprowadzonych przez naszą markę badań w różnych krajach wynika, że choć Polacy nadal lubią smartfony budżetowe, to nie mogą być one tylko tanie, ale muszą mieć w sobie to coś. Poszukiwane są produkty o wiele bardziej zaawansowane technologicznie. Polubiliśmy OLED-owe wyświetlacze, które powoli stają się oczekiwanym standardem, a także bardzo pojemne baterie. Z naszych badań wynika, że polscy konsumenci zwracają dużą uwagę na baterię, szybkość ładowania i wydajność energetyczną smartfona. I myślimy o tym, nie tylko wybierając nowy model telefonu. To, że ładowanie staje się coraz dłuższe lub że bateria nie wytrzyma już całego dnia, stanowi jedną z głównych motywacji do zakupu nowego telefonu.

Mamy też obecnie do dyspozycji dużo bardziej wydajne procesory i nowoczesne technologie. Dobrym przykładem jest choćby 5G. Kiedyś technologia ta kojarzyła się z czymś droгим i była dostępna tylko w telefonach za ponad 2 tys. zł. Dzisiaj 5G jest już w bardzo wie-



Z Agnieszką Frąckowiak, dyrektorem sprzedaży w Polsce chińskiej marki realme rozmawia Jacek Przybylski

To będzie rok mobilnej fotografii i sztucznej inteligencji

FOT. MATERIAŁY PRACOWNE



lu modelach, także z półki budżetowej, i stało się synonimem po prostu szybszego Internetu.

Według badania Deloitte co drugi polski użytkownik smartfona posiada urządzenie w technologii 5G. Inni nie mają, bo narzekają na wysokie ceny telefonów z tą technologią.

Tę technologię zaczęli promować operatorzy, którzy przy tej okazji sprzedają też nowe usługi. Początkowo modele z 5G kosztowały bardzo dużo. Dziś obserwujemy, że polscy klienci chcieliby telefony z modułem 5G, ale nie mają zamiaru do niego dopłacać. Telefony z tą technologią stały się więc tak bardzo rozpowszechnione, że 5G ma już 80 proc. portfolio naszej marki. Innymi słowy: technologia 5G jest już nawet w tych produktach realme, które kosztują poniżej tysiąca złotych.

Smartfony stały się wyjątkowo wydajne, mają ogromne baterie, potrafią robić świetne zdjęcia i są tak bardzo odporne na wodę, że można je wziąć na basen. Na jakim polu producenci będą walczyć o klientów w 2025 r.?

To będzie bardzo ciekawy rok. Jeszcze bardziej zwiększy się wydajność procesorów używanych w smartfonach, co ucieszy nie tylko graczy czy twórców cyfrowych treści. Niezmiennie bardzo ważne będą też możliwości fotograficzne telefonów; realme może się tu pochwalić seriami, które robią fantastyczne zdjęcia, takimi jak numeryczna 12 Pro oraz GT. Nowy flagowiec realme GT 7 Pro, który w tym tygodniu zadebiutuje w Polsce, to produkt, który robi superfotografie, porównywalne z możliwościami najlepszych i najdroższych flagowców.

Niezmiennie istotna będzie też sztuczna inteligencja (AI). Dotyka już ona niemal każdego obszaru naszego życia i coraz większymi krokami wkracza również do smartfonów. Mówimy o bardzo przydatnych funkcjonalnościach, które są obecne w różnych modelach już w roku obecnym, ale to dopiero przedsmak tego, co zobaczymy, zwłaszcza że jako producenci doskonale wiemy, iż klienci coraz częściej pytają sprzedawców właśnie o AI.

Jednocześnie z badania CBOS z września obecnego roku wynika, że aż 38 proc. Polaków dostrzega w rozwoju sztucznej inteligencji (AI) więcej

zagrożeń niż korzyści. Czy można mieć pewność, że algorytmy używane w smartfonach zapewniają prywatność danych?

Ze sztuczną inteligencją jest podobnie jak z każdą nową technologią. Niedługo obawialiśmy się przecież przechowywania zdjęć w cyfrowych chmurach, a dziś większość użytkowników wie, jak te chmury działają, jak mogą im pomóc w codziennym życiu i jak bezpiecznie z nich korzystać.

W przypadku algorytmów sztucznej inteligencji przywiązujemy jako realme ogromną wagę do bezpieczeństwa użytkowników. Jako firma działająca na skalę globalną przechodzimy rygor-

Polacy zwracają dużą uwagę na baterię, szybkość ładowania i wydajność energetyczną smartfona

styczne testy, które są dowodem na to, że zapewniamy naszym użytkownikom prywatność na najwyższym światowym poziomie.

To bezpieczeństwo sprawia, że możemy się skupić na tym, jak AI może pomóc naszym użytkownikom w wykonywaniu codziennych zadań. W naszym modelu pojawi się funkcja, która sprawi, że zdjęcia są ultrawyraziste. Ułatwi też błyskawiczną obróbkę zdjęć, dzięki czemu łatwo usunąć ze zdjęcia niechciane przedmioty lub osoby. Możemy też dzięki AI do fotografii dodać niektóre elementy, co może być przydatne np. w pracy.

Sztuczna inteligencja potrafi też przyspieszyć nasze działania. Na przykład jeśli przeglądając Internet, skopiujemy fragment tekstu, to gdy przesuniemy zaznaczony fragment, odpowiedni algorytm natychmiast zapyta, czy dodać ten fragment do notatki czy znaleźć zaznaczoną nazwę na mapie.

Firma realme w tym roku wprowadziła na rynek dwa modele określane mianem „zabójcy flagowców”. Tak szybka premiera GT 7 Pro to znak, że GT 6 sprzedaje się gorzej, niż prognozowano?

GT 6 nadal jest w sprzedaży i pozostanie w niej w pierwszym

kwartale przyszłego roku. Cieszymy się jednak, że GT 7 Pro już w listopadzie ma swoją premierę w Polsce, ponieważ długo nie wiedzieliśmy, czy uda nam się go wprowadzić na rynek jeszcze w tym roku. Jesteśmy pierwszym w Europie producentem, którzy zaoferuje telefon z najmocniejszym obecnie procesorem, czyli Snapdragonem 8 Elite. Jeden z głównych konkurentów wprowadzi nowe modele z tym procesorem dopiero na początku 2025 r.

Wasza marka podbiła wiele rynków, oferując smartfony stosunkowo tanie, a jednocześnie przyzwoitej jakości. GT 6 był już jednak dość drogi, a GT 7 Pro ma być pierwszym produktem wycenionym na równowartość ponad tysiąca euro. Czy Polacy, którym z prestiżowymi markami kojarzą się produkty takich marek jak Samsung czy Apple, będą skłonni wydać kilka tysięcy na chiński smartfon?

Czas pokaże. GT 7 Pro to jeden z najlepszych na rynku smartfonów premium, który może już konkurować z tak świetnymi modelami jak iPhone 16 Pro Max czy Samsung S24. Nadal jest jednak istotnie tańszy niż flagowce innych marek. Utrzymujemy więc świetny stosunek ceny do jakości i możliwości, a jednocześnie wchodzimy do najwyższej półki, osiągając rewelacyjne wyniki w wielu testach i oferując np. tryb podwodnej fotografii.

Na rynek nowoczesnych technologii wpływ ma też geopolityka. Przed laty bardzo boleśnie przekonał się o tym Huawei. Czy po zwycięstwie Donalda Trumpa polscy klienci chińskich marek mogą mieć powody do obaw, że USA nałożą podobne sankcje na innych producentów i że utracą dostęp do aktualizacji Androida czy w ogóle do usług Google? I czy Polacy mogą mieć pewność, że używając chińskich smartfonów, nie przekazują nieświadomie swoich danych chińskim władzom?

Monitorujemy zmiany geopolityczne i nie widzimy obecnie powodów do obaw. Działamy w oparciu o globalny ekosystem i współpracujemy z różnymi firmami technologicznymi, w tym również z tymi z USA. Na pokładzie mamy Androida i usługi Google. Przy wprowadzeniu każdego nowego produktu na rynek musimy też przechodzić odpowiednie testy. Nasi klienci mogą więc czuć się pewnie i bezpiecznie.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

A gdzie Partia Wrogów ZŁ?

Zarówno Lewica, jak i Koalicja Obywatelska, czyli Platforma z przystawkami, chcą pełnego – w 100 proc. – zrealizowania całego Zielonego Ładu, czyli najpierw ETS1, a potem ETS2 – do imentu i bez względu na wprost trudne do wyobrażenia, bo tak gigantyczne koszty dla Polaków i Polski. Innymi słowy: to jedna wielka Partia Przyjaciół Zielonego Ładu.

Dla odmiany PiS udaje, że zarówno ETS1, jak i ETS2 nie chce, po czym, gdy przychodzi co do czego, czyli do rządzenia Polską, to co prawda raz po raz publicznie kręcąc nosem, zdyscyplinowanie wdraża jedno postanowienie ETS1 po drugim i na dokładkę ochoczo podpisuje na Polaków – w ramach szykowanego ETS2 – kolejne „kamienie milowe”, czyli kamienie u szyi wszystkich Polaków posiadających domy i mieszkania, wszystkich Polaków jeżdżących autami spalinyowymi, a nawet wszystkich Polaków po prostu lubiących jeść mięso – więc naprawdę na niemal wszystkich, co do jednego, Polaków. Podobnie jak PSL, który też wprowadza ETS za ETS-em do Polski, ale się przy tym „nie cieszy” i tego, że się „nie cieszy”, demonstracyjnie nie ukrywa.

I tylko jedna Konfederacja z całą mocą odzignuje się od Zielonego Ładu. Ale, po prawdzie, czy coś dobrego z tego dla nas wynika? Czy Konfederacja pokazała, że ma plan – realny plan, a więc taki, który da się zrealizować – na uwolnienie Polaków od ETS1

i ETS2? Otóż nie wydaje się, by go miała, bo gdyby miała, to by się nim pochwalała.

Jaki z tego płynie wniosek? Otóż taki, że w Polsce – którą Zielony Ład, czyli ETS1 i ETS2 już doświadcza jak żadne inne państwo w UE i którą przeorze do samego spodu, miliony polskich rodzin już wkrótce doprowadzając do ruiny – nie ma nie tylko ani jednej liczącej się w walce o władzę, lecz także po prostu ani jednej jako tako rozpoznawalnej partii, która miałaby dobrze prze-myślany i przy tym realny pomysł na wypłatanie Polski i Polaków z wnyków Zielonego Ładu, w które wpadliśmy, obawiam się, z kretesem.

Czyli nie ma Polskiej Partii Wrogów Zielonego Ładu, która uwolnienie nas ETS1 i ETS2 miałaby dobrze przemyślane. I precyzyjnie wyliczone np. to, jak wypłatu-jąc nas z niego, zbilansować budżet państwa po odcięciu go od diabelskiej „zielonej kropłówki”, czyli pieniędzy płynących doń z szatańskiego „handlu”, „uprawnieniami do emisji CO₂”.

A jeśliby już jednak jakaś Polska Partia Wrogów Zielonego Ładu w końcu się w Polsce znalazła, to po niedawnym skompromitowaniu przez ekipę Morawieckiego określenia Polski Ład – po tzw. Polskim Ładzie – trudno jej będzie znaleźć nawet dobrą nazwę dla Ładu, który mógłby i powinien, i to jak najszybciej, zastąpić w Polsce tzw. unijny Zielony Ład. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Piękna wizja

Wyobraźmy sobie, że nadchodzi rok 2027 – moment uruchomienia systemu ETS2, czyli handlu emisjami, który obejmie cały transport i ogrzewanie budynków. Który będzie oznaczał radykalny wzrost inflacji i zubożenie Polaków. Ten moment nadchodzi i – nic się nie dzieje, ponieważ polski rząd nie wdrożył do polskiego prawa odpowiednich przepisów oraz zapowiedział, że tego nie zrobi, jako że ETS2 to dla Polaków olbrzymie koszty, które nie mają żadnego uzasadnienia.

Skoordynowany bunt rządów przeciw polityce unijnej to byłoby coś nowego

W Brukseli konsternacja. Komisja Europejska kieruje oczywiście przeciwko Polsce pozew do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Ale identyczną decyzję ogłaszają jednocześnie Bratysława i Budapeszt. Chwilę potem dołączają Włochy, za moment taką samą deklaracją komentatorów zaskakuje prawicowy rząd Szwecji. Zaczyna się efekt domina. W KE nie nadają się z pisanem wniosków do TSUE. Ale ile państw można ukarać nałożeniem na nie

kar? W dodatku potencjalni ukarani zapowiadają, że w odwecie przestaną regulować swoje zobowiązania wobec UE. Polska i tak staje się płatnikiem netto, więc oznacza to dla nas właściwie korzyść.

Political fiction? Przy obecnym polskim rządzie z pewnością. I przy rządzie opozycyjnym, gdyby na jego czele stanął taki, dajmy na to, Mateusz Morawiecki. Czy jednak to sytuacja kompletnie niemożliwa do wyobrażenia? Bynajmniej. UE ostatecznie działa zawsze na zasadzie rywalizacji siły. Opisanego scenariusza struktury unijnej nie przewidziały. Skoordynowany bunt rządów, poddanych presji własnych obywateli, przeciwko już teoretycznie ustalonej polityce unijnej – to byłoby coś nowego, wobec czego mechanizmy UE mogłyby się okazać bezsilne.

Problemem jest oczywiście finansowe i instytucjonalne uwikłanie państw oraz polityków. A może i zwykły brak osobistej odwagi przywódców – trzeba by zmultiplikować Viktora Orbána i Roberta Ficę. Jednak – powtórzmy – nie jest to scenariusz niemożliwy. Jeśli nie w 2027 r., to być może chwilę później, kiedy absurdalna, szkodliwa, antywolnościowa, złodziejska polityka klimatyczna UE zacznie bujać rządami krajów członkowskich w stopniu dotąd niewidzianym. Trzymam za to ciuki. ©©

Jesienne hity w sklepie Republiki!



Otwórz i zamknij parasol
jednym kliknięciem!

**PARASOL AUTOMATYCZNY
Z LOGIEM REPUBLIKI**



KSIĄŻKA Z AUTOGRAFEM
RAFAŁ ZIEMKIEWICZ „CZAS BEZPRAWIA”



Od S do 3XL

**KOSZULKA POLO
REPUBLIKA - BIAŁA**



**KUBEK BIAŁY MAT 380ML
Z NAPISEM REPUBLIKA**



Od S do 3XL

**KOSZULKA POLO
REPUBLIKA - GRANATOWA**



KUBEK REPUBLIKA RETRO - 280 ML

ZAMÓW NA:
sklep.tvrepublika.pl



lub telefonicznie
22 280 99 39 wew. 4





Joanna Bojańczyk

Skończyła 90 lat. W długim życiu była zbuntowaną panienką z dobrego domu, aktorką amatorką, globalną seksbombą, aktywistką polityczną. Od lat żyje osamotniona i otoczona zwierzętami. „Dla mnie każdy dzień jest taki sam”

Dwadzieścia jeden lat, 45 filmów i 70 piosenek, których dziś nikt nie pamięta. Krótka była kariera tej „dziewczynki z dobrego domu”, urodzonej 28 września 1934 r. w katolickiej rodzinie wielkiej burżuazji. Ojciec, inżynier i przemysłowiec, w wolnych chwilach pisał wiersze, nie całkiem amatorskie, skoro jeden z tomików został nagrodzony przez Académie Française, najwyższą instancję literatury we Francji. Matka, pochodząca z zamożnej rodziny właścicieli firmy ubezpieczeniowej, spędzała wiele czasu we Włoszech. Dziadkowie Brigitte mieli własną łóż w La Scali.

W czasie wojny Brigitte jest posyłana do prywatnych szkół, chodzi na lekcje tańca i muzyki. Rodzina mieszka w eleganckiej 16. dzielnicy Paryża. Jednak nauka nie jest przeznaczeniem dziewczyny; zmienia szkoły, zapisuje się do Konserwatorium, ale tam wytrzymuje krótko.

Zamiast tego zapisuje się na kurs do Borisa Kniazeffa, byłego tancerza i choreografa Théâtre des Champs-Élysées i Ballets Russes. Kniazeff prowadzi zajęcia z kijem w dłoni i bije uczniów, gdy nie jest zadowolony z ruchu. „Bichette” jest pełna wdzięku, ale słabo umięśniona, powolna i delikatna.

W 1948 r. Anne-Marie Bardot przekazuje fotografa Jeana Bartheta, aby córka wzięła udział w pokazie kapeluszy jako modelka. Po tym pokazie zostaje zaangażowana jako młodsza modelka w domu mody Virginie Jeune Fille. Zostaje też twarzą perfum Ma Griffe de Carven. Ale żeby zdjęcie 15-latkę ukazało się na okładce „Le Jardin des modes”, musi zgodzić się matka. Państwo Bardot obawiają się, że „Bichette” będzie przebywać w „złym środowisku”. Zwołano naradę rodzinną: dziecko może pozować pod

Bardot

naturalnych rozmiarów



FOT. ALAN BERNARDIS/GAMMA-RAPHO/GETTY IMAGES

warunkiem, że nie otrzyma wynagrodzenia i że nigdzie nie pojawi się jej nazwisko. Tak urodziły się inicjały BB.

Dalej idzie szybko: okładki w „Elle”, któremu dyktuje Hélène Lazareff, przyjaciółka matki. Pierwsza, w numerze poświęconym młodym dziewczynom i ich matkom, zatytułowanym „Twoi rodzice i ty”, druga – rok później. Ta druga przedstawia ciemnowłosą dziewczynę uczesaną w kok z filizanką herbaty w dłoni.

Reżyser Marc Allégret jest urzeczony tajemniczą osobą i poleca asystentowi Rogerowi Vadimowi odszukać ją i zaprosić na spotkanie. Bardot napisze w pamiętnikach: „Ta druga okładka uruchomiła przeznaczenie”. Rodzice początkowo protestują: Nastolatka ma zostać aktorką? Nie ma mowy. Tylko dziadek ze strony matki wspiera plan: „Jeśli ta dziewczynka ma zostać dziwką, to będzie nią i bez kina. Jeśli ma nie być, to kino jej nie zmieni! Dajmy jej szansę”.

O pierwszym spotkaniu z Vadimem Brigitte Bardot opowiadała po latach: „Nigdy nie spotkałam tak przystojnego mężczyzny. Oczywiście nie przyszło mi do głowy, że pewnego dnia go poślubię”. Vadim ze swojej strony: „Nie miała jeszcze 15 lat. Ale miała taką swobodę, jakby przez całe życie spotykała reżyserów. Pomyślałem, że ten sposób zachowania to królewska osobowość”.

Z filmu nic nie wyszło, ale znajomość Vadima i Brigitte trwała. Brigitte opuszcza szkołę, żeby się z nim spotykać, gdy rodzice, przeciwni związkowi, postanawiają wysłać córkę do szkoły w Anglii na pięć lat. Kiedy zdesperowana dziewczyna próbuje popełnić samobójstwo, poddają się, zaznaczając, że nie ma mowy o ślubie, zanim córka nie skończy 18 lat. Ostatecznie para weźmie ślub w kościele eleganckiej dzielnicy Paryża Passy w grudniu 1952 r., trzy miesiące po 18. urodzinach narzeczonej. Małżeństwo przetrwa tylko kilka lat.

Pojawiają się pierwsze propozycje filmowe. Bardot bierze je dla pieniędzy. Jej gra jest drewniana, filmy nieistotne. Przełomem jest „I Bóg stworzył kobietę”, rok 1956. Jeszcze przed wejściem filmu na ekrany Bardot zostaje przedstawiona królowej Elżbiecie II. Jednak premiera, 28 listopada 1956 r., jest rozczarowaniem. Nawet prowokujące plakaty z napisami: „Bóg stworzył kobietę... i diabeł wymyślił BB” nie przyciągają tłumów. „Brigitte Bardot ma figurę pokojówki i sposób mówienia analfabetki” – mówią krytycy. Filmu bronią luminarze Nowej Fali: Claude Chabrol, François Truffaut i Jean-Luc Godard. Finansowo film to kłapa – nie zwraca się nawet koszt produkcji. Dopiero sukces w Stanach Zjednoczonych ratuje sytuację. W purytańskiej Ameryce Brigitte Bardot odbywa triumfalny obchód seksbomby po mediach. Podobnie jest w Anglii i w Niemczech. Gdy film ukaże się ponownie na ekranach francuskich, odnosi niespodziewany sukces. „Seksapil to Marlene Dietrich, glamour to Ava Gardner, Marilyn Monroe. Brigitte Bardot miesza te wybuchowe składniki, dodaje szczypty osobistej fantazji” – pisał magazyn filmowy „Cineaste”.

DOBRE I ZŁE RZECZY

Propozycje zaczynają się sypać, honoria rosną. Lata 60. to czas entuzjastycznych tłumów fanów, fotografów śledzących każ-

dy krok. Mimo tego Bardot wciąż nie czuje się pewnie na planie, świadoma, że brak jej warsztatu. Wpada w panikę, gdy ma zagrać z zawodowymi aktorami. Jednak publiczność błędów nie dostrzega. Wystarczy jej obecność. Bardot staje się ikoną mody.

Po rozpadzie małżeństwa z Vadimem Bardot poślubia aktora Jacques’a Charriera poznanego na planie „Babette idzie na wojnę”. Gdy z tego związku rodzi się syn Nicolas, aktorka poszukując spokoju, kupuje posiadłość La Madrague w Saint-Tropez. To daje szansę na odrobinę samotności. Aby uniknąć napastliwych paparazzich, w ramach wyjątku gmina kurortu pozwala na wybudowanie muru przy plaży.

Są i nieprzyjemne rzeczy. Pogrożki, szantaż i żądanie okupu ze strony organizacji terrorystycznej OAS, walczącej o niepodległość Algierii. Protesty w Szwajcarii podczas zdjęć do filmu Louisa Malle’a „Życie prywatne”, opartego częściowo na życiu samej Bardot. Wyzwiska, rzucanie przedmiotami, groźby... Jej dom musi być strzeżony całą dobę. Gdy aktorka publikuje list otwarty w sprawie szantażu OAS, angielski „Times” gratuluje jej nieugiętej postawy wobec gróźb. Lewicowa „Libération” chwali: „BBB Bravo Brigitte Bardot”. Bardot staje się nagle osobistością polityczną.

„Pogarda” Jeana-Luca Godarda, adaptacja powieści Alberta Moravii, to kultowy film Nowej Fali i ostatni ambitny sukces Bardot. „To, do czego Vadim dążył w swoim pierwszym filmie, ale nie był w stanie tego osiągnąć, to, czego w „Życiu prywatnym” nie udało się Louisowi Malle’owi, udało się Godardowi. „Le Mépris” to film Bardot. Jest to film o kobiecie takiej, którą ucieleśnia Bardot” – napisał dziennik „Le Monde”.

SPRAWY LUDZI I ZWIERZĄT

„Piękno to coś, co może uwodzić przez chwilę. To może być chwila uwodzenia. Ale inteligencja, głębia, talent, czułość są o wiele ważniejsze i trwają znacznie dłużej”.

Brigitte Bardot rozstała się z kinem w wieku 43 lat. Dzisiaj siódma sztuka jest dla niej tylko nostalgicznym obrazem zatartym w pamięci. Tym, co zajmuje ją naprawdę, jest sprawa zwierząt. To sposób na ucieczkę od społeczeństwa. „Uciekam od ludzi i kocham moją samotność”. Przez całe życie BB prowadziła swoją krucjatę w obronie zwierząt. Poszła z tym do wszystkich prezydentów. „Chirac obiecał

najwięcej, ale niczego nie dotrzymał”. Pod rządami de Gaulle’a Bardot walczyła o wprowadzenie do rzeźni tzw. broni rzeźnej, urządzenia zapobiegającego cierpieniom związanym z upuszczaniem krwi. Na spotkanie z ministrem spraw wewnętrznych Rogerem Freyem pojawiła się uzbrojona w pistolety. Służby bezpieczeństwa ministerstwa uznały, że aktywistka chce zamordować ministra, i odebrały jej broń. Rogera Freya jednak udało się przekonać i w 1972 r. we wszystkich zatwierdzonych rzeźniach wprowadzono obowiązek używania pistoletu do uboju dużych zwierząt gospodarskich.

Ze wszystkich prezydentów najbardziej pomógł Valéry Giscard d’Estaing. W 1976 r. aktorka próbowała położyć kres polowaniu na białe fartuchy – małe fok. „Giscard się z nami zgodził. Zakazał importu skór foczych. Ratowanie małych fok było ostatecznie jedyną wielką walką, którą wygrałam po 30 latach zaciętej wojny. W 2009 r. Parlament Europejski ostatecznie głosował za zakazem stosowania w Unii Europejskiej wszystkich produktów z fok, poczynawszy od skór” – mówiła BB. Walka o wykorzystywanie makaków w przemyśle motoryzacyjnym do testów zderzeniowych samochodów także zakończyła się sukcesem. Udało się zakazać importu kości słoniowej do Francji.

Najwięcej słów krytyki ma Bardot dla Emmanuela Macrona. W 2018 r., kiedy prowadziła walkę ze zwyczajem jedzenia końskiego mięsa, rozmawiała o tym z Macronem. „Wydawał się zaskoczony, a nawet oburzony: »Co? Czy we Francji nadal jemy konie?«. Nie wiedział, że w naszym kraju zabija się 5 tys. koni, żeby je zjeść”. „Oczywiście nic nie zrobił”.

W roku 1996 Brigitte Bardot opublikowała wspomnienia „Inicjały B.B.”. Wspomina w nich dzieciństwo i cały okres, gdy była gwiazdą. Książkę przetłumaczono na 23 języki, sprzedała się w ponad milionie egzemplarzy. Jednak i tu wywiązał się skandal. Były mąż, Jacques Charrier, pozwął Bardot za „naruszenie życia prywatnego”, potem syn Nicolas zaprotestował za „naruszenie prywatności”, „intymności wewnątrzmacicznej”. Bardot odpowiedziała na to w krótkim filmie dokumentalnym: „To smutne, bo mam go jednego. W dorosłości dobrze się odnaleźliśmy. Jego ojciec go w to wciągnął. Teraz już nie chcę o tym mówić”.



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Nagrobek Rocha...

W Warszawie, niemal w samym centrum Pragi, przy zbiegu ulic Jagiellońskiej i Ratuszowej, znajduje się kościół pw. Matki Boskiej Loretańskiej, a przy nim kamień z napisem, iż tu spoczywa Roch Kowalski, bohater Sienkiewicza „Potopu”, który poległ w bitwie ze Szwedami o Warszawę 29 lipca 1656 r. W „Trylogii” to postać zarówno bohaterska, jak i komiczna. Miał on jednak swój pierwowzór historyczny, którym byli: Jakub Kowalewski, Konstanty Odachowski lub Wojciech Lipski, w zależności od tego, którego pamiętnikarza wspomnienia czytamy.

W lipcu 1656 r. pod Warszawą, na terenach obecnego Bródna, Żerania i Białoleki, doszło do ogromnej bitwy odbudowanej z trudem armii koronnej i litewskiej

z połączonymi siłami szwedzko-brandenburskimi. Polakami i Litwinami dowodził król Jan Kazimierz, a stroną przeciwną Karol X Gustaw; zamierzał odbić Warszawę i odzyskać kontrolę nad

częścią ziem Korony, która podlegała się do powstania przeciwko najeźdźcom. Z kolei nasz władca chciał wreszcie pokonać przeciwników w jednej wielkiej bitwie.

Walka zaczęła się od ataku Szwedów na szańce i umocnienia polskie na południe od ówczesnej wsi Żerań, który został odparty z dużymi stratami. Widząc, że pozycja przeciwnika jest bardzo silna, 29 lipca sprzymierzeni postanowili całkowicie zmienić front, obchodząc pozycję polsko-litewskie przez Białolekę i Bródno. Po czym atakując od zachodu, zamierzając odrzucić przeciwnika aż do



FOT. DOMENICA PUBLICZNA

Wisły i całkowicie rozbić siły Jana Kazimierza. Manewr ten zaskoczył Polaków, jednak król postanowił zniszczyć wroga jednym zdecydowanym atakiem jazdy polskiej. Rzucił zatem do szarży husarię koronną i litewską pod wodzą Aleksandra Hilarego Połubińskiego. Do ataku poszło sześć chorągwi liczących w sumie ok. 800 jeźdźców – towarzyszy i pocztowych. Husaria uderzyła w sam środek lewego skrzydła sprzymierzonych, rozbijając smalandzki i uplandzki regiment rajtarii, następnie przedzierając się w głąb ugrupowania i uderzając na drugi rzut jazdy przeciwnika. Niestety, szarża husarii nie została wsparta przez chorągwie pancerne, a w dodatku dostała się pod ogień boczny pozostałych regimentów szwedzkiej rajtarii i piechoty. Wobec czego atak się załamał, a jeźdźcy poniosły dotkliwe straty w koniach, zaczęli wycofywać się na początkowe pozycje.

I właśnie podczas tej szarży jeden z towarzyszy królewskiej chorągwi husarskiej, najprawdopodobniej wspomniany Jakub Kowalewski (Kowalewski), zaszarżował na króla Szwecji Karola Gustawa, godząc go kopią husarską w pierś, tuż pod szyją. Ostrze jednak ześlizgnęło się po zbroi, którą nosił szwedzki monarcha. W tej samej chwili ktoś z jego otoczenia zastrzelił dzielnego husarza z pistoletu, mierząc mu w głowę. Czyn ten przypisywano księciu Bogusławo-

wi Radziwiłłowi. Natomiast według źródeł szwedzkich życie Karolowi Gustawowi uratował gwardzista Bengt Trafvare. Karol Gustaw doceniający odwagę polskiego husarza nakazał sprawić mu po bitwie pogrzeb. To właśnie wydarzenie wykorzystał później Henryk Sienkiewicz, czyniąc z Kowalewskiego – Kowalskiego jednego z bohaterów „Potopu”.

Czy jednak Kowalewski zginął w miejscu, gdzie dziś znajduje się jego nagrobek? Nie, gdyż dokładna analiza szyków w czasie bitwy pozwala przypuszczać, że jego szarża miała miejsce na północny zachód od tego miejsca, w okolicach wsi Bródno, być może na terenie dzisiejszego parku Bródnowskiego. Jednak sam grób bohatera zapewne znajduje się gdzieś w okolicach kościoła pw. Matki Boskiej Loretańskiej, który w czasie Bitwy Warszawskiej należał do zakonu bernardynów, a właśnie tym zakonnikom przekazał ciało naszego husarza Karol Gustaw. W okolicach głązu na pewno znajdują się groby innych uczestników starcia. Nie tylko ich zresztą, bo w 1794 r. pochowano tutaj ofiary rzezi Pragi, wymordowane przez armię moskiewską, która zdobyła miasto pod koniec insurekcji kościuszkowskiej.

Historia kościoła i konwentu zakonnego także była burzliwa. W czasach napoleońskich, w 1811 r., budowle bernardynów zostały zburzone, pozostała jedynie kaplica Loretańska, która przez długi czas służyła jako kościół parafialny dla ludności Pragi. W 1853 r. odnowiono ją i przebudowano według planów znanego architekta Alfonsa Ferdynanda Kropiwnickiego. Kolejny raz kościół odbudowywany był po drugiej wojnie światowej. ©

I RZECZYPOSPOLITA

• Warszawa

RYS. MART

AUDI SQ6 E-TRON



FOT. PAP

Duża moc (łącznie 490 KM). Imponujące przyspieszenie (od zera do setki w zaledwie 4,3 s). A do tego adaptacyjne zawieszenie pneumatyczne (to dzięki niemu komfort „żeglowania” tym samochodem jest bardzo wysoki), napęd na cztery koła i świetny układ kierowniczy, który sprawia, że auto prowadzi się, jakby było przyklejone do asfaltu. To najważniejsze cechy najmocniejszej odmiany SQ6.

Model e-tron to jeden z tych „elektryków”, które dają dużo radości z jazdy nie tylko po mieście i na trasie, lecz także po autostradzie. Po przyspieszeniu do 140 km/h nawet przy temperaturach oscylujących w okolicy zera nie trzeba bowiem drżeć, że nie dojedzie się do najbliższej stacji ładowania.

SQ6 e-tron ma bowiem 800-woltowy akumulator o pojemności 94,9 kWh oraz wysoką maksymalną moc ładowania połączoną z dość płaską krzywą ładowania, dzięki czemu moc ładowania wynosi ponad 250 kW do ok. 40 proc. i ponad 100 kW do niemal 90 proc. pojemności baterii. W praktyce oznacza to, że jeśli dobrze zaplanuje się trasę, to na uzupełnianie energii przy mocnych ładowarkach (od 10 do 80 proc.) wystarczy ok. 21 min. Według producenta 10 miIN wystarczy zaś, aby zwiększyć zasięg o 250 km. Zasięg i zużycie energii zależą oczywiście od prędkości i stylu jazdy. W mieście można bez trudu osiągnąć wynik 15 kWh/100 km, na krajówce 18 kWh/100, a na autostradzie ok. 25 kWh/100 km.

Pojemny akumulator i niewielki czas potrzebny na uzupełnienie energii sprawiają, że szybko traci się opór przed szybką jazdą na autostradzie. Szkoda jednak, że przy prędkościach przekraczających 130 km/h w kabinie robi się już jednak nieco zbyt głośno jak na tak wysokiej klasy samochód (oczywiście silnika nie słychać w ogóle, ale nieco zbyt wyraźnie słychać odgłosy drogi i powietrza).

W futurystycznej kabinie producent, który od kilku dekad reklamuje swoje samochody hasłem „Przewaga dzięki technice”, w oczy rzucają się aż trzy wyświetlacze. Wirtualny kokpit ma przekątną 11,9 cala, a centralny wyświetlacz 14,5 cala. Jest też ekran do dyspozycji pasażera (o przekątnej 10,9 cala), za pomocą którego również można obsługiwać zarówno radio, jak i nawigację. Jakby tego było mało, kierowca ma też do dyspozycji ogromny kolorowy wyświetlacz przezierny (tzw. HUD), który sprawnie wykorzystuje możliwości rozszerzonej rzeczywistości, nakładając na asfalt wszystkie niezbędne wskazówki. Kierowca wyraźnie widzi więc np., którym pasem jechać dalej czy jaka jest bezpieczna odległość do poprzedzającego auta. Aby jeszcze łatwiej było bezpiecznie to auto prowadzić, inżynierowie z Ingolstadt zamontowali wewnątrz inteligentne oświetlenie, które informuje o zagrożeniach zarówno kierowcę, jak i pasażerów.

Do dyspozycji są dwa bagażniki. Pierwszy, przedni (czyli tzw. frunk o pojemności 64 l), oraz tradycyjny tylny (526 l). Ceny tego modelu zaczynają się od 419,9 tys. zł, ale z wyposażeniem dodatkowym ostateczna kwota jest bliżej 490 tys. zł. ©

MOTOROLA RAZR 50 ULTRA

Interesujący design, dwa duże wyświetlacze pOLED wysokiej jakości, niewielka waga, przyzwoity zestaw aparatów fotograficznych, wytrzymała bateria oraz klasa odporności IPX8 – to największe zalety jednego z najlepszych obecnie „składek” na polskim rynku.

Ulepszona odsłona hitu Motoroli wygląda nie tylko nowocześnie, lecz także elegancko, choć osobiście wolałbym wersję inną niż zieloną. Połączenie aluminium, wegańskiej imitacji skóry lub zamszu (w zależności od wersji) oraz szkła Gorilla Glass Victus może się podobać. Ten model docenia też ci, którzy mają już dość podobnie nudnych smartfonów. „Składek”, będący nowoczesną odmianą telefonów z lat 90. ubiegłego wieku, na pierwszy rzut oka zachwyca zewnętrznym ekranem o przekątnej aż 4 cali i rozdzielczości 1272 x 1080 pikseli. Główny ekran o przekątnej 6,9 cala ma rozdzielczość 2640 x 1080.

Do składania i rozkładania nie mam żadnych zarzutów. Fajne jest to, że smartfon po złożeniu bez trudu mieści się w kieszeni (ma wówczas 15,32 mm grubości). Po rozłożeniu testowany model mierzy zaś zaledwie 7,09 mm grubości. Na pochwałę zasługuje również stosunkowo niewielka waga (189 g).



We wnętrzu znajduje się 12 GB pamięci RAM oraz 512 GB pamięci na dane (z czego do dyspozycji użytkownikom jest 477 GB). Sercem urządzenia jest Snapdragon 8s trzeciej generacji, który zapewnia wysoką wydajność, choć procesor w tej półce cenowej mógłby być jeszcze potężniejszy. Przeciętny Kowalski nie powinien mieć jednak powodów do narzekania. Do przeglądania Internetu, grania w wiele gier czy otwierania wielu aplikacji jednocześnie taka konfiguracja zupełnie wystarczy.

Aparaty fotograficzne jak na Motorolę są bardzo przyzwoite. Dobrze radzi sobie zwłaszcza główny aparat (50 Mpx, f/1.7) z optyczną stabilizacją obrazu, ale zdjęcia zrobione teleobiektywem też mają odpowiednio nasycone kolory i wyglądają naturalnie. Rozczarowująca jest jakość zdjęć robionych nocą. Niestety, pod tym względem ilości szumów i refleksów świetlnych Motoroli do flagowców innych marek jest jeszcze daleko.

Do listy zalet tego modelu dopisać można za to głośniczki, które potrafią zagrać nie tylko dość głośno, lecz także całkiem czysto.

Z kolei akumulator o pojemności 4000 mAh wystarcza na cały dzień intensywnego użytkowania. Plusem jest też zawarta w zestawie ładowarka o mocy 45 W. Smartfon można też ładować bezprzewodowo (maksymalna moc wynosi wówczas 15 W). Cena: 4635 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Kopytka dyniowe

Pełnia listopada, coraz zimniej i ciemniej za oknem, na półkach sklepowych coraz mniejszy wybór owoców i warzyw, zwłaszcza tych prosto z pola. To jednak dobry czas na dania długo gotowane, pieczone, rozgrzewające i sycące.

Nigdy wcześniej w naszej kuchni nie zrobiliśmy kopytek z dynią, ale w tym roku postanowiliśmy spróbować. Oryginalnie kopytka dyniowe pochodzą z północnej części Włoch z okolic miasta Mantua, gdzie dynia jest absolutnym przebojem. Tam dynie jada się przez cały rok, przechowuje w spiżarniach i przyrządza na różne sposoby.

Włoskie gnocchi robi się tam z dyni i serwuje się z różnymi sosami, szczególnie z pomidorowym lub mięsnym. Najlepiej jednak smakują z masłem szałwiowym.

W Polsce do przygotowania takich kopytek możemy wykorzystać dynię o nazwie muskat prowansalski – to dynia z zewnątrz zielona, a wewnątrz z bardzo intensywnym pomarańczowym miąższem. Ma więcej witamin i o wiele lepszy smak. Jeżeli jednak nie mamy akurat tej dyni, to możemy ją zastąpić dynią hokkaido, która jest łatwiejsza do przyrządzenia, bo nie trzeba jej obierać.



W oryginalnym przepisie do ugotowanych ziemniaków dodajemy purée z dyni, gałkę muszkatołową, twarde ser parmezan lub inny twarde, jaki mamy w domu, przyprawy: sól, pieprz i odrobinę cynamonu, roztopione masło i mąkę. Delikatne dyniowe kluseczki podawać możemy również z uprażonymi orzechami włoskimi i posypane tartym parmezanem.

Delikatne kopytka dyniowe

- 400 g upieczonej dyni
- 400 g ugotowanych ziemniaków
- 100 g mąki pszennej • 50 g mąki ziemniaczanej • 1 jajko i 1 żółtko
- 1/3 łyżeczki papryki słodkiej, soli, gałki muszkatołowej, odrobina cynamonu • 1/2 szklanki twardego sera, np. parmezanu

Purée z dyni – dynię kroimy na kawałki, wkładamy do nagrzanego do 200 st. C piekarnika i pieczemy ok. 45 min. Kawałki dyni bez skórki i pestek blendujemy i studzimy.

Ugotowane ziemniaki przeciskamy przez praskę, dodajemy purée z dyni, pozostałe składniki i wyrabiamy ciasto. Na stolnicy podsypanej mąką formujemy rulon o grubości 2 cm i kroimy na jednocentymetrowe kawałki. Możemy widelcem zrobić ozdobne nacięcia z każdej ze stron kluseczki. Kluski gotujemy we wrzątku ok. 2–4 minut, aż wypłyną na powierzchnię. Podajemy z masłem szałwiowym, prażonymi orzechami, z listkami świeżej bazylii.

Masło szałwiowe: roztopiamy 1/3 kostki masła, dodajemy świeże liście szałwii, kilka minut trzymamy patelnię na gazie, na koniec dodajemy szczyptę soli. © ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Tyją na potęgę

Trzy czwarte Amerykanów ma nadwagę lub cierpi na otyłość – alarmuje „Lancet”, a donosi o tym „New York Times”. To spory wzrost w porównaniu z 1990 r., gdy otyłość dotyczyła połowy populacji. Niepokojący tym bardziej, że przesuwają się w dół granice wiekowej dotkniętych tą chorobą. Chorobą, jeśli można to tak nazwać, bo ta sugeruje coś, na co nie mamy wpływu. Tymczasem tutaj poza przypadkami chorobowymi, które są w mniejszości, mamy trywialny powód, a raczej dwa powody: złe odżywianie i brak ruchu. Skutki? Cukrzyca, choroby wątroby, nadciśnienie, zawał, wylew.

Każdy, kto był w Ameryce, wie, że kraj ten funkcjonuje wokół samochodu. „Tak, jednak nie jest naszym problemem, ale takim samym problemem jest samochodocentryczny sposób, w jaki zbudowane są nasze miasta, wsie, osady. Nie ma chodników, nie ma publicznego transportu. Nie ma ścieżek rowerowych ani otwartych miejskich przestrzeni, gdzie mieszkańcy mogliby się spotkać. Naszym bożkiem jest samochód i to dotyczy wszystkich aspektów życia. Handel polega głównie na brzydkich rozciągniętych centrach handlowych, podzielonych na boksy sklepów, z sieciowymi restauracjami. Jak można nas winić za siedzący tryb życia, skoro całe nasze społeczeństwo zbudowane jest wokół samochodów?” – pisze czytelniczka w jednym

z ponad 3 tys. komentarzy zamieszczonych pod tekstem.

Czytając go, miałam wrażenie, że to opis rzeczywistości, którą za chwilę będziemy mieli u siebie, bo w tę stronę zmierzamy. W Warszawie powstają wciąż nowe centra handlowe, dla zmyłki zwane galeriami. Nowe osiedla, zwane „łanowymi”, są niemal identyczne jak te w Ameryce. Setki stojących w gołym polu domków ze skrawkiem trawnika, których nazwy są wariacjami słów: las, park, natura. Tęsknota za domkiem na przedmieściu i ceny tych pseudoluksusowych klatek sprawiły, że miasta już teraz otoczone są pierścieniem takich osiedli. A co będzie za parę lat? Też połowa Polaków otyłych? Rano tysiące samochodów ruszają do miasta, do szkoły, do pracy, do sklepu. Stoją w korkach. Jak w Ameryce. Mamy się z tego cieszyć?

Zastanawiałam się nad innym aspektem epidemii otyłości. „New York Timesowi”, który pilnie przestrzega reguł wokeizmu, nie wypada analizować danych o otyłości pod kątem kategoryzacji społecznej. Tymczasem wiadomo, że klasa niższa i czarni są najmocniej reprezentowani w grupie otyłych. O tym, że bogaci są szczupli, a biedni grubi, bo nie stać ich na dobre jedzenie, nie wypada mówić, chyba że w żartach. Takich jak ten o paniach z Upper East w Nowym Jorku. „Im mniejszy rozmiar, tym większy apartament”. I to się nie zmieniło. © ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Seksmisja 2

Nie wiem, co to się stało, ale w ostatni weekend w długo nieoglądanej telewizji tak ze dwa razy trafiłem przypadkiem na film „Seksmisja”. Kultowe kino, trochę już przetarte, gdyż teksty stamtąd co prawda przeciekły do masowego użytku, ale dziś już zalatują formaliną cringe’u, przepraszam – obciachu. Jednak film sam w sobie się broni, gdyż – jak to jest z dziełami potomnymi – nabiera on coraz to nowszych i bogatszych znaczeń wraz z upływem czasu. Puszczone do kin w stanowiącym 1983 r. był odczytywany wprost – jako alegoria bezrozumnej dyktatury, z jej bzdurami ideologicznymi.

Były też awanturnicze podziemie i sypiący się sam z siebie reżim. A było to o dyktacie kobiet, który powstał w wyniku ideologicznego uzasadnienia braku mężczyzn, potrzebnego do tego, by nadać ideologiczny sens dziwactwu.

Film w swej warstwie systemowego absurdu wydawał się wtedy już maksymalnym dziwactwem. Ale obecne czasy nadały mu, jak się go teraz ogląda, kontekst, na który się patrzy wręcz z pobłażliwością. Dyktatura jednej płci? Przecież to dzisiaj wręcz konserwatywne podejście. Mamy bowiem dziś do czynienia z dyktaturą płci kilkudziesięciu. A to wytwarza wręcz permutacje możliwości przyszłego scenariusza „Seksmisji” 2. No bo można sobie tylko wyobrazić tę sytuację, te zawiłości kombinatory-

ki, gdyby taki film powstał z tzw. dzisiejszych pozycji.

W „Seksmisji” 1 za naturalizowanie osobników płci innej uważano przywrócenie ich do – naturalnego ideologicznie oczywiście – stanu żeńskiego. W dzisiejszych czasach byłby to wysyp nieskończonych możliwości. Które płcie stałyby w tym panteonie wyżej, a które niżej – toż byłaby przestrzeń do dynamicznych wydarzeń związanych z polityzacją kwestii tożsamościowej. Jedno wiadomo – na co by ich tam przerabiano, to osobna sprawa, ale na pewno przedmiotem tej swoistej dyskryminacji pozytywnej byłiby supremistyczni (biali?) mężczyźni.

Wydaje się, że powstanie jakiegoś państwowego organizmu opartego na takim chaosie byłoby niemożliwe. A więc ten film sprzed ponad 40 lat niesie pozytywne przesłanie – już ten sam świat bez mężczyzn byłby absurdalnie niemożliwy, tym bardziej niepojęty byłby świat o 100 zinstytucjonalizowanych płciach, gdzie „normalna” większość jest terroryzowana ostracyzmem ze strony mniejszości.

Czyli należy przyjąć, że to, czego obecnie doświadczamy z „płynną tożsamością”, to nie możliwa albo nawet pożądana wizja przyszłości, tylko taktyczna narracja do mieszania w głowach. I jest to – kolejne – optymistyczne przesłanie starego filmu, który w nowych czasach nabiera przekornie pozytywnego znaczenia. ©

REKLAMA

DO RZECZY+

Zapraszamy do czytania tygodnika „Do Rzeczy”, miesięcznika „Historia Do Rzeczy”, dodatkowych artykułów i do oglądania naszych programów: „Antysystem”, „Polska Do Rzeczy”.

DOŁĄCZ DO GRONA SUBSKRYBENTÓW

Sprawdź promocje na subskrypcja.dorzeczy.pl

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Sytuacja jest rozwojowa

Budząca powszechny podziw, a w zasadzie zafrasowanie Klaudia Jachira zapowiedziała poparcie Radosława Sikorskiego w nadchodzących prawyborach Koalicji Obywatelskiej na kandydata na prezydenta Polski. Stop. Gdyby ucięła mu obie nogi, szkody byłyby mniejsze. Stop.

Trwa wielka metamorfoza Trzaskowskiego, który zaczął już np. wielbić Trampa. Stop. Jak wieść niesie, w warszawskim ratuszu na potrzeby kampanii prezydenckiej kompletowane są dokumenty potwierdzające udział Rafała Trzaskowskiego we wszystkich pielgrzymkach do Częstochowy w ciągu ostatnich 10 lat. Stop. Raz tylko nie szedł, bo go bolał krzyż. Stop. Ma zwolnienie L4. Stop.

I jeszcze zdanie o Trzaskowskim. Stop. Jeśli chcą państwo zobaczyć, jak Trzaskowski się jąka, trzeba go spytać, za czyje pieniądze robi sobie kampanię wyborczą, jeżdżąc po Polsce. Stop. Sprawdzone, działa. Stop.

Biorąc pod uwagę aktualne wypowiedzi Anne Applebaum, której mężem jest mniej znany w tym związku Radosław, ta żona dalej nie przedłuża męża. Stop.

Polska jest absolutnym liderem. Stop. Po niecałym roku rządów tracącego pamięć do obietnic Donalda mamy najdroższy prąd w Europie. Stop. Jak mówią milicjanci: „Sytuacja jest roz-

wojowa”, a poza tym od końca grudnia dni będą dłuższe.

Po lekturze mediów społecznościowych, aż sprawdziliśmy, czy rzeczywiście powstało Ministerstwo Masturbacji Barbary Nowackiej, ale nie. Stop. Jeszcze nie. Stop. Rodzice protestują i słusznie, bo „Wasza Basia kochana” chce wprowadzić do szkoły przedmiot, na którym dzieci w IV klasie uczyłyby się, że onanizm jest OK itd. Stop. Pani Basiu, ja pani wytłumaczę najdelikatniej, jak umiem: do tego to pani nie potrzebuje osób trzecich, a już na pewno nie naszych dzieci. Stop. Pani się zajmie edukacją, a nie lewacką diloideologią. Stop.

Być może nasz rząd i nasz minister spraw zagranicznych to nie są idioci, być może. Stop. Bogdan Klich, ten sam, który prezydenta Donalda Trumpa nazwał „niezrównoważonym” i który nie zostanie ambasadorem dopóty, dopóki prezydentem będzie Andrzej Duda, kieruje już polską ambasadą w Waszyngtonie. Stop. Nie spodziewałbym się, żeby Trump, po tym, jak Klich go publicznie obraził, w ogóle się z nim spotkał. Stop. Być może nasz rząd i nasz minister spraw zagranicznych to nie są idioci, być może...

Największa niemiecka gazeta, „Bild”, doniosła: „Żydzi i homoseksualiści nie są bezpieczni w Berlinie”. Stop. Zaburzona pseudotolerancja znowu skończy się u naszych sąsiadów nazizmem? Stop. ©©

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Iluminacje prezesa PiS

Bardzo charakterystyczną opinię wygłosił ostatnio poseł Prawa i Sprawiedliwości Mariusz Gosek. Pytany o najlepszego kandydata PiS w wyborach prezydenckich odpowiedział skromnie: „Ja tego nie wiem. Dlatego że my myślimy sercem. To jest trochę tak, jak Janusz Korczak pisał, że dziecko myśli sercem, a dorośli rozumem”. Dorosłymi, zdaniem polskiego parlamentarzysty, są wykonujący „przygotowane odpowiednio badania” socjologowie i interpretujący ich pracę partyjny przywódca.

To, że posłowie największej partii opozycyjnej jak ognia obawiają się wypowiedziania własnego zdania, jest już polskim wyborcom doskonale znany. Poseł Gosek nie wyróżnia się wśród kolegów wysokim wzrostem, liczy sobie jednak aż 42 lata. W przywódczych kręgach Prawa i Sprawiedliwości wiek taki nie może nikomu zaimponować, nie upoważnia jednak do odgrywania roli zagubionej sierotki. Mariusz Gosek nie został wybrany do parlamentu dziecięcego i utrzymujący go podatnicy nie wypłacają mu diety poselskiej w lizakach i dropsach. Sytuacja polityczna w Polsce staje się coraz bardziej napięta, rządzący otwarcie łamią prawo, a za naszą wschodnią granicą toczy się wojna. Tymczasem odpowiedzią największej partii opozycyjnej na bezprawie obozu władzy są wielomiesięczne badania społeczne, mające

rzekomo wskazać charyzmatycznego przywódcę zdolnego do wygrania wyborów prezydenckich. Ten zaskakujący kult badań jest oryginalnym pomysłem samego Jarosława Kaczyńskiego. „Badania są cały czas prowadzone. W tym momencie mogę powiedzieć tak: przed 10 laty był moment iluminacji, a teraz są badania” – oświadczył na konferencji prasowej prezes PiS.

Słowa o doznanej przed laty „iluminacji” wzbudzić mogą uzasadniony niepokój. Klasyczna definicja tego terminu, podana przez francuskiego filozofa Étienne’a Gilsona, określa iluminację jako „światło wymagane do doskonałego poznania koniecznej prawdy, światło przewyższające naturalne światło zmiennego intelektu człowieka”. Wizja obozu patriotycznego jako gromadki „myślących sercem” sierotek rodem z instytucji pedagogicznych Janusza Korczaka budzić może wśród wyborców prawicy uzasadniony niepokój. Sytuacja staje się jeszcze groźniejsza, kiedy ich otoczony kultem i posunięty w latach przywódca przyznaje się do doświadczeń ponadnaturalnego oświecenia – skutkującego odkryciem prezydenckiego potencjału i politycznych talentów Andrzeja Dudy. Zastąpienie momentów iluminacji długotrwałymi badaniami wydaje się jak najbardziej wskazane. Nie mam tu jednak na myśli żadnych badań społecznych. ©©



KRYSZTOF KRATIUŁ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Obirek kontra prorok

Stanisław Obirek i Artur Nowak postanowili wygrać konkurs na najbardziej absurdalną książkę z gatunku nowej wydawniczej kury znoszącej złote jajka, a więc z gatunku „antyklerykalizm”. Wydali zatem pozycję „Skandaliści w sutannach”.

Część opracowanych tam sylwetek zawiera elementy, które można określić mianem tytułowego skandalu – molestowanie seksualne, współpraca z SB, gejostwo czy pijaństwo. Ale książka zawiera też inne sylwetki, np. prymasa, którego przewiną było to, że pochodził ze wsi i cenił pobożność maryjną oraz nie uważał, by antysemityzm był najważniejszym problemem do rozwiązania

mizował z Janem Pawłem II? Też, rzecz jasna, nie.

Więc co przeszkrobał? Otóż według autorów publikacji jego przewiną jest to, że polski Kościół XXI w. (Wow! Ależ wpływ po 400 latach!) różni się od tego na Zachodzie. Jest, mówiąc w skrócie, bardziej konserwatywny. Autorzy posuwają się wprost do kłamstw, twierdząc, że Skarga „wszystkie niepowodzenia spadające na Polskę wywodził z panującej w niej tolerancji dla innowierców” (skarowski katalog przyczyn tych nieszczęść był nieporównywalnie szerszy), ale przecież to również nie czyni go chyba skandalistą.

Więc co? Więc... nic, gdyż autorzy w ogóle nie zadali sobie trudu, by przybliżyć tę wielką postać

organizacje jak Stowarzyszenie im. ks. Piotra Skargi czy Ordo Iuris.

I tu akurat autorzy mają rację. Zarówno obchodzące w tym roku 25-lecie istnienia stowarzyszenie, którego jestem członkiem, jak i w pewnej mierze Ordo Iuris, powstały z inspiracji działalnością tego wielkiego Polaka. Ale doprawdy przyjęcie, że polski Kościół XXI w. gremialnie zapatrzony jest w Skargę, świadczyć może wyłącznie o urojeniach.

A szkoda. Wyobraźmy sobie bowiem kapłanów i biskupów rzeczywiście naśladowujących ks. Skargę – regularnie rozliczających elity narodu (i to te katolickie, fotografujące się z biskupami) z braku miłości do ojczyzny, pragnących wzmocnienia jedynowładztwa, nieustraszone wskazywać na katolicyzm jako jedyną prawdziwą religię, ostro piętnujących błędy odszczepieńców religijnych, walczących z niesprawiedliwym prawem, zatroskanych o edukację i tworzących uniwersytety czy powołujących bractwa strzegące kultu Najświętszego Sakramentu i pobożności eucharystycznej.

Takiego Kościoła już dziś, wbrew zdumiewającym imaginacjom przerażonych Obirka i Nowaka, nie ma. Niestety.

W jednym jeszcze autorzy książki mają rację. Są wciąż dziś w Polsce i mają się bardzo dobrze ludzie, dla których ks. Skarga jest wielkim autorytetem, wzorem do naśladowania i źródłem inspiracji – tak pobożnościowej, jak literackiej i patriotycznej. I choć woleliby, żeby nas nie było, to jesteśmy i będziemy.

Możemy się nawet założyć, kto przetrwa dłużej – pobożni katolicy czy zaciekli ateści? ©©

Wyobraźmy sobie kapłanów i biskupów rzeczywiście naśladowujących ks. Skargę – rozliczających elity narodu z braku miłości do ojczyzny, pragnących wzmocnienia jedynowładztwa, ostro piętnujących błędy

w czasie komunistycznego zniewolenia Polaków. Zarzutami wobec innych są też brak podzyrowania sformułowania „starsi bracia w wierze” albo własne zdanie na temat pandemii. Na tym można by zamknąć listę kuriozów i machnąć ręką na tę paszkwilancką publikację, gdyby nie ostatni zawarty tam tekst.

Autorzy książki śmieli bowiem zacześć też ks. Piotra Skargę. Wielkiego Kaznodzieję Narodu, który był „tym dla Polaków, kim św. Paweł był dla pogan” (jak mówił kard. Kakowski). Czy ks. Skarga był pijakiem, donosił SB, niemoralnie się prowadził? Nie. Czy więc może chociaż podważał pandemię albo, nie daj Boże, pole-

swoim czytelnikom – wszak mogłoby się jeszcze okazać, że Polska zawdzięcza coś katolicyzmowi kapłanowi, a tego wszak żaden odbiorca książek Nowaka i Obirka mógłby nie zrozumieć.

Co więc jest nie tak ze Skargą, że poświęcono mu najdłuższy spośród zamieszczonych w książce tekstów? Otóż według autorów coś nie tak jest nie z samym ks. Piotrem, ale z jego recepcją. Przeanalizowali bowiem obchody lat jubileuszowych związanych z tym szermierzem kontrreformacji sprzed 90 i 120 lat i wyszło im, że i wtedy, i dziś znaczna część katolików uważa Skargę za autorytet. A to... niedobrze. Bo z tego biorą się tak „fundamentalistyczne”

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Częścią planu MAGA są przedsięwzięcia przekraczające rozmiarem to, co uchodzi za „normalne”.

Trump mówi: poprzednie pokolenia dokonywały rzeczy wielkich, które wydawały się niemożliwe. Zasiedliliśmy dziki kontynent, zbudowaliśmy miasta na pustkowiach, system autostrad od oceanu do oceanu, sieć satelitów nad całą planetą, wysłaliśmy ludzi na Księżyc. A potem straciliśmy impet. Teraz odzyskamy dawny rozmach. To będzie nagły i ogromny skok w rozwoju Ameryki.

Prawie jedna trzecia całego terytorium USA należy do rządu federalnego. Wystarczy uwolnić małeńki obszar z tej ogromnej przestrzeni, zaledwie pół procent ziemi, i wystawić go do konkursu. Wybierzemy 10 najlepszych koncepcji i zbudujemy w USA 10 nowych aglomeracji. Znow zaczniemy zakładać i budować nowe miasta. To da możliwości rozwoju setkom tysięcy ludzi i spowoduje gwałtowny rozwój nowych obszarów dziś nieziasiedlonych.

Kilka państw świata pracuje nad technologią pionowego startu i lądowania. To koncepcja rewolucyjna, gdy chodzi o transport komercyjny oraz indywidualny. W zeszłym stuleciu Ameryka była liderem rewolucji motoryzacyjnej. Teraz Ameryka, a nie Chiny, będzie liderem rozwoju transportu powietrznego.

Do tego, co powiedział Trump, należy dodać załogowy lot na Marsa, którym zajmuje się Elon Musk we współpracy z NASA. Za drugiej kadencji Trumpa będzie też obchodzona



FOT. W. CEJROWSKI / LUDY JAROSŁAW SIKORSKI

250. rocznica założenia Stanów Zjednoczonych. Takie rzeczy dopingują Amerykanów do działania, dopingują do wielkości. Ameryka ma w swojej naturze rozmach, rozwój, pokonywanie barier i sięganie poza istniejące horyzonty. Z europejskiego punktu widzenia to wygląda jak przesada i mania wielkości, a w USA to jest ten ich prawdziwy duch Ameryki, powód do dumy i... motywacja do roboty.

Jerzy Waszyngton i grupa buntowników (dziś mówimy ojcowie założyciele) mieli w sobie tego ducha – pomysł na całkiem nowe państwo; inne od wszystkich znanych w historii świata, oparte na przekonaniu, że wolność i prawa dane są ludziom od Boga, a nie pochodzą od władzy ziemskiej. Mieli wizję przekraczającą ówczesne wyobrażenia i... stworzyli nowe wielkie państwo. Wbrew przeciwnościom. W konfrontacji z ówczesnym imperium brytyjskim zbuntowane kolonie i ich Deklaracja niepodległości nie miały prawa zwyciężyć. Brytyjskiego króla pokonał duch Ameryki.

Plan Trumpa był gotów od dawna. Ludzie wiedzieli, na co głosowali. Partia Demokratyczna przesunęła się tak daleko w lewo, że straciła poparcie. Kiedyś to była partia liberalna, ale normalna. Dziś przypomina sektę wyznającą ideologie absurda. Wielu demokratów tego nie akceptuje i dlatego głosowali na Trumpa. Demokratami byli R.F. Kennedy, Tulsi

Gabbard, Elon Musk i sam Donald Trump – dziś stoją na czele republikańskiej rewolucji MAGA. Plan Trumpa to rewolucja, gdy chodzi o rozmiar i rozmach, ale jednocześnie jest to po prostu przywrócenie i odbudowanie dawnej pięknej Ameryki, do której emigrowali ludzie z całego świata. MAGA, czyli rewolucja, której myślą przewodnią nie jest niszczenie, lecz renesans.

Demokraci niszczyli. Jednym z pomysłów Kamali Harris było finansowanie operacji zmiany płci dla bandytów osadzonych w więzieniach. Czyli z pieniędzy podatników nie tylko naprawiano skazańcom zęby, leczono choroby i ogólnie mieli wikt, opiekę, fryzjera i opiekę na poziomie wyższym niż przeciętny Amerykanin, lecz także miano im finansować przyszywanie sztucznego biustu i inne takie.

Kamala przegrała, dlatego ten pomysł na razie nie wejdzie w życie, ale wcześniejsze pomysły demokratów udało im się wprowadzić. Przykład: w kilku stanach wystarczy, że facet skazany za gwałt stwierdzi, że teraz czuje się kobietą, aby go przeniesiono do więzienia dla kobiet. To nie jest teoria, to praktyka w lewackich stanach USA. Gwałciiciel przeniesiony do więzienia dla kobiet. Część z państwa mi nie uwierzy, bo to tak absurda, że wierzyć się nie chce.

Pomysły Trzaskowskiego pochodzą z tego samego podręcznika co pomysły

Kamali, tylko Trzaskowski jest na razie kilka rozdziałów wcześniej. Na razie jedynie chodzi na wyuzdane parady i stawia ławeczki wymalowane w tęcze paski oraz finansuje organizacje, no ale kilka kartek dalej doczyta do tego obrzydliwego miejsca, gdzie była Kamala, i zacznie wdrażać to, co ona. Hołownia stosuje ten sam podręcznik i robi to otwarcie. Mentzen robi to po kryjomu. Skrajna sekta niszcząca normy.

Polsat podał, że coraz więcej kandydatów na prezydenta oświadcza, że są „chłopakami z podwórka” – Trzaskowski, Sikorski i inni. Ja uważam, że prezydentem RP powinien być mężczyzna, a nie chłopak z podwórka. I lepiej, aby prezydentem nie był kurdupel, bo kurduple mają często kompleks Napoleona – chcą udowodnić światu, że są wielcy. Putin, Zełenski, Trzaskowski...

Hołownia jest fizycznie wysoki, ale ma kompleks Napoleona do kwadratu, gdyż sam o sobie wie, że jest mały. Dlatego zachowuje się jak sfrustrowana dyrektorka podstawówki. Nawet sposób mówienia i głos ma podobny do dyrektorki. W swojej partii otoczył się planktonem, aby przypadkiem nikt nie okazał się większy od niego. To samo zrobi, gdy zostanie prezydentem – doberze sobie miernoty, aby na ich tle wyglądać na kogoś wielkiego. Kto chce wiedzieć, jak okropnym prezydentem byłby Hołownia, niech obejrzy Justina Trudeau z Kanady. On też wysoki i wie sam o sobie, że jest mały, więc sadzi się na wielkość. Kto mi nie dowierza, niech omówi temat z psychiatrą lub psychologiem, bo opisane przeze mnie rzeczy widać gołym okiem. Te przypadki są podręcznikowe. Na studiach brałem kursy w tym zakresie, wiem, co widzę. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY



~~712zł~~

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

TOMASZ CUKIERNIK: „SABOTAŻ KLIMATYCZNY. JAK TRANSFORMACJA ENERGETYCZNA RUJNUJE NASZE ŻYCIE”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

252,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 460zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

ŁAGODNA KOMORA HIPERBARYCZNA

w Twoim gabinecie fizjoterapeutycznym

Rozbuduj ofertę o jedną z **najpopularniejszych metod regeneracyjnych** na rynku i zacznij odpowiadać **na potrzeby każdego klienta**.



omnioxy.com



- ✓ Zwiększ swoje przychody, dzięki innowacyjnemu urządzeniu, które nie wymaga Twojego udziału podczas zabiegu, dzięki czemu możesz przyjąć więcej klientów i równocześnie zarabiać więcej.
- ✓ Łagodna komora hiperbaryczna OMNIOXY pozwala na dotarcie do nowych grup docelowych oraz stanowi wsparcie wielu terapii manualnych.
- ✓ Dołącz do fizjoterapeutów, którzy pracują wydajnie.



Co mówią Rehabilitanci o współpracy z OMNIOXY?



Od momentu pierwszego kontaktu z firmą, wiedziałem, że będzie to fajna i owocna współpraca. Kontakt telefoniczny, szkolenie i oczywiście serwis jest na najwyższym poziomie. Wiedza, pasją oraz doświadczenie ludzi z OMNIOXY, daje wielki komfort w prowadzeniu biznesu. Cytując klasyka "OMNIOXY robi różnicę".

Jakub "Spina" Wójcik [Fizjoterapeuta](#)



Zabiegi tlenoterapii hiperbarycznej oprócz samego aspektu czynników fizjologicznych przyczyniły się również do poprawy funkcji poznawczych. Zawodniczki reagują szybciej i wiąże się to również z poprawą ich samopoczucia. Zalecam stosowanie łagodnej hiperbarii tlenowej w regeneracji powysiłkowej oraz w regeneracji po kontuzjach.

Norbert Wrzeński [Fizjoterapeuta drużyny koszykarskiej kobiet VBW Arka Gdynia](#)